KANCLERZ MERKEL SŁABNIE.
NADCHODZI CZAS ROZLICZEŃ

SYLVESTER STALLONE POWRÓCI W „RAMBO. OSTATNIEJ KRWI"

JAK DZIELNA BABCIA Z JASIENICY POKONAŁA NIEMIECKI JUGENDAMT

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 43 (308) 2018
22–28 października
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

BRUDNA KAMPANIA

PRZECIW OBOZOWI DOBREJ ZMIANY RZUCONO WIELKIE PIENIĄDZE, MEDIALNE KONCERNY, NAJGORSZE PROWOKACJE. TO PRZEDSMAK TEGO, CO NAS CZEKA W KOLEJNYCH WYBORACH

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

RODZINA TO

WSPÓLNOTA I POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA

22.10 Dzień Praw Rodziny

Wejdź na

www.dzienzycia.pl

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

SIECI

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

PARTNER

eprasa.pl 8a02066cb4

Bolesna lekcja

To nie wygląda dobrze. W minionych tygodniach każdy mógł sam zobaczyć, jak niewiele zmieniły się przez trzy ostatnie lata reguły gry medialnej i kampanijnej. Łatwość, z jaką obóz III RP zdołał włączyć tryb nagonkowy, hakowy i manipulatorski, powinna być poważnym ostrzeżeniem dla tych, którzy próbują zbudować uczciwszą Polskę. A przecież to tylko przedsmak tego, co czeka nas w rozpoczynającym się maratonie wyborczym, w tej wielkiej grze o Parlament Europejski, a przede wszystkim o Sejm i Senat oraz prezydenturę.

Z licznych wątków, które w swoim tekście (s. 22–29) opisują i analizują Marek Pyza i Marcin Wikło, trzy niepokoją najbardziej.

Po pierwsze, łatwość, z jaką w tę kampanię wpompowano ogromne sumy (mówi się o naprawdę grubych milionach) na promowanie opluskwiających Patryka Jakiego kampanii w internecie. Internetowi giganci odmawiają ujawnienia, kto im zapłacił, ale zlecenie przyjęli i wykonali. To radykalne i drastyczne obejście podstawowych reguł demokratycznej gry.

Po drugie, łatwość dołączenia przez większość mediów bliskich establishmentowi III RP do kampanii przeciw obozowi prawicy. Okazało się, jak złudne są nadzieje części obozu rządzącego, że ten świat da się przekonać, obłaskawić, przekupić. Nic z tego – jak przychodzi gra o realne interesy, jak dochodzi do momentu kluczowego wyboru, wszystko chodzi tak, jak chodziło.

Po trzecie, aktywne i hojnie opłacane funkcjonowanie na zapleczu polityki osób, które można uznać za mózgi takich operacji. To, że można koordynować ostrą kampanię przeciw kandydatowi Zjednoczonej Prawicy w Warszawie i jednocześnie mieć dojścia do obecnego obozu władzy, jest może świadectwem dużej wyrozumiałości, ale także politycznej głupoty.

Dlaczego o tym piszemy? Czy martwimy się o obóz dobrej zmiany? Przede wszystkim martwimy się o tych Polaków, którzy ciężką pracą i poświęceniem, często płacąc ogromną cenę w swoich środowiskach, przyłożyli się do przełomu roku 2015. Wywalczona wtedy szansa na naprawę Polski jest zbyt cenna, być może niepowtarzalna w tym pokoleniu, by takie bolesne lekcje lekceważyć. Trzeba dziś powiedzieć wprost: jeśli do czasu kolejnych wyborów ten świat będzie skonstruowany tak jak obecnie, to prawica ma dużą szansę, by władzę utracić. Nie da się bowiem odebrać mafiom VAT-owskim, przemytnikom paliw oraz złodziejom reprywatyzacyjnym kilkuset miliardów, licząc, że można to obronić bez żadnej poważniejszej osłony. Nie można skutecznie się wyrywać z niemieckiej dominacji i pozwalać, by niemieckie media sprawowały rząd dusz w kraju. Pewne zrównoważenie dokonane dzięki zmianom w mediach publicznych i kilka oddolnych inicjatyw to naprawdę za mało. Wszystkie medialne ośrodki III RP, z niemieckimi na czele, są dziś mocniejsze, niż były, jeszcze precyzyjniej kontrolują strumienie finansowe i są jeszcze bardziej zdeterminowane, by wpłynąć na bieg spraw w Polsce.

Lubimy porównywać się z Węgrami, ale oni to akurat zrozumieli dużo lepiej i wyciągnęli praktyczne wnioski.

Michał Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści

33 *Biedroń mówi o słoniu* *Piotr Skwieciński*

46 Kto jak nie babcia *Dorota Łosiewicz*

59 Ile Trumpa w Rambo *Łukasz Adamski*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TRZASK ŁAWECZKI**
Krzysztof Feusette

10 **JESIEŃ W ATMOSFERZE ŚMIESZNOŚCI**
Jan Pietrzak

11 **LIBERALIZM OBNAŻONY**
Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **LEKCJA WOS**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **POLIGON WYBORCZYCH ŁGARSTW**
Marek Pyza, Marcin Wikło

30 **WYBORY W CIENIU GOEBBELSA**
Stanisław Janecki

KRAJ

33 **BIEDROŃ MÓWI O SŁONIU**
Piotr Skwieciński

36 **DALEKO OD SZOSY**
Konrad Kołodziejski

40 **NIEOCZEKIWANY EFEKT „KLERU"**
Marzena Nykiel

42 **SMARZOWSKI U KRESU NOCY**
Jan Rokita

46 **KTO JAK NIE BABCIA**
Dorota Łosiewicz

50 **Z KRZYSZTOFEM SKOWROŃSKIM**
rozmawia Ryszard Makowski

52 **SIŁA POLSKIEJ HISTORII**
Marcin Wikło

56 **Z ANNĄ CHODAKOWSKĄ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

SIECI KULTURY

59 **ILE TRUMPA W RAMBO**
Łukasz Adamski

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

68 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

70 **Z HENRIM MALOSSE'EM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

ŚWIAT

74 **BAWARIA, CZYLI KONIEC STABILNOŚCI**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

78 **PRAWDZIWY SUKCES PRZED NAMI**
Marek Siudaj

80 **Z KAZIMIERZEM KUJDĄ**
rozmawia Stanisław Koczot

KUCHNIA

86 **MOJE SMAKI: MAGDA GEMBACKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **LEPIENIE ZAPATERO**
Piotr Skwieciński

90 **O LUDZI DOBREJ WOLI**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **HEL LEKKI JAK HEL**
Aleksander Nalaskowski

93 **WYBORCZE PAMIĄTKI**
Wiktor Świetlik

94 **NIEROZPOZNANA OFENSYWA**
Jan Pospieszalski

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **DROGÓWKA NASZA CODZIENNA**
Ryszard Makowski

97 **Z OKNA, PO SĄSIEDZKU**
Leszek Długosz

98 **KULTURA CHEATOWANIA**
Andrzej Zybertowicz

29/1018/F

eprasa.pl 8a02066cb4

FORUM PRAWO DLA ROZWOJU

„W lutym 2017 roku zobaczyliśmy pierwszy efekt działania zmian w prawie karnym dotykających karuzel vatowskich w postaci gwałtownych wpływów pieniędzy do budżetu państwa. Wpływ dodatkowych ok. 40 mld zł rocznie pozwolił wesprzeć polskie rodziny m.in. programem 500+."

Zbigniew Ziobro, Minister Sprawiedliwości podczas Forum Prawo dla Rozwoju.

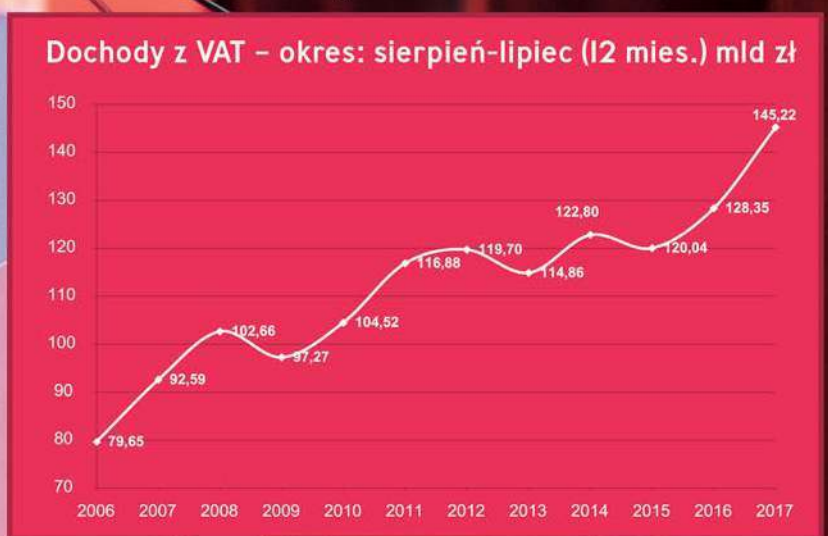

Źródło: Opracowanie własne na podstawie danych MF: Dochody i zwroty w vat w latach 2007-2017.

Dziękujemy, że byli Państwo z nami podczas **Forum Prawo dla Rozwoju.**
Razem zmieniamy prawo na lepsze.

www.law4growth.pl

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN, PZU, PGNiG, InnVento

PATRONAT MEDIALNY: pap, TVP INFO, Polskie Radio 24, WP, money.pl, Dziennik Gazeta Prawna, Forum Biznesu.pl

SPONSOR: PGE Polska Grupa Energetyczna, Bank Pekao

eprasa.pl 8a02066cb4

Sygnalista nadaje

Na ujawnionej przez TVP taśmie, z roku chyba 2012, ówczesny wicepremier stawia sprawę jasno: „na Tuska większy wpływ ma artykuł w »Fakcie« niż opinia Konfederacji Pracodawców czy Komisji Trójstronnej". Dodaje, że media „będące pod kontrolą różnych międzynarodowych koncernów" mają „dużo większy wpływ na polski rząd niż wszyscy przedsiębiorcy razem wzięci". Teraz już nie ma wątpliwości: jeśli chcemy niepodległości, musimy tę sprawę załatwić.

Pawlak odniósł się do tych rewelacji po swojemu. Poinformował: „Nie wyrażałem i nie wyrażam zgody na wykorzystywanie moich wypowiedzi i wizerunku przez TVP", po czym dodał: „Wpływ wydawców i właścicieli mediów na dziennikarzy i publikowane treści dotyczy zarówno kapitału międzynarodowego, ale także polskiego, w szczególności państwowego". Wpis zakończył stwierdzeniem, że „rząd PiS dopłaca do TVP z naszych podatków, więc, jak widać, odrobili lekcję...". To prawda, odrobili, zwłaszcza lekcję z lat 2005–2007. Czy aby jednak do końca?

Dziennikarka TVP zadzwoniła też do Piechocińskiego, by uzyskać od niego komentarz ws. nowych taśm. Wtedy Piechociński zaczął grozić: „Kiedyś spotkamy się w miejscu, gdzie nie będzie pani chroniona w tej formule, w której dzisiaj wydaje się wam, że jesteście chronieni, i będziecie musieli odpowiedzieć na pytanie, czy dysponowaliście taśmami i lansowaliście pewne postulaty polityczne, dysponując taśmami, które nie były we władaniu polskiego sądu i polskiej prokuratury". Powiedziane ładnie, ale nie ma w tym żadnej treści. Pamięć o Janku Burym jeszcze nie umarła.

Spór wokół niemieckich mediów w Polsce toczy się od lat i zamienił się w przewidywalny rytuał. Zdaniem patriotów i ludzi znających świat to po prostu potężne narzędzie polityczne w ręku Berlina. Zdaniem samych Niemców i zatrudnionych tam dziennikarzy to media takie same jak inne, a nawet lepsze. I gdy już wydawało się, że debata pozostanie nierozstrzygnięta, do gry wszedł Waldemar Pawlak.

Szkoda, że taśmy wypływają w finale kampanii, w gorącym czasie, i nie poświęcamy im wystarczającej uwagi. A są tam kwiatki godne dobrego filmu. Np. w rozmowie Elżbiety Bieńkowskiej z Bartoszem Arłukowiczem o wydatkowaniu środków europejskich na sprzęt medyczny ta pierwsza stwierdza: „Ja wiem, jak jest. To nie musiałam kontroli robić. Kontrolę robiliśmy po to, żeby wyszło, że jest dobrze", a ten drugi odpowiada: „Jest źle, i to tak na poważnie". Od razu widać, że do Brukseli wysłaliśmy prawdziwych fachowców.

Ale na taśmach są też słowa, które i obecna ekipa powinna wziąć sobie do serca. Władysław Kosiniak-Kamysz tak szkicował sytuację w szeregach PSL: „Niestety jest rozpuszczenie władzą. Deprawacja władzą nastąpiła. Jest tylko przyjście [...] konsumpcje, stanowisko, tu, po, tu, tam, ten. Nikogo nie interesuje merytoryka. Nawet się nikt nie spiera czasami". Ludowcy to partia szczególna, ale PiS też powinno uważać. Ludzie to tylko ludzie, zwłaszcza po kilku latach, gdy zapomną, jak to jest tyrać na swoim.

Kolejne taśmy wychodzą na powierzchnię i wygląda na to, że jest ich naprawdę dużo. Co więcej, jak podał portal wPolityce.pl, być może są to nie tylko rozmowy z Sowy & Przyjaciół czy innych restauracji, ale także

eprasa.pl 8a02066c04

z Kancelarii Premiera lub innych miejsc. Skąd taki wniosek? Bo w czasie rozmowy ***Waldemara Pawlaka*** z biznesmenem Michałem Sołowowem ten pierwszy zachowuje się jak ważny polityk, a przecież wicepremierem przestał być w 2012 r. Jeśli rzeczywiście nagrywano dłużej i szerzej, to żaden z polityków opozycji nie może spać spokojnie.

A niemieckie media odpalają kolejne fragmenty rozmowy ***Mateusza Morawieckiego***. Wśród nich wypowiedź o Robercie Kubicy, na którego starty w Formule 1 ówczesny prezes prywatnego banku nie chciał dać pieniędzy mimo nacisków hiszpańskich właścicieli („ja nie chcę, k..., co roku pięć dych płacić"). I tu clou: Morawiecki stwierdza, że Kubica „na szczęście złamał rękę, raz, drugi". Wypowiedź więcej niż kłopotliwa, ale PR-owcy szefa rządu szybko sprawę załatwili. Premier spotkał się z Kubicą, który zamknął temat krótko: „Bez urazy, jedziemy dalej!".

Niemal dokładnie w tej samej chwili dowiedzieliśmy się także, że PKN Orlen może wspomóc projekt powrotu Kubicy do Formuły 1 kwotą 40 mln zł. Wyglądało to tak, jak gdyby rząd próbował przekupić Kubicę. Ale przypadki naprawdę się zdarzają: gdy Onet odpalał taśmę, Daniel Obajtek rozmawiał właśnie z polskim kierowcą, a spotkanie było dawno zaplanowane. Nie od dziś wiadomo, że Obajtek ma szczęście. Czasem aż przesadne.

Tuż przed finałem kampanii w szeregi PiS wkradł się niepokój. Skoro nawet CBOS wykazał wyraźny spadek poparcia do poziomu 29 proc., były powody do obaw. Odpowiedziano sięgnięciem po broń atomową, czyli spotem w sprawie imigrantów, których Platforma chciała i wciąż chce osiedlić w Polsce. Ale nie wypaliło, proch był mokry. Dlaczego? Bo wiarygodność rządu w sprawie imigracji jest dziś dramatycznie niższa niż w roku 2015. Ludzie i słyszą, i widzą, że przybyszów z Azji przybywa. I widzą, że rząd udaje, że tego nie widzi.

Gdzieniegdzie w stolicy można już nawet spotkać gromady wyrostków snujące się bez celu. Żeby to się nie skończyło jakąś tragedią... Rok, który pozostał do wyborów, obóz rządzący musi wykorzystać do odbudowy wiarygodności w tym obszarze. Tym bardziej że Polska i Polacy nie mają żadnego interesu, by nakręcać zyski firm przewozowych czy dowożących pizzę, które zarobione pieniądze i tak wywiozą z kraju. To się w żaden sposób nie opłaca.

Bitwa o imigrację zdecyduje o dalszych losach obozu rządzącego. Bo na wybory europejskie szykuje się mocna koalicja, która ten sztandar wysoko podniesie. Będą narodowcy, Piotr Liroy-Marzec, Janusz Korwin-Mikke i może Marek Jakubiak. Co prawda, z wyjątkiem Jakubiaka, to ekipa politycznie dość zielona, ale parę kluczowych procent mogą złapać. Więc warto działać. Ale uwaga: żadne zaklęcia w sprawie sprzeciwu wobec przymusowej relokacji tu nie pomogą, bo nie o nich, ale o zwykłych imigrantów (z Azji, nie Ukrainy) tu chodzi.

W Budapeszcie – mieście jednak bardziej kosmopolitycznym – imigrantów z Azji centralnej czy z Indii nie widać. Jak sobie radzą z brakiem ludzi? Ważny polityk węgierski pytany o półlegalną imigrację mówi tak: „Nie tolerujemy żadnych ścieżek na skróty. Mamy trochę Ukraińców i trochę Wietnamczyków, a poza tym uważamy, że niskie bezrobocie to jest okazja, żeby lepiej zorganizować pracę, wprowadzić więcej maszyn i robotów, pójść technicznie do przodu". Dodajmy, że Węgry mają niemal dokładnie taki wzrost gospodarczy jak Polska.

Tymczasem ***Jarosław Kaczyński*** zapowiedział kolejny raz, że nie będzie kandydował na prezydenta. To oczywiście żadna niespodzianka. Ważniejsze, że mocno wsparł Andrzeja Dudę: „Czasem się spieramy z prezydentem, ale to nasz prezydent i wygra wybory". A więc scenariusze z innym kandydatem, a takie też krążyły, idą do kosza. To dobrze, bo gdyby PiS wystawiło kogoś innego, czekałaby nas mała, a może duża wojna domowa. I to wcale nie na górze, ale na dole, gdzie prezydent ma sporą gromadkę zagorzałych fanów.

Wróćmy do Niemców. Aktor Olgierd Łukaszewicz wywindował właśnie sztukę podlizywania się naszym zachodnim sąsiadom na nowe wyżyny. Zaczął od wyznania, że „ma zaufanie do Niemców", choć nie do wszystkich. Po czym wypalił: „Oni mają prawo, a nawet obowiązek być liderem w UE, nie z powodu gospodarczej mocy, ale tego, co ciąży na poprzednich pokoleniach. Czują się moralnie zobowiązani do tego, aby przewodzić, budować pokój i dobrobyt". Logicznie patrząc, jeśli niemieckie próby „przewodzenia" Europie już dwa razy skończyły się w morzu krwi, to trzeci raz Berlin nie powinien próbować. Niektórzy Polacy to naprawdę głupcy.

Fot. Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor (x2)

eprasa.pl 8a02066cb4

Trzask ławeczki

KRZYSZTOF FEUSETTE

No, nareszcie. Niby się człowiek cieszy, że to już, a przecież ma świadomość, wyniesioną z obrazów mistrza Geremka, że mogło być lepiej. Miało się po swojej stronie wszystkie komercyjne media, miało batalion chwalców za 5 zł, wszystko było poukładane lepiej niż reprywatyzacja. O, proszę bardzo: czerwiec 2018, sondaż Instytutu Badań Samorządowych, ja – 54 proc., Jaki – 26. Że nasz człowiek tam szefuje? Przepraszam bardzo – jak kasę brał z Platformy i w ratuszu Hanka mu płaciła, a teraz w moim sztabie siedzi, to od razu nasz? Że „Rafał! Rafał!" – krzyczał po debacie, jak żeśmy przed dziennikarzami uciekali? To już nie można spontanicznie poprzeć członka najulubieńszej formacji? Uczciwy człowiek potrafi rozdzielać funkcję – Hanka raz musiała chichotać jako Hanka, a raz jako miasto, chociaż z niej przecież takie miasto, jak z Pipidówka województwo.

Te sondaże nas uśpiły. A potem poszła narracja, że ja Bronka przypominam. Niby w czym? Że mi pani za plecami mówi, co mam powiedzieć? Co innego mówi niż jemu. Że bilety darmowe dla posłów, co i tak za darmo jeżdżą? Kochani, nie mylą się tylko ci, co rączek nie umyli. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamienicę na rynek wtórny, dajmy spokój. I tak już miałem za swoje z tą ławeczką zakichaną, tylko czekałem, żeby mi ktoś tam „Świeżo malowane" napisał, że niby ze mnie taki „malowany" kandydat. Na szczęście młodzieżówka ze mną łaziła, to się sadzało najpierw chłopaka ze struktur i się patrzyło, czy mu się tyłek do deszczułek nie przykleił. Skoro już nawet mosty Jaki chce budować, żeby nas podusić? W ogóle nie pomyśli, że się od tego korki na Wiśle porobią i kajaki będą zawracać.

No, ale co go interesuje, że Hanka bulwary wiślane osiem razy otwierała. Że tam jest teraz stumetrowy deptak robiony, a to nie jest łatwy teren, bo i woda blisko, i te straszne mosty po obu stronach, co jeszcze zostały z poprzednich ekip. Ale on wolał się do metra przyczepić, że tylko 9 km w trzy kadencje zbudowała, a w Madrycie 50 w jedną zrobili. Gdyby był kompetentniejszy, toby wiedział, że sam przetarg na budowę drugiej linii trwał cztery lata, bo Hania była bezzębna. Ja się przejechałem i muszę powiedzieć, że bardzo przyjemnie, chociaż jak się nie wie, gdzie się chce wysiąść, to są jaja jak berety.

Dlatego właśnie w tej kampanii szczególnie mi na rodowitych mieszkańcach zależało, bo i drogę człowiekowi wskażą, jak nie wie, czy Marymoncka jest na Marymoncie, albo gdy na Stokłosach wita mieszkańców Kabat. Od razu mówiłem, że dzielnic nie znam i nie wiem, jaka Warszawa ma być. Może, gdybym więcej po mieszkaniach chodził? Ale jak chodzić, jak jest wizyta u kodziarskiej rodziny ustawiona, a tam prowizorka! I nagle zamiast akcji „od drzwi do drzwi" jest akcja „drzwi są zepsute". „Taśmę, proszę" – mówię do gospodyni, a ona pyta: „Jaką"? Profesjonalną, kuźwa. Trzask-prask się szybę przykleiło na okrętkę bez ślinienia i chodu do przedpokoju, żeby nie spadła na żywo. A i tak wylała się fala faszystowskiego hejtu.

Niestety, teraz to Grzesiowi faszyzm zarzucają. W zasadzie Grzesiom, bo dwóch nam się takich trafiło, co przez wieś idą i poparcie gubią. Scheta rozumiem, bo wie, że jak przerżnie trzy razy, to Donald wróci tu na białej hulajnodze szybciej, niż się zęby wstawia. Więc wziął i wyzwał pół narodu od „pisowskiej szarańczy na zdrowym drzewie". Pewnie dlatego Bąk junior z tatusiem coś o lipie wspominali. Ale czemu ten drugi Grzesio, no, to Furgo – konkretnie, z hitlerowskim plakatem wyskoczył? I to w momencie, gdy mieliśmy już poparcie i Jandy, i Łukaszewicza, i Stuhra, co za granicą po polsku nie umie. Nawet się zmartwiłem, że oni tylko „głosem głosują", bo to jednak trzeba ostatecznie to ego z tronu podnieść i krzyżyk postawić w odpowiednim miejscu. Nie każda gwiazda to potrafi.

No, nic, mogło być lepiej. Może trzeba było, jak niusłikowy „Pluszak" postulował, na 500+ akcją 1+1 odpowiedzieć, czyli żeby każdy wziął każdego? Petru wziąłby Schmidtową, Lubnauer męża (o ile się z obiadem wyrobiła), Wałęsa dzieci i wnuki (a co, w areszcie już głosować nie można?), i jakoś by te parę procent w górę dźwignęli. Zwłaszcza po tych naszych nazizabawach. Na szczęście mówił Guj Fersztejen, że w jednym tylko marszu w Warszawie 60 tys. faszystów naliczył, więc i ja liczę na to, że nasi jakoś w tym tłumie się rozpłyną. Do dziś pamiętam akcję, którą „Wyborcza" promowała – siadło parę osób na chodniku w pozycji „na Grzyba Frasyniuka" i w obozowych pasiakach pilnowało, żeby „faszyzm nie przeszedł". Może nawet Furgo ze Schetyną tam byli? Co im do łba strzeliło, żeby takie „palikmioty" przed wyborami wrzucać? Przecież wystarczyło, jak Donek, pisiora „pisiorem" nazwać i w tę stronę poetycko uderzać. Na przykład: „Dorżniemy pisiora, a Giertych do jeziora...". Oj, zapomniałem, że mecenas teraz dla Bąków przeszkody bierze.

Najważniejsze, że się udało tuż przed pierwszą turą jakoś ten urobek, pardon, dorobek Hanki pokazać. Że Wisła płynie, że rowery jeżdżą, że dzieci się bawią (oprócz tych z kamienic). I że ona sama wyszła z ukrycia w pięknym stylu. Jak mi się podobało, że się do Kazimierza Wielkiego porównała. Bo też „zastała Warszawę drewnianą, a zostawia murowaną". Murowaną to ona akurat może mieć sprawę w sądzie, a Starówkę, chociaż zastała ładną, to zostawia ją z akwarium dla korpoludków tuż przy placu Zamkowym. I co z tym zrobić? Metro można zasypać, bo już jest w Berlinie, ale co z tej kupy szkła ulepić? Chyba tylko kładkę jakąś?

5/0618/F

eprasa.pl 8a02066cb4

RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ

TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl 8a02066cb4

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Jesień w atmosferze śmieszności

Jan Pietrzak

Jak na jesień, mamy niezły klimat. Dużo śmieszności w atmosferze się unosi za sprawą przeróżnych komediantów. Obleśny chamek z Legionowa z dwuznacznym uśmieszkiem prezentujący swoje faworyty wyborcze: „Pani od seksu, ta ruda i dwie napalone". Do kompletu poseł Grabiec wręczający mu szablę, nie grabie, z życzeniem: „Prowadź nas, wodzu!". Pojawił się niemiecki „król Europy" namawiający Polaków do jedności podczas Marszu Niepodległości. Ten sam, który wcześniej jako premier te marsze rozpędzał. W trakcie jednodniowej wizyty w Krakowie popisywał się różnymi kłamstwami, ale najbardziej ubawił nas, mówiąc: „Haratanie w gałę to zajęcie dla dżentelmenów". Krętacz, miglanc uważający się za dżentelmena to niezła beka śmiechu. Chodzą słuchy, że skrywanym celem pobytu tego pana w Krakowie było otwarcie Izby Pamięci Gubernatora Hansa Franka na Wawelu.

Następny przypadek: rosyjska niby-Polka Kozłowska jako partnerka Verhofstadta Guya w antypolskiej kampanii na terenie Unii, ach, cóż to za ekipa ni z juszki, ni z pietruszki! Coś im się w centrali dywersji wojny hybrydowej pokiełbasiło i robią głupstwo za głupstwem. Np. w Holandii złapano czterech żulików z Moskwy, którzy koniecznie chcieli dokonać jakiegoś cyberataku, ale pomylili adresy, daty, mapy, upili się z rozpaczy i usnęli na trawniku... Oj, bida, bida na komsomolskiej ulicy w kadrach. Parę miesięcy temu ze Skripalem wyszła kompromitacja, bo nowiczok był przeterminowany i nie zadziałał. Wizerunek wszechmocnych Czapajewów KGB pada. Do Polski już tylko Chór Aleksandrowa mogą wysłać w tajnej misji wyborczej.

Jedźmy dalej! Główny Europejczyk Juncker w rzadkiej chwili otrzeźwienia wygłosił rozsądną myśl, że nie można budować Europy przeciwko narodom. Ale poprzedził ją uwagą: umówiliśmy się, że za każdym razem, gdy występuję, muszę powiedzieć coś śmiesznego! Zdradził sekret...

Wracając na nasze podwórko. Zabawna jest prezydentka Łodzi z PO, na której ciąży wyrok uniemożliwiający objęcie urzędu, a ona jednak kandyduje. Śmieszna uparciucha. Inni prezydenci z jej półki dopiero po wyborach złapią wyroki... Ale będzie ubaw. I bardzo dobrze.

Nie mogłabym przestać pisać

Z pisarką i lekarką Katarzyną Bereniką Miszczuk rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Będąc młodą lekarką...", jest pani też poczytną autorką. Ile to już książek na koncie?

Katarzyna Berenika Miszczuk: Licząc pierwszą, którą napisałam jako 15-latka, udało mi się już stworzyć 14 powieści. Najnowsza, „Paranoja", miała premierę 17 października. Dokładnej liczby sprzedanych książek nie znam, ale jest to ponad 300 tys. egzemplarzy.

Imponujący wynik, ale chyba nie tylko z tego powodu, wykonując tak trudny zawód, tworzy pani powieści?

Pisanie jest dla mnie formą spędzania wolnego czasu i odpoczynku od pracy lekarza. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym przestać pisać. Moja mama wychowała mnie na osobę twardo stąpającą po ziemi, dlatego nie zamierzam nigdy porzucać wyuczonego zawodu. Poza tym spełniam się jako lekarka. Na szczęście mam olbrzymie wsparcie w moim mężu, także lekarzu, który trzyma za mnie kciuki w obu tych zawodach.

Tworzy pani bestsellery. Taki okazał się m.in. cykl „Kwiat paproci", wprowadzający czytelników w alternatywny świat rządzony przez następców Mieszka I oraz kultywujący wiarę w słowiańskich bogów. Teraz proponuje pani coś zgoła innego.

Skupiłam się na drugiej części thrillera z serii „W lekarskim fartuchu". Za namową wydawcy postanowiłam wreszcie wykorzystać w pisaniu swoje wykształcenie. Poza tym jestem wielką fanką autorów tworzących thrillery medyczne. W mojej najnowszej powieści czytelnicy mają okazję zajrzeć do prosektorium i dowiedzieć się, jak wygląda praca polskiego lekarza medycyny sądowej.

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl 8a02066cb4

BRONISŁAW WILDSTEIN

Liberalizm obnażony

Liberalizm prezentowany jest przez swoich rzeczników jako teoria, która stanowi optymalną formę dla jak najswobodniejszych dociekań na temat dobra i tego, jak winno być urządzone życie ludzkie; jako ustrój zdolny do pogodzenia z sobą różnych projektów organizacji społecznej i politycznej oraz zapewnienia im w miarę harmonijnej koegzystencji. Jego reprezentanci deklarują się jako rzecznicy szacunku dla człowieka, który objawia się w pozostawieniu mu pełnej swobody w wyborze własnych poglądów i celów. To przeciwnicy liberalizmu mają, zdaniem jego zwolenników, narzucać albo chcieć narzucać ogółowi wizję jedynej prawdy. Liberałowie głoszą, że tylko te wartości i sposoby życia są godne akceptacji, które zostały świadomie i bez przymusu wybrane przez jednostkę i zostaną poddane próbie publicznej dyskusji. Głoszą antropologiczny optymizm, czyli przyjmują, że człowiek jest w stanie samodzielnie odróżnić dobro od zła, są piewcami wolności i autonomii, a więc są jednoznacznymi wrogami odgórnego narzucania ideowego porządku.

A w praktyce?

W Europie liberalne władze na żądanie liberalnych ośrodków opiniotwórczych tworzą coraz szczelniejszą sieć ustawową, która coraz bardziej drobiazgowo reguluje życie mieszkańców naszego kontynentu. W imię wolności i szacunku dla mniejszościowych grup przyjęte zostają prawa, które uniemożliwiają debatę w najważniejszych społecznie kwestiach. Ludzie skazywani są za niepoprawne politycznie wypowiedzi na temat tzw. homoseksualnych małżeństw czy sprzeciw wobec ich roszczeń do adopcji dzieci. We Francji można zostać skazanym za krytykę aborcji. Dzieje się to pod hasłem obrony przysługujących obywatelom praw. Tym elementarnym prawem ma być, naturalnie, aborcja. Wypływać z tego musi wniosek, że krytyka norm ustawowych jest uderzeniem w prawa, które one gwarantują. Penalizowana powinna być więc krytyka jako taka. Naturalnie, liberalne ustawodawstwo ogranicza się jak dotąd wyłącznie do bliskich sobie rzeczy, takich, które uderzają w tradycyjny porządek kulturowy i moralny.

Opis ten należy rozciągnąć na cały zachodni świat. Zakwestionowanie feministycznych dogmatów na temat płci jako kulturowego konstruktu i dostrzeżenie nieco głębszych różnic między kobietą a mężczyzną grozi utratą co lepszej pracy, a nawet diagnozą choroby umysłowej. Najbardziej modnym rozpoznaniem w takich wypadkach jest ostatnio w USA „wysoko funkcjonalny autyzm", czyli uznanie, że wprawdzie dany osobnik spełnia wszelkie standardy intelektualne i społeczne, ale brak akceptacji dominującej ideologii musi być przejawem patologii. To odpowiednik „bezobjawowej schizofrenii", która w ZSRR była przyczyną wysyłania do psychuszek dysydentów. Liderka Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen została wysłana przez sąd na przymusowe badania psychiatryczne za to, że po zamachach we Francji opublikowała zdjęcia zabójstw dokonywanych przez muzułmańskich fundamentalistów.

Liberalni przywódcy UE deklarują, że trzeba skończyć z „finansowaniem antyliberałów". Chodzi o odebranie funduszów strukturalnych takim krajom jak Polska czy Węgry. Wprawdzie prowadziłoby to do złamania reguł unijnych, gdyż środki te nie są związane z żadnymi kwestiami ideologicznymi, ale chodzi przecież o ukaranie narodów, które niewłaściwie wybrały, co deklarują wprost zachodni liberałowie wspierani przez sojuszników w naszych krajach.

Uniwersytety odmawiają prawa głosu krytykom dominującej ideologii. Wszystko w imię tolerancji i pluralizmu. Właściwie myśleniu ich rzeczników nie sposób niczego zarzucić. Skoro oni są tolerancyjni, to ci, którzy z nimi się nie zgadzają, tolerancyjni być nie mogą, należy ich więc uciszyć. Skoro oni są zwolennikami pluralizmu, to ich krytycy muszą być jego przeciwnikami, a więc należy wyrzucić ich poza nawias pluralistycznego państwa.

Dopiero po wyeliminowaniu wszystkich przeciwników liberalizmu zakwitnąć mogą w pełni pluralizm oraz tolerancja.

Nie piszę tego, aby piętnować, skądinąd skrajną, hipokryzję liberałów. Sprawa jest głębsza i dowodzi, jak ideowo sprzeczny jest ich projekt. Każda ludzka forma musi być osadzona na aksjologicznych fundamentach. Taka, która udaje, że tego nie potrzebuje, ukrywa tylko (również przed wyznawcami) swoje założenia; taka, która głosi zasadę emancypacji człowieka z wszelkich ograniczeń, musi zbudować jej rygorystyczny model i przypisać tym, którzy go realizują, specjalne uprawnienia. Po to, aby wyzwalać ciągle uwięzionych w tradycyjnej mentalności ludzi, należy sprawować władzę. I to jej bronią rzecznicy chwiejącego się porządku nazywanego przez siebie liberalną demokracją.

Fot. Andrzej Wiktor

NIECH TA PRACA TRWA

Komuniści ogromną wagę przywiązywali do symboli. Wielkich pomników i budowli, które miały się kojarzyć jednoznacznie, zrastać z miastem, być częścią jego tkanki, sączyć dzień po dniu ideologię sowieckiego panowania nad blokiem wschodnim. Jednocześnie dbali też o to, by po wybitnych jednostkach, które zagrożenie komunizmem rozumiały i się jemu przeciwstawiały, nie pozostał żaden ślad.

Tak, jak na Rakowieckiej 37 w Warszawie, gdzie wykonaliśmy to zdjęcie. Powstaje tutaj Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, ta decyzja już zapadła, ale najpierw trzeba wypełnić ważny obowiązek. Przeszukać szczegółowo cały teren byłego aresztu, by mieć pewność, że w ziemi nie pozostaną szczątki ani jednej zamordowanej tutaj osoby. To zadanie dla Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN pod kierownictwem prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Trudno teraz określić, do kogo mogą należeć szczątki, które „wyszły z ziemi" za więziennym szpitalem, blisko muru. Widać, że posypano je wapnem. Niemcy, którzy w pierwszych dniach powstania warszawskiego dokonywali na Rakowieckiej egzekucji, nie mieli żadnego powodu, by swoje zbrodnie ukrywać. Logika podpowiada zatem, że to powojenne ofiary komunistów.

Te doły śmierci powinien zobaczyć każdy, kto ma wątpliwości, czy praca IPN ma sens. Komu, być może, już się znudziły prawie codzienne doniesienia, że Instytut pracuje tu albo tam, że znów coś znalazł. Tak to rzeczywiście jest. Znajduje i będzie znajdował, bo cała Polska usiana jest grobami tych, którzy z władzą sowiecką w Polsce nie pogodzili się nigdy.

To symboliczne i budujące, że obecne poszukiwania na Mokotowie dzieją się w czasie, gdy w Warszawie rozbierany jest pomnik wdzięczności Armii Czerwonej stojący od lat w parku Skaryszewskim. Desowietyzacja przestrzeni publicznej jest równie ważna jak odzyskiwanie tych, którzy mieli być zapomniani na zawsze. Ani w jednym, ani w drugim nie możemy się zatrzymać w pół drogi.

Marcin Wikło, fot. Andrzej Wiktor

Libia

Coraz więcej Rosjan

Czy Rosja chce wywołać w Libii krwawą wojnę domową i zamienić ten kraj w drugą Syrię? Według dziennika „The Sun" powołującego się na raport brytyjskiego wywiadu Rosjanie przerzucili do Tobruku i Bengazi swoich żołnierzy oraz broń rakietową (chodzi o system przeciwlotniczy S-300 oraz rakiety do zwalczania celów morskich Kalibr). I choć oficjalnie Kreml odżegnuje się od udziału w libijskim konflikcie, rosyjskie ministerstwo obrony potwierdza rozmieszczenie we wschodniej Libii oddziału komandosów.

Wschodnia Libia znajduje się pod kontrolą tytułującego się feldmarszałkiem Chalify Haftara, byłego wysokiego oficera z czasów Muammara Kaddafiego, który w 1987 r. – podczas operacji prowadzonej przez wojska dyktatora w sąsiednim Czadzie – dostał się do niewoli, po czym przeszedł na drugą stronę i wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Haftar, wyszkolony onegdaj w Rosji i posługujący się językiem rosyjskim, wrócił do kraju po obaleniu Kaddafiego w 2011 r., ale szybko popadł w konflikt z władzami powstańczymi. W tej chwili rezyduje w Tobruku, skąd wspierany przez Egipt prowadzi działania przeciwko uznawanemu przez ONZ (w tym także przez Rosję) rządowi w Trypolisie.

Haftar prosił już Rosjan o pomoc wojskową w 2014 r., ale wówczas jej nie otrzymał. Takie wsparcie byłoby bowiem naruszeniem embarga nałożonego na dostawy broni do Libii przez ONZ i stałoby w sprzeczności z deklarowanym przez Rosję uznaniem oficjalnych władz w Trypolisie. Dlaczego więc tym razem Moskwa najwyraźniej zmieniła zdanie i postanowiła pomóc Haftarowi?

Brytyjczycy twierdzą, że celem Rosjan jest wywołanie nowej fali imigracyjnej do Europy. Według danych z marca w Libii na okazję do podróży przez Morze Śródziemne oczekuje ok. 180 tys. Libijczyków oraz 662 tys. imigrantów z głębi Afryki. Są oni powstrzymywani przez rząd w Trypolisie, wspierany przez Włochy.

Jest jednak jeszcze inny, być może bardziej prawdopodobny, powód możliwej zmiany rosyjskiej polityki wobec Libii. Chodzi o ogromne, dziesiąte pod względem wielkości na świecie, złoża ropy naftowej, które znajdują się właśnie we wschodniej części kraju, kontrolowanej przez Haftara. Gdyby udało się Haftarowi pokonać władze w Trypolisie, z pewnością odwdzięczyłby się Rosjanom udziałami w eksploatacji tych złóż. Ale nawet jeśli nie udałoby mu się przejąć władzy, to i tak Rosja zyskuje na konflikcie. Mniej ropy na rynku – to wyższe ceny i większy popyt na syberyjską ropę. A to oznacza obfite zyski dla rosyjskiego budżetu. I wszystko staje się jasne.

Konrad Kołodziejski

USA

Google chce cenzury

Amerykański portal Breitbart News opublikował liczący 85 stron raport, który wyciekł z Google. Technologiczny gigant opowiada się w nim za cenzurą internetu. W imię „bezpieczeństwa i dobrych obyczajów".

Jak możemy przeczytać w raporcie, „stalkerzy, rasiści i frustraci" niszczą wolność słowa w internecie. By ją więc przywrócić, należy założyć im kaganiec, porzucając „zakorzenioną w amerykańskiej tradycji ochronę wolności słowa na rzecz zakorzenionej w europejskiej tradycji ochrony uczuć użytkowników internetu". „Cenzura może sprawić, że sekcje komentarzy w sieci staną się bardziej bezpieczne i cywilizowane" – twierdzi technologiczny gigant i wzywa inne firmy, jak Apple, do tego, by przyłączyły się do jego misji cenzorskiej. „Należałoby wyeliminować z sieci wszystkie nienawistne komentarze, radykalne poglądy, wyrazy złości i rasizmu" – głosi raport Google.

O dziwo – jak pisze Breitbart News – ujawnienie raportu nie spotkało się z oburzoną reakcją mediów za oceanem. „Nie było niemal żadnej reakcji, poza pozytywną" – podkreśla portal i stawia tezę, że wynika to z tego, iż twórcy liberalnych mediów zgadzają się z Google i „uważają cenzurę internetu za słuszną". Jeden z portali, The Verge, uznał wręcz, że „cenzura, choć trudna do wykonania w praktyce, jest z zasady rzeczą dobrą". Nawet jeśli nie jest neutralna politycznie. „Cenzurowane powinny być przede wszystkim opinie zwykłych ludzi, które nie mają przecież i nie mogą mieć takiej samej wagi jak opinie ekspertów i poważnych źródeł" – twierdzi The Verge. Poważnych źródeł – jak „Washington Post" czy „New York Times".

Tak więc cenzura stała się w Stanach Zjednoczonych rzeczą dobrą, a cenzor zaczął się jawić jako dobrotliwy opiekun, dbający o etykietę internetowych sporów. Ciekawe jest przy tym, że Google tworzy od jakiegoś czasu przeznaczoną specjalnie na rynek chiński ocenzurowaną wersję swojej przeglądarki, która pozwoli władzom Państwa Środka inwigilować obywateli (Projekt Dragonfly). Google w 2010 r. wycofał swoją usługę wyszukiwania z Chin, m.in. ze względu na cenzurę.

Aleksandra Rybińska

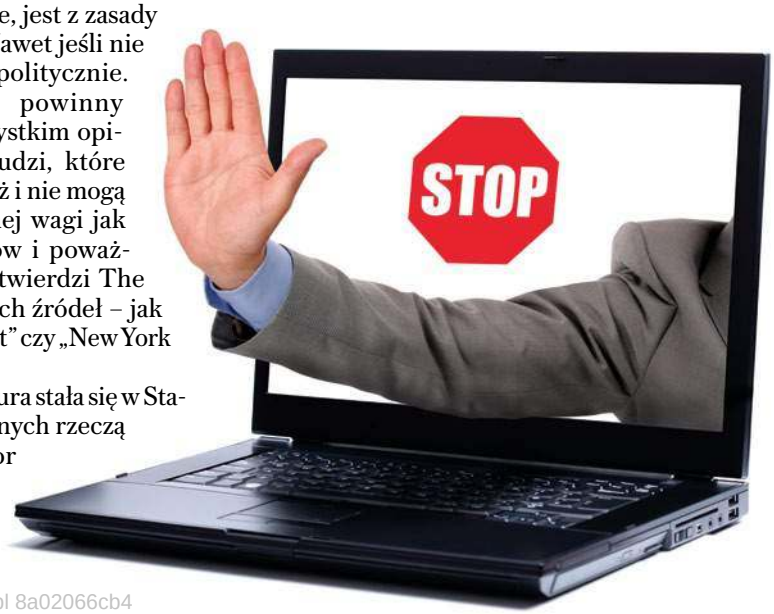

eprasa.pl 8a02066cb4

Rosja

GRU na własną rękę?

Kto i właściwie dlaczego wysłał do Salisbury dwóch groteskowych agentów, żeby zabili Siergieja Skripala, byłego pułkownika wojskowego wywiadu GRU, który wiele lat temu zdradził Rosjan na rzecz Anglików? Nie wiadomo, ale wiele wskazuje, że pod naporem faktów Moskwa szykuje wariant rezerwowy. Miałby on wyglądać mniej więcej tak: owszem, to była nieudana próba zamachu, ale decyzji nie podejmowały władze polityczne. To zrobiło GRU, samo, na własną rękę.

I tak były szef wywiadu KGB Michaił Lubimow barwnie opowiada, jak to „tylko w strasznym śnie" mógłby sobie wyobrazić, że Kreml, który robi wszystko, co może, żeby poprawić relacje z Zachodem, decyduje się na ryzykowny krok, który te relacje dodatkowo by popsuł. Bo z punktu widzenia Kremla Skripal jest już przecież nieistotny.

Nie jest natomiast – przekonuje Lubimow – nieistotny z punktu widzenia byłych kolegów z GRU, których wydał Anglikom. A to owym byłym kolegom skomplikowało kariery czy nawet groziło ich złamaniem. Jasne więc, że w wojskowym wywiadzie utrzymały się silne i mające charakter wręcz osobisty negatywne emocje wobec zdrajcy. „Wyobraźcie sobie te setki oficerów, którym Skripal rozwalił życie i którzy zamiast kolorowo żyć w Londynie czy Genewie, toczą teraz żałosny byt w garnizonach, piją wódkę i przeklinają sprzedawczyka" – mówi Lubimow. Według jego sugestii na tym psychologicznym tle kierownictwo GRU mogło podjąć decyzję o likwidacji zdrajcy. Oczywiście samodzielnie – „pri obszczom bardakie", czyli w warunkach panującego teraz w Rosji ogólnego, tak przetłumaczmy, bałaganu.

„W putinowskim państwie panuje bardak" – zgadza się z Lubimowem Siergiej Żirnow, były wywiadowca – „nielegał" KGB, a potem rosyjskiego wywiadu, z punktu widzenia Kremla też zdrajca, bo przeszedł na stronę Francuzów i żyje nad Sekwaną w konspiracji. „Wydaje się, że służby specjalne to organizacje poważniejsze od innych, i tam wszystko powinno dziać się bardziej na poważnie, ale to jest naiwne myślenie. Bo jeśli jest bardak w całym państwie, to taki sam panuje również w specsłużbach".

I mówi, co mogło doprowadzić do decyzji o zamachu na Skripala. Otóż w rosyjskich służbach panuje według niego nie tylko bardak, lecz także przeświadczenie, że służby zachodnie mają tyle problemów z terroryzmem islamskim, że na inne zagrożenia, w tym to rosyjskie, nie mają już sił ani środków. Więc Rosjanie mogą liczyć na bezkarność.

Kto więc i dlaczego zdecydował zabić Skripala? Obawiam się, że jeśli się tego dowiemy, to dopiero kiedy otworzą się archiwa. Czyli – w czasie następnej rosyjskiej smuty...

Piotr Skwieciński

Korea Północna

Kim zaprasza Franciszka

Dyktator Korei Północnej Kim Dzong Un wysłał list do Stolicy Apostolskiej, zapraszając Franciszka do złożenia wizyty w Pjongjangu. Z przecieków w Watykanie wynika, że zaproszenie spotkało się z pozytywną reakcją i nie jest wykluczone, że wiosną przyszłego taka podróż dojdzie do skutku.

W tym kontekście warto przypomnieć, że Korea Północna – w raportach takich organizacji, jak np. Open Doors czy Kirche im Not – zajmuje pierwsze miejsce na świecie, jeśli chodzi o prześladowanie chrześcijan. Przymusowa ateizacja ma tam charakter wręcz zbrodniczy. Przed objęciem władzy przez komunistów i podziałem Korei na dwa państwa w północnej części półwyspu mieszkało do 100 tys. katolików i do 200 tys. protestantów. Dziś oficjalne statystyki władz KRLD mówią, że w 24-milionowym kraju żyje zaledwie 12 protestantów i 800 katolików. W Pjongjangu czynne są cztery kościoły: dwa protestanckie i po jednym katolickim oraz prawosławnym. W praktyce korzystają z nich jedynie turyści, dyplomaci oraz pracownicy zagranicznych organizacji pozarządowych. Duchownymi są tam de facto funkcjonariusze komunistyczni.

Nikt nie wie, ilu chrześcijan tak naprawdę żyje w Korei Północnej, ponieważ jest to najbardziej totalitarne i odizolowane od reszty świata państwo. Dane przytaczane przez różne organizacje międzynarodowe mówią o tym, że wyznawców Chrystusa może być nawet ponad 100 tys., ale większość z nich może przebywać w obozach przymusowej pracy. Są to jednak tylko szacunki.

Wizyta Franciszka w Pjongjangu nie jest wykluczona, ponieważ wpisuje się w obecny nurt polityki Watykanu. Przypomnijmy, że pod koniec września zawarto porozumienie z Chinami, na mocy którego Stolica Apostolska poszła na bardzo daleko idące ustępstwa wobec Pekinu. Intencją papiestwa było zagwarantowanie tamtejszym katolikom swobody kultu. Być może podobna motywacja przyświeca Rzymowi obecnie. Kim Dzong Unowi zależy z kolei na wyjściu z międzynarodowej izolacji. Czas pokaże, kto osiągnie swój cel.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 8a02066cb4

OGNIEM NA WPROST

Lwica z Rietberga

Pytanie: gdzie polskie homolobby i cała reszta z LGBT, i coś tam mają najlepszą prasę? Odpowiedź jest banalnie prosta i wręcz nasuwa się sama. Otóż w Niemczech. W kraju, gdzie ulice metropolii przyozdabiają dziś tęczowe flagi (do 1945 r. zamiast nich wisiały takie ze złamanym krzyżem), również media w ramach mainstreamu muszą nadążać za postępem obyczajowym. Przoduje wśród nich dziennik „Die Welt", a w nim dziennikarska „gwiazda" Emilia Smechowski. Rozpisuje się ona w samych superlatywach o prezydencie stolicy Wielkopolski Jacku Jaśkowiaku, inicjatorze różnych akcji pod wspólnym hasłem „Poznań od tyłu". Ach, jaki on wspaniały – zachwyca się autorka, pisząc, że w kraju, w którym homoseksualizm uważany jest za chorobę i jako taką można ją leczyć, „jako pierwszy szedł w pochodzie Gay Pride". Smechowski dumna jest również z Lublina. Już nie przeszkadza jej, że to akurat znienawidzona pisowsko-reżimowa policja utorowała drogę tęczowemu marszowi, rozbijając siłą blokadę przeciwników. Zdaniem „Die Welt" w ten sposób Lublin awansował do najwyższej rangi, jaką można sobie wyobrazić, a mianowicie „miast europejskich". Skądinąd niewiele trzeba, by zostać prawdziwym Europejczykiem. Wystarczy popierać ruch LGBT. No cóż – można tylko pogratulować temu miastu godnego miana „europejskiego grodu pełną gębą", a redaktor Smechowski równie wspaniałego pióra.

A na Węgrzech rząd premiera Viktora Orbána skreślił program studiów gender z wykładów na uczelniach. Jak stanowi rządowy dokument: „Naukę będą mogli kontynuować studenci przyjęci na studia magisterskie nauk o płciach społecznych najpóźniej w procesie rekrutacyjnym 2018 r.". Węgierscy politycy są zgodni w ocenie gender studies. „Studia gender, tak samo jak marksizm, leninizm, można uznać bardziej za ideologię niż naukę" – powiedział sekretarz stanu w ministerstwie zasobów ludzkich Bence Rétvári. Prawo uderzyło przede wszystkim w uczelnie ufundowane przez George'a Sorosa: im. Loránda Eötvösa w Budapeszcie oraz Uniwersytet Środkowoeuropejski. Oj, Unia znowu się wścieknie. Niestety, u nas dalej studia gender wykładane są w najlepsze, choć jesteśmy znacznie potężniejsi od Węgrów, a Instytut Ordo Iuris jest bliski zebrania 20 tys. podpisów pod petycją likwidującą ten chory kierunek na polskich uczelniach. Czyżby rządowi po trzech latach zabrakło woli walki w tej kwestii?

Według rzecznika policji w Bielefeld (Nadrenia Północna) miało dojść do próby gwałtu. 25-letni marokański imigrant w niedzielny ranek dopadł młodą kobietę na drodze przebiegającej pod mostem kolejowym. Muzułmanin zaatakował ofiarę od tyłu, pchnął ją na ziemię i wciągnął w krzaki. Ale na szczęście dla napadniętej obok przechodziły dwie dziewczyny. Włoszka Linda Cariglia i filigranowa (nieco ponad 150 cm wzrostu) Polka Karola Smaga, mieszkająca w Rietbergu. Obydwie wracały z dyskoteki i bez wahania rzuciły się na pomoc kobiecie. Karola z całej siły pchnęła napastnika. Wściekły Marokańczyk uderzył Polkę w twarz i zaczął uciekać. Ta, nie tracąc rezonu, w szpilkach pobiegła za nim, wołając policję. Dopadła go, kiedy usiłował ukraść rower. Wtedy zamachnął się na nią nożem, raniąc na szczęście tylko w palec. Tym razem kawaleria przyjechała w samą porę. Policja obezwładniła napastnika i zawiozła na komisariat. „Byłam tak skoncentrowana na powstrzymywaniu tego faceta, że nie myślałam o niebezpieczeństwie" – opowiada dzielna rodaczka, która jak pan Wołodyjowski jest „nikczemnej postury, ale walecznego serca". Należy jej się przydomek „Lwicy z Rietberga".

Ukraiński nacjonalista Stepan Bandera, współodpowiedzialny za śmierć ok. 200 tys. Polaków na Wołyniu, pochowany jest na cmentarzu Leśnym w dzielnicy Hadern w Monachium. 15 października 1959 r. zginął w zamachu z rąk Bohdana Staszyńskiego – agenta KGB. Miejsce jego pochówku stanowi również miejsce kultu, na którym jego obecni wyznawcy składają wiązanki kwiatów i rozwieszają czerwono-czarne banderowskie flagi. Z drugiej strony jego przeciwnicy z dużym uporem bezczeszczą grób przy lada się okazji. Ostatnio Brytyjczyk Graham Phillips zerwał zdobienia nagrobka i umieścił na nim napis w języku angielskim: „Ukraiński nazista Stepan Bandera jest tu pochowany". Problem z Phillipsem jest jednak taki, że blisko współpracuje z propagandową kremlowską stacją telewizyjną TV RT. Jest nawet autorem reportażu o Polaku, który walczył po stronie separatystów na wschodzie Ukrainy. W sierpniu zakłócił w Londynie gruzińską wystawę z okazji 10. rocznicy wojny z Rosją, uznając, iż to Gruzja była w niej agresorem, a wystawa jest przykładem „kłamliwej, gruzińskiej propagandy". Widać nie każdy wróg naszego wroga musi być naszym przyjacielem.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 8a02066cb4

Lekcja WOS

Marta Kaczyńska-Zielińska

To miał być tekst o Banksym, o kolejnym artystycznym happeningu twórcy, którego twarz i prawdziwe dane pozostają nieznane. O człowieku, który swoimi graffiti i zaskakującymi publiczność akcjami stara się zwracać uwagę na ludzkie słabości, ułomności współczesnego korposystemu, najróżniejsze problemy społeczne. Pretekstem do pochylenia się nad postacią kontrowersyjnego twórcy był ostatni precyzyjnie wyreżyserowany przez niego spektakl. W domu aukcyjnym Sotheby's w chwili przypieczętowania kwoty 1 mln funtów, za który sprzedano grafikę Banksy'ego, obraz ten uległ zniszczeniu wciągnięty do wbudowanej w jego ramę niszczarki. Po tym zaskakującym zdarzeniu wartość dzieła wzrosła do 2 mln funtów, a autor uzyskał zamierzony przez siebie efekt. Obserwatorom tego swoistego żartu uświadomił, że żyjemy w czasach odwrócenia pojęć, totalnego zamieszania w sferze wartości i zachwiania stałych punktów odniesienia. To niewątpliwie ważne spostrzeżenie dotyczące rozpędzonej współczesności.

Pisanie opowieści o Banksym przerwała mi relacja z... lekcji WOS. Nauczyciel powiedział, że jak Rosja się zdenerwuje „o ten samolot i brzozę" (cytat), to będzie wojna. O tym, że nastąpiła dehumanizacja katastrofy smoleńskiej, pisałam już kilka lat temu. Tragedii, w której zginęło 96 osób – matek, ojców, dziadków, braci, sióstr, synów, córek, mężów, żon, wnucząt, ciotek i wujów, których w jednej chwili zabrakło ich bliskim. O katastrofie sprzed ośmiu lat mówiło się i pisało niemal od początku wyłącznie w kategorii wydarzenia politycznego. Wymiar ludzki wymagający zawsze tak samo godnych określeń w obliczu śmierci został zatarty. W debacie publicznej oponenci walczących o wyjaśnienie przyczyn rozbicia się Tu-154M używali obraźliwego, drwiącego tonu, który przeniknął do społeczeństwa na tyle skutecznie, by zostać usłyszanym z ust pedagoga w szkole.

O tym, jak opisuje się tragedię z 10 kwietnia, decyduje także kilka zjawisk, które zostały uruchomione wiele lat temu. Prezydent Lech Kaczyński był dyskredytowany i obrażany za życia i po śmierci przez polityków PO i sprzyjające temu ugrupowaniu media. Wspominanie o śmierci w tamtym czasie najważniejszej polskiej elity bez cienia szacunku dla piastowanych przez te osoby urzędów, sprawowanych mandatów świadczyć jednak może o szerszym stanie rzeczy – o kryzysie autorytetu państwa. Zjawisko to jest pokłosiem operacji socjotechnicznej, o której wspomniał w jednym ze swoich ostatnich wystąpień Jarosław Kaczyński, doskonale obrazując procesy sprzyjające destrukcji funkcji samorządów. Po 1989 r. w Polsce studzono punityzm – przeciwstawianie się nieprawidłowościom w obszarze zarządzania państwem, jak i w sferze prywatnej działalności gospodarczej, forsowano koncepcję darwinizmu społecznego przy jednoczesnej abdykacji państwa jako organizmu bezsilnego wobec wszelkiego rodzaju nadużyć. Atakowano instytucje społeczne, które mogłyby się tego rodzaju działaniom przeciwstawić. Kościół był w latach 90. przedstawiany w prasie głównego nurtu jako wróg, a „Solidarność" i jej wartości miały odejść do lamusa. Słowo „naród" było zdecydowanie źle widziane, a patriotyzm usiłowano zrównać z nacjonalizmem. W młodzieżowych rozgłośniach nawoływano: „Róbta, co chceta". Pokolenie ludzi, którzy wzrastali w opisanej atmosferze, miało szansę przesiąknąć nihilizmem, czytając gazetę, która u swego początku legitymowała się logo najważniejszego w dziejach świata związku zawodowego i przeglądając wydawany w nakładzie 750 tys. egzemplarzy tygodnik rzecznika PRL-owskiego rządu. Lata rządów PO, które można podsumować stopklatką z czekoladowym orłem i taśmami z opowieścią o „kamieni kupie", sprzyjały ugruntowaniu opisanych postaw.

Procesy nie tłumaczą absolutnie zachowania nauczyciela WOS. Słowa wypowiedziane przez tego człowieka do uczniów świadczą jednak o istnieniu przynajmniej w pewnych środowiskach zaniku wartości, podstawowych zasad oraz pełnego przyzwolenia na poniżające traktowanie ludzi oraz szarganie autorytetu państwa.

eprasa.pl 8a02066cb4

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Jak dziewczynka

„Do kuriozalnej sytuacji doszło w Oakhurst w stanie Georgia w USA. Pięcioletnia dziewczynka została napadnięta seksualnie w szkolnej łazience dla dziewcząt przez chłopca, jej rówieśnika, który chce być dziewczynką. Miał ją pchnąć na ścianę i brutalnie obmacywać. Dziewczynka walczyła z kolegą i krzyczała, by natychmiast przestał. Mimo wołania o pomoc nikt nie zareagował. Pięciolatek miał zezwolenie na korzystanie z łazienki dla dziewcząt zgodnie z polityką, która „wymaga" od szkół w Oakhurst, aby „udostępniały chłopcom, którzy utożsamiają się jako dziewczynki, damskie toalety, szatnie i prysznice na terenie szkoły". O sprawie informuje pch24.pl. Gdy matka poszkodowanej zaczęła się domagać odpowiedniej ochrony dla córki, kuratorium nasłało na nią pracowników socjalnych. Skoro na takie pomysły wpadają pięciolatki, to na jakie mogą wpaść 17-latkowie identyfikujący się jako kobiety?

7,1 proc.
– o tyle w ciągu roku spadł wskaźnik zagrożenia ubóstwem relatywnym dzieci. W 2016 r. wynosił on 21,1 proc., a w 2017 już tylko 14 proc.

12,2 mln euro
– tyle otrzymamy z Funduszu Solidarności UE w związku z klęską żywiołową, która dotknęła Polskę w 2017 r.

128
– tyle przypadków zachorowania na odrę odnotowano w bieżącym roku w Polsce. Dla porównania w 2010 r. było ich 14. Eksperci alarmują, że problem może się pogłębiać, bo z roku na rok rośnie liczba nieszczepionych dzieci.

Nowa płeć?

Mamy jednak nowszą odsłonę gender-szaleństwa, które unosi się nad światem. Tony McGinn, znany jako Tony Bark, który urodził się jako kobieta, później określał się jako transgender, teraz identyfikuje się jako transpies. Tony wyznał, że aportowanie zbliżyło go do męża. Wszystko dzieje się w Los Angeles, a o sprawie informuje dailymail.co.uk. To, co kiedyś było uważane za głęboką dewiację, staje się powodem do dumy i drogą do określania tożsamości. Kto będzie następny: transchomik?

Zmolestowana?

W jednym ze sklepów w Brooklynie doszło do ciekawego zdarzenia. 53-letnia Teresa Klein, określająca się jako „feministka i humanistka", zadzwoniła na policję, aby zgłosić molestowanie, jakiego miała doświadczyć ze strony dziewięcioletniego czarnoskórego chłopca. Klein wezwała funkcjonariuszy po tym, jak stwierdziła, że dziecko dotknęło jej pośladków. „Zostałam zaatakowana seksualnie przez dziecko" – skarżyła się kobieta policji. Dziewięciolatek, który został oskarżony o molestowanie, był w sklepie wraz z matką i młodszą siostrą. Jak donosi „The New York Times", dzieci były przestraszone całą sytuacją i zaczęły płakać. Na szczęście szybko się okazało, że całe zdarzenie zarejestrowała sklepowa kamera. Na nagraniu widać, że chłopiec potrącił kobietę plecakiem, w ogóle nie zwracając na nią uwagi. No, ale co zrobić, gdy głodnemu chleb na myśli.

eprasa.pl 8a02066cb4

Nowszy model?

Francuskie media informują o rozpadzie małżeństwa prezydenta Francji. „Brigitte opuściła Pałac Elizejski" – informuje prasa. Być może to wynik sesji fotograficznej prezydenta, w której wystąpili młodzi, umięśnieni, ciemnoskórzy mężczyźni. Jednak złośliwi twierdzą, że pan Macron zamienił żonę na starszy model.

[...] ja mogę jednak powiedzieć, że na Tuska większy wpływ ma artykuł w »Fakcie« niż opinia Konfederacji Pracodawców czy Komisji Trójstronnej. [...] Dzisiaj oddziaływanie mediów, które są pod kontrolą różnych międzynarodowych koncernów, jest dużo większe na polski rząd niż wszystkich przedsiębiorców razem wziętych" – mówił Waldemar Pawlak na ujawnionych „taśmach prawdy". I sądzicie, że te taśmy były wymierzone w Morawieckiego?

AI w akcji

Amnesty International znowu w akcji. Organizacja domaga się „aborcji na życzenie" dla wszystkich, nie tylko dla kobiet! „Nie tylko kobiety i dziewczyny cispłciowe [kobiety i dziewczęta, które urodziły się jako kobiety] mogą potrzebować dostępu do aborcji. Wykonania zabiegu aborcji potrzebować mogą także osoby interseksualne, transpłciowi mężczyźni i chłopcy, a także osoby o innej tożsamości płciowej, którzy mają zdolność zajścia w ciążę". W taki sposób Amnesty International reklamuje potrzebę wprowadzenia we wszystkich krajach świata „dostępu do bezpiecznej, legalnej aborcji". O sprawie informuje m.in. portal pch24.pl. Według AI aborcja stanowi podstawowy produkt opieki zdrowotnej i jest dużo bezpieczniejsza niż... poród. Takie mamy czasy, że według obrońców praw człowieka lepiej człowieka zabić, niż dać mu życie. A poza tym, co z transchomikami? Czy one nie mają prawa do aborcji?

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x-5)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Mój sojusznik Bartek Węglarczyk

Dominik Zdort

Zacznę od deklaracji, która pewnie zaszokuje czytelników tygodnika „Sieci". Lubię Bartosza Węglarczyka, dyrektora programowego Onetu, dawniej dziennikarza „Gazety Wyborczej". W czasach, gdy pracował dla Adama Michnika, a ja pisałem dla „Rzeczpospolitej", zdarzało się, że mało sympatycznie się ścieraliśmy. A więc kiedy się dowiedziałem, że Węglarczyk ma zostać wiceszefem gazety, w której pracuję, przewidywałem w najlepszym razie konflikt. Wydrukowałem wtedy i pokazałem mojej świętej pamięci Mamie nasze medialne spory. Powiedziała: „Uciekaj z tej redakcji. on cię i tak zwolni".

Jednak Bartek nie dość, że nie zamierzał mnie wyrzucić, to jeszcze okazał się jednym z najbardziej rozsądnych redaktorów. On prostu czuł gazetę. Rozumiał, że „Rzeczpospolita" musi się różnić od „Wyborczej", wiedział, dlaczego powinna publikować teksty o innym zabarwieniu ideowym i – na przykład – rysunki Andrzeja Krauzego.

Nie zaprzyjaźniliśmy się bliżej, ale Węglarczyk był często moim cennym sojusznikiem, dbającym o tożsamość naszej gazety. Zapracował wtedy na mój szacunek. Zdarzało się, że polemizowaliśmy, nie tylko na kolegiach redakcyjnych, lecz także na łamach, czasem zajmując całkiem nieoczywiste stanowiska: kiedy on atakował Donalda Tuska za wzywanie do bojkotu referendum w sprawie odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz, ja broniłem szefa PO.

Odejście Bartka z „Rzeczpospolitej" mocno osłabiło redakcję. Tym bardziej że za nim do Onetu poszli Andrzej Stankiewicz i Andrzej Gajcy. Byli nie tylko świetnymi dziennikarzami, lecz też starali się być uczciwi – co obecnie w naszym zawodzie nie jest już standardem. Dlatego regularnie przeglądałem portal, którym kieruje Węglarczyk.

O kolejnych „taśmach Morawieckiego" czytałem na Onecie z zainteresowaniem. Informacje o tym, kogo zatrudniał i komu chciał przelać pieniądze na fundację, nie były bombą, ale pokazywały niebezpieczne związki biznesu i polityki, a więc dobrze, że zostały ujawnione. Jasne, że Onet chciał zaszkodzić dobrej zmianie, ale jeśli dzięki temu jest szansa na polepszenie jakości życia publicznego...

Jednak raczej nie o to chodziło. Publikacja słów, które prywatnie powiedział pewien prezes banku o pewnym kierowcy wyścigowym, nie ma nic wspólnego ani z interesem państwa, ani z dziennikarstwem, ani z uczciwością. Choć Węglarczyk tego się wypiera, to już tylko propaganda i „uprawianie polityki". Bartku, naprawdę warto?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 8a02066cb4

RZECZY POSPOLITE

Zadek Oktawiana

Tomasz Łysiak

Pewnie nikt już nie pamięta wojny peruzyńskiej. Bo i po co? Kogóż dzisiaj jeszcze interesuje, co się działo w starożytnej Italii parę lat po zgonie Cezara, gdy zawiązał się drugi triumwirat, w którego skład weszli Marek Lepidus, Marek Antoniusz oraz Oktawian? Powiedzmy sobie szczerze – nikogo poza garstką historyków lub miłośników antyku. W sumie szkoda, bo działy się wtedy rzeczy godne dużych tytułów na portalach informacyjnych, w prasie i telewizjach.

Oto wyobrażam sobie, że dajmy na to Monika Olejnik zaprasza do „Kropki nad i" Oktawiana i każe mu się tłumaczyć, dlaczego w celu uzyskania środków dla weteranów wywłaszczył senatorów. W migawkach można by dać wypowiedzi wściekłych senatorów. A w „Wiadomościach" – trzymających chwilowo z Oktawianem – ukazałby się spory materiał atakujący Lucjusza Antoniusza (brata Marka) i jego żonę Fulwię, a także sonda uliczna wśród weteranów na temat tego, dlaczego dostali mniejsze nadziały w wyniku wymuszonego cofnięcia wywłaszczenia senatorów. „Oktawian rusza na Nursję!" – świetny nagłówek do Onetu. „Lucjusz uderza na Rzym" – Wirtualna Polska. Portale Niezależna.pl i wPolityce.pl podgrzewają ucieczkę Lucjusza i jego zamknięcie się w mieście Peruzja. Tu wkracza Gazeta.pl, dając wywiad z ekspertem, prof. Bralczykiem, wyjaśniającym, iż termin „wojna peruzyńska" pochodzi od nazwy miasta.

Atmosfera gęstnieje. Żołnierze obu stron rzucają się sobie do gardeł. Strącają szarańczę ze zdrowego drzewa Rzymu albo straszą najazdem barbarzyńców, Hunów i Germanów w niedalekiej przyszłości. Peruzja pada. Oktawian każe wyrżnąć członków rady miejskiej, a w idy marcowe 40 r. w rocznicę zamordowania Cezara skazuje na śmierć 300 senatorów trzymających z wrogiem. „Moriendum est" („Trzeba umrzeć") – odpowiada błagającym o życie.

A serio – archeologowie znaleźli na polu jednej z bitew wojny peruzyńskiej kulki wystrzelone przez procarzy Lucjusza. A na nich – o zgrozo – język nienawiści sprzed dwóch tysięcy lat: „Walnę Oktawiana w zadek", „Oktawian ma zwiotczałą kuśkę". Po prostu kiedyś, zamiast Twittera, ludzie korzystali z procy. A poza tym niewiele się zmieniło.

Kto strząśnie Schetynę?

Piotr Cywiński

Pamięta ktoś jeszcze to dziewczę z Dzierżoniowa, lat 17, którego wypowiedź stała się medialnym hitem? Że narybek, że taka odważna, obiecująca, że wyrasta na nową gwiazdę SLD? Sam papa Miller się z tym dziewczęciem sfotografował. A czym „błysnęło"? Tym, że dla dziewczęcia żołnierze wyklęci to byli bandyci i zdrajcy, a podziwiani przezeń prawdziwi patrioci to sprawcy stanu wojennego, masakry w kopalni Wujek itp. Dziewczę chwaliło się, że pasjami uwielbia „prawicowe reakcje" na swe „lewicowe poglądy", bo tak skacze mu adrenalina, jakby wchodziło „do klatki ze wściekłymi zwierzętami". Nazwiska tej nieletniej nie przypominam, może kiedyś, gdy już nauczy się posługiwać papierem toaletowym, będzie mi za to wdzięczna.

W jej wieku poglądów się nie ma, bo nie ma się jeszcze wiedzy, którą dopiero się zdobywa. Kto nie ma wiedzy, ten nie ma poglądów, choć każdy twierdzi, że je ma i że ma do nich prawo. Grześ Schetyna, jego nazwisko mogę podać, bo to już duży chłopiec i ząbki mu się wyrznęły nawet w obie strony, też tak twierdzi i też ze swego obywatelskiego prawa do głoszenia, co mniema, korzysta. Ostatnio rzucił w eter poprzez mikrofony, bo są tacy, którzy chcą go słuchać i jeszcze mu klaszczą, w liczbie mnogiej: „Musimy strząsnąć ze zdrowego drzewa naszego państwa pisowską szarańczę!". Na ten apel zareagował drugi Grześ, lat 61, też z PO, Furgo się nazywa, z wykształcenia politolog, który puścił w świat poprzez internet, a potem przeprosił, że niby „nie miał zielonego pojęcia", co puścił, faszystowski plakat z czasów wojny, z wpisanymi, demonicznymi twarzami premiera RP, prezesa PiS oraz urzędującego i byłego ministra. Z niebytu wynurzył się również były szef polskiej dyplomacji, też duży chłopiec, Radzio Sikorski, spec od dorzynania watahy i – jak wieść niesie – robienia loda każdemu w razie potrzeby dla sprawy, który wsparł Grzesia, że „szarańcza" to jest „słowo bardzo adekwatne".

„Poglądy są jak dupa, każdy jakieś ma, ale po co od razu pokazywać" – jak to ujął pisarz Andrzej Sapkowski, lat 70. Grześ od „szarańczy" ma lat 55 i w odróżnieniu od nieletniej działaczki SLD ponosi pełną odpowiedzialność za swe słowa i czyny. Jaki jest kuń, każdy widzi. Więc ja, też nie młokos, całkowicie odpowiedzialny, pytam ciąg pokoleniowy PO: kto strząśnie z drzewa Schetynę & Company? I, jak w przypadku nieletniej, której nazwisko przemilczałem, mam nadzieję, że kiedyś będą mi za to pytanie wdzięczni nie tylko szeregowi członkowie Platformy, z nazwy Obywatelskiej.

eprasa.pl 8a02066cb4

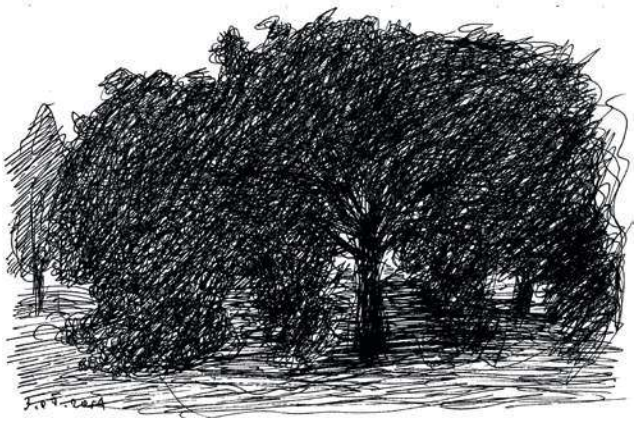

Andrzej Krauze z natury

Od ostatniego poniedziałku października będzie można oglądać wystawę Andrzeja Krauzego pod tytułem „Drzewa" w siedzibie Fundacji Polska Wielki Projekt. Zaprezentowane zostaną wycinanki i rysunki z natury przedstawiające drzewa z londyńskich Ogrodów Kensington oraz z Włoch.

Zadaliśmy Andrzejowi Krauzemu pytanie, dlaczego drzewa? Czy to pomysł na oderwanie się od bieżących komentarzy politycznych, z których jest przede wszystkim znany?

– Namówiła mnie żona. Jakieś dziesięć lat temu zacząłem rysować z natury. Na początku szło mi to dosyć opornie, z czasem moje wizyty w gajach oliwnych w czasie wakacji czy codzienne wędrówki przez ogrody kensingtońskie w Londynie zamieniły się w sesje rysunkowe. Drzewa stały się częścią mojej twórczości, tak jak ilustracje, plakaty i, z czego jestem najbardziej znany, rysunki satyryczne. Ta wystawa to pierwsza próba pokazania ich szerszej publiczności.

Andrzej Krauze zajmuje się rysunkiem, ilustracją książkową i plakatem. Od 1979 r. mieszka w Londynie, gdzie od 1989 r. jest jednym z głównych rysowników „Guardiana". Od 2001 do 2016 r. zamieszczał swoje komentarze polityczne w „Rzeczpospolitej". Publikował w „Szpilkach", „Kulturze", „The Times", „The Independent on Sunday", „The Sunday Telegraph", „The Observer", „The Economist", „New Statesman", „The New York Times". Współpracuje z „Do Rzeczy", „Sieci", wPolityce.pl, „Gościem Niedzielnym", tygodnikiem.tvp.pl.

„Drzewa. Rysunki i wycinanki" Andrzeja Krauzego,
Fundacja Polska Wielki Projekt, ul. Szpitalna 5 lok. 18, Warszawa,
Wystawa czynna: od 29 października do 21 grudnia 2018,
od poniedziałku do piątku w godz. 15.00–17.00

eprasa.pl 8a02066cb4

POligon wyborczych łgarstw

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Haki, taśmy i nieczyste zagrania zdarzały się w polityce nieraz. Ale ta kampania pokazała niespotykaną dotąd skalę manipulacji. Opozycja, grając na najniższych instynktach, testowała, jak daleko może się posunąć w kłamstwach. Analizujemy rozpędzającą się technologię wyborczego hejtu, którego kumulacja dopiero przed nami

eprasa.pl 8a02066cb4

Fot. Stefan Maszewski/REPORTER

Wybory samorządowe to pierwsza konkurencja w dwuletnim czwórboju. Najmocniejsza amunicja jest zapewne szykowana na przyszłoroczne wybory parlamentarne. Powtórzą się podobne mechanizmy. Brutalne zaostrzenie języka już stało się faktem. Ordynarne fake newsy podaje się w formie profesjonalnie opracowanych grafik, dzięki czemu zyskują one na popularności. Już teraz widać, że rosnące w siłę media społecznościowe stały się pasem transmisyjnym swoistej technologii kłamstwa, bo o wyborczym hejcie nie można już mówić w kategoriach pojedynczych wybryków domorosłych internautów. Coś takiego nie byłoby możliwe bez ludzi, którzy chcą pozostać w cieniu, ale dużymi pieniędzmi zasilają machinę zdolną wpływać na nastroje wyborców, popularność polityków i – w efekcie – wyborczy wynik. Poligonem numer jeden jest Warszawa. Najboleśniej o skali tego brudnego przedsięwzięcia przekonał się kandydat na prezydenta stolicy Patryk Jaki.

MEMEM W JAKIEGO

Na początek cytat ze strony konkret.tvn24.pl. To założony w ubiegłym tygodniu przez stację informacyjną serwis factcheckingowy, mający weryfikować kłamstwa pojawiające się w dyskusji publicznej. Abstrahujemy od kuriozalnego faktu, że właśnie ociekający manipulacjami TVN organizuje sobie taki listek figowy... Zapewne, aby dodać sobie wiarygodności, w jednej z pierwszych publikacji rozprawia się on z przypisywanym Mateuszowi Morawieckiemu cytatem o „zap... za miskę ryżu". Prawdziwe słowa obecnego premiera wypowiedziane u Sowy & Przyjaciół były zupełnie inne od kolportowanych w tysiącach internetowych postów, zwłaszcza w postaci memów. Nie da się z nich wyciągnąć wniosku, że ówczesny prezes banku BZ WBK pogardliwie odnosił się do Polaków. Konkret24 obnaża tę manipulację, by na końcu stwierdzić: „Jak podnoszą eksperci, memy są coraz częściej głównym sposobem rozprzestrzeniania się dezinformacji – są wiralowe i mają większy potencjał szybkiego rozchodzenia się po sieci. Internauci chętniej dzielą się nimi w sieciach społecznościowych niż zwykłymi, tekstowymi wpisami. – Algorytmom opartym na uczeniu maszynowym trudniej jest radzić sobie z memami niż z innymi treściami – uważa Jennifer Grygiel z Syracuse University".

> Gdy tylko Patryk Jaki ogłosił start w wyborach, na Facebooku pojawił się profil pod nazwą „Jaki naprawdę jest #Jaki2018". To wyjątkowo agresywne narzędzie, pełne kłamstw i manipulacji

Najwyraźniej dobrze zdają sobie z tego sprawę sztabowcy konkurentów Patryka Jakiego w wyścigu o Warszawę. Gdy tylko wiceminister sprawiedliwości ogłosił start w wyborach, na Facebooku pojawił się profil pod nazwą „Jaki naprawdę jest #Jaki2018" (skrótowo będziemy o nim pisać „JNJJ"). To wyjątkowo agresywne narzędzie służące do dyskredytowania kandydata Zjednoczonej Prawicy, posługujące się głównie krzykliwymi grafikami (memami) przypominającymi okładki tabloidów, pełnymi manipulacji lub zwykłych kłamstw. Zerknijmy na próbkę tego, co on serwuje.

Wiele memów dotyczyło formalnego nadzoru, jaki minister sprawuje nad Służbą Więzienną. Na różne sposoby wykorzystywano więc w walce politycznej morderstwa przebywających na przepustkach skazańców. „JNJJ" wrzeszczał: „Warszawo! Po twoich ulicach krążą groźni przestępcy i mordercy, których na przepustki wypuścili podwładni Patryka Jakiego. Zamordowali już 2 osoby. Pan Jaki nic nie robi, bo prowadzi kampanię". W kolejnym memie: „Czerwony alarm dla Warszawy!!! Patryk Jaki stracił kontrolę nad wypuszczanymi z więzień na przepustki mordercami... Właśnie jeden z nich zabił w Warszawie kobietę i jej 3-letnie dziecko!!! Oto jak Warszawą będzie rządził PiS". To tak, jakby obarczać ministra zdrowia odpowiedzialnością za błąd pojedynczego lekarza. Albo ministra spraw wewnętrznych za spowodowanie wypadku przez pijanego policjanta. Absurd. Ale budzący emocje i budujący niechęć do kandydata.

Kolejny przykład – na grafice czytamy: „W warszawskich teatrach nie

eprasa.pl 8a02066cb4

będą grane spektakle, które w naszej ocenie są jednoznacznie negatywne – Patryk Jaki. Ważne! A w kinach zakaże filmu »Kler«... »Warszawa musi być katolicka i narodowa«". Jaki nigdy nic takiego nie mówił.

I jeszcze jeden: „To ja sprawiłem, że mój tata został prezesem wodociągów w Opolu i zarobił 242 tys. zł – Patryk Jaki. Jak już zostanę tym, no... prezydentem Warszawy, ściągnę tatusia do stolicy. To zarobi więcej!". Jak było w rzeczywistości? Jaki wyjaśniał na łamach „Sieci": „Gdy zostałem radnym, tata pracował w instytucji podległej ratuszowi [dostał tam pracę w czasie rządów PO – przyp. red.]. Prezydent wezwał go któregoś dnia i powiedział, że jeśli syn nie zagłosuje za budżetem po jego myśli, wówczas ojciec straci pracę. Tata honorowo nic mi nie powiedział, ja zagłosowałem zgodnie z sumieniem, a ojciec stracił pracę. Po ponad dekadzie sprawiłem, że tata mógł wrócić do pracy, z której go niesłusznie wyrzucono". Dodał też, że ojciec ma duże sukcesy i „jest tytanem pracy". Wirtualna Polska próbowała omawiać ten wywiad w negatywnym tonie, ale musiała przyznać, że za prezesury Jakiego seniora sytuacja finansowa opolskich wodociągów znacząco się poprawiła.

Tego typu przykładów jest dużo więcej.

ROBOTA PLATFORMY?

Nie sposób opisywać profilu „Jaki naprawdę jest Jaki" w oderwaniu od innego hejterskiego zakątka Facebooka – „SokzBuraka". Ten ostatni to swoista instytucja nienawiści, która ma już ponad 700 tys. fanów. „Sok" intensywnie promował nowy profil, czym pomógł mu szybko zbudować szeroki zasięg oddziaływania. Natomiast pierwszym obserwującym „JNJJ" na Twitterze był... Instytut Obywatelski, think tank Platformy Obywatelskiej. Bardzo szybko zaczęli go śledzić również szeregowi politycy PO. Jest wręcz niemożliwe, by przypadkowo takie zainteresowanie Platformy wzbudził oddolnie powstały kanał w mediach społecznościowych.

„SokzBuraka" atakował bez opamiętania do tego stopnia, że w pewnym momencie nie wytrzymała nawet „Krytyka Polityczna": „Czy bezrefleksyjnie rzucając w Patryka Jakiego błotem fejków i manipulacji, da się wygrać z PiS-em?". Czarę goryczy przelał post, w którym do starego zdjęcia z profilu Jakiego doklejono psa i opatrzono komentarzem sugerującym, że zamieścił go sam polityk: „Ja i mój rablador". To poziom piaskownicy, ale ktoś najwyraźniej uznał, że warto i tak się zniżyć, by zaszkodzić politycznemu oponentowi.

„Sok" działa szerzej – atakuje nie tylko pisowskiego kandydata na prezydenta Warszawy (jednocześnie mocno promując Rafała Trzaskowskiego), lecz cały obóz Zjednoczonej Prawicy. Bardzo często sięgając po regularne kłamstwa, tworząc wulgarne grafiki. Sztabowcy Jakiego próbowali interweniować w Facebooku (złożyli też w tej sprawie doniesienie do prokuratury). Pracownicy FB jednak bezradnie rozłożyli ręce, argumentując, że w Polsce – inaczej niż w wielu krajach Europy Zachodniej czy USA – firma nie uruchomiła tzw. zespołów konsultacyjnych, które oceniają prawdziwość publikowanych informacji. Nie przejęli się również tym, że „Sok" narusza standardy społeczności FB, ani tym, że w ten sposób Facebook za pieniądze lansuje kłamliwe treści, które mogą wpłynąć na wynik wyborów. Dlaczego za pieniądze?

eprasa.pl 8a02066cb4

Bo wiele z postów „Soku" oraz „JNJJ" jest promowanych, za co prowadzący te profile płacą.

A może nie oni? Skąd płyną pieniądze na „Sok"? Badał to Marcin Makowski z „Do Rzeczy". Jak pisał, w połowie 2015 r. przy okazji dwóch kampanii wyborczych profil z niszowego stał się profesjonalnie tworzoną platformą do walki politycznej. Dziennikarz ustalił, że wpisy na „Soku" powstawały w siedzibie think tanku PO, a zajmować się tym mieli działacze partyjnej młodzieżówki.

Oficjalnie twórca profilu twierdzi, że działa sam (w innym wywiadzie mówił o jednym pomocniku). Ale trudno uwierzyć, że ta sprawnie działająca machina to dzieło jednego człowieka. Co pół godziny wstawiany jest tam kolejny mem, widać, że autorzy uważnie śledzą wszystkie wywiady z politykami w różnych mediach, obserwują profile w mediach społecznościowych etc. Do tego potrzeba sporego zespołu ludzi (i sporych pieniędzy – by im zapłacić oraz wypromować ich twórczość).

KINGA GRYZIE PISOWCA

Platforma Obywatelska oficjalnie odcina się od hejterskich stron. A jaka jest prawda? W ubiegłym tygodniu „Fakt" opisał związki posłanki Kingi Gajewskiej z PO z profilem facebookowym „Ugryź PiSowca". To prawdziwy rynsztok, gdzie porównuje się np. zdjęcia posłów sprzyjających rządowi do dmuchanych lalek z sex shopu. Profil został założony w 2011 r., wówczas nazywał się „Ślub z Best Moments". A to z kolei nazwa jednoosobowej działalności Kingi Gajewskiej, która zanim weszła do parlamentu, zajmowała się organizacją imprez weselnych. Warto też zwrócić uwagę na szatę graficzną „Ugryź PiSowca" – jest bliźniaczo podobna do „SokuzBuraka", treści są krzyżowo udostępniane, bardzo często biorą w tym udział politycy opozycji. Nawet zdjęcia w tle „Soku" i „Ugryź PiSowca" to ten sam sznyt – grafiki komitetu wyborczego PO zamówione w ramach „konwoju wstydu". Pytana przez „Fakt" o „Ugryź PiSowca" posłanka Gajewska stwierdziła, że nie ma z tym profilem nic wspólnego i że w sieci nie trolluje. Nie da się jednak nie zauważyć, że spędza w niej sporo czasu. Nawet we własnej partii żartują z niej, że „ma smartfon przyrośnięty do ręki". Że właściwie żyje na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Rzeczywiście, śledząc internet, wiele można się o niej dowiedzieć. Zresztą nie tylko o niej, założyła nawet na jednym z portali konto... swojemu psu. Ciekawe, czy on też „gryzie PiSowców"?

> Sztabowcy Jakiego próbowali interweniować w Facebooku, złożyli też doniesienie do prokuratury. Pracownicy FB jednak bezradnie rozłożyli ręce

„Ta kampania jest niezwykła. Analizowaliśmy po jednym dniu z poprzedniej kampanii parlamentarnej i prezydenckiej. Dziś poziom hejtu i manipulacji jest na poziomie 300–400 proc. Każdego dnia" – to słowa zatroskanego o debatę publiczną Rafała Trzaskowskiego z wywiadu dla Interii. Kandydat PO i Nowoczesnej na prezydenta Warszawy dokonuje dalej jeszcze bardziej ekwilibrystycznego zapętlenia rzeczywistości, gdy jest pytany o produkowanie kłamstw i płatne promowanie ich na Facebooku. „To jest właśnie bezczelność PiS-u. Oni coś robią, a oskarżają o to drugą stronę. Po tamtej stronie jest machina propagandowa oparta o telewizję publiczną, która bez przerwy produkuje manipulacje. Kiedy przychodzę na spotkanie i mówię, że nie znam tak dobrze wszystkich dzielnic w Warszawie, ale Rembertów znam świetnie, a ktoś wycina zdanie »nie znam wszystkich dzielnic Warszawy« i Wiadomości TVP robią o tym 20 materiałów. To to nie jest wpadka, to jest manipulacja. My robimy filmiki, które pokazują brak wiarygodności Patryka Jakiego. Natomiast nie dokładamy ręki do zorganizowanego hejtu" – twierdzi Trzaskowski. W świetle opisanych wyżej przykładów to ostatnie zdanie brzmi, delikatnie mówiąc, mało poważnie, włącznie z tłumaczeniem, że „nikt w PO nie wymyśla memów", że czasem są tylko podawane dalej.

SZARAŃCZA I NAZIŚCI

Jak zatem zakwalifikować wypowiedziane całkiem na poważnie, głośno i wobec opinii publicznej podczas konwencji regionalnej PO w Poznaniu słowa Grzegorza Schetyny: „Musimy wygrać te wybory i zmobilizować wszystkie pozytywne siły, i strząsnąć ze zdrowego drzewa naszego państwa pisowską szarańczę"? Gdy Jacek Sasin stwierdził, że nazywanie zwolenników PiS „szarańczą" to „język nazistowski, znany z hitlerowskich Niemiec", wice-

eprasa.pl 8a02066cb4

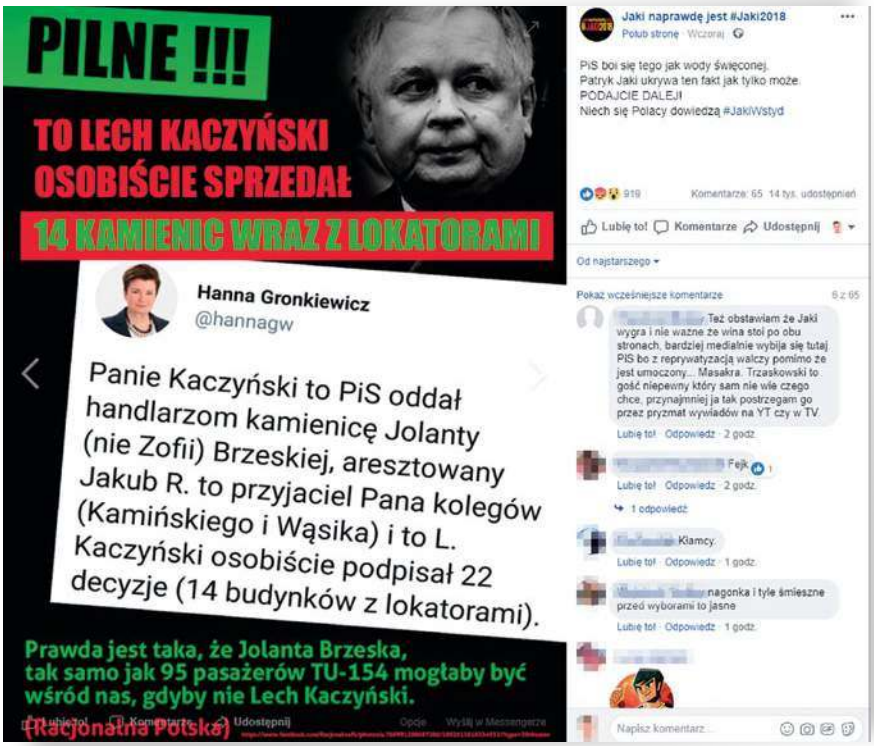

przewodniczący Platformy Tomasz Siemoniak stwierdził w TVN24, że słowa Schetyny „to trafne porównanie". „Przy tym, co mówią politycy PiS, to kaszka z mleczkiem" – dodał i odbił, że porównanie miało podłoże w tekście z Biblii.

Taka przepychanka mogłaby sobie trwać w najlepsze, gdyby nie inny poseł PO Grzegorz Furgo, który propagował przerobiony plakat niemieckiej propagandy z czasów III Rzeszy, w który wstawione były twarze polityków Zjednoczonej Prawicy: Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Zbigniewa Ziobry i Antoniego Macierewicza. Furgo tłumaczył potem, że nie miał pojęcia o nazistowskim pochodzeniu oryginału plakatu. Brak wiedzy nieco zaskakujący jak na członka sejmowej komisji kultury i środków przekazu. A i przeprosiny panu posłowi nie do końca się udały, napisał na Twitterze: „Wszystkich, którzy zostali urażeni, przepraszam". Wypadałoby jednak przeprosić po prostu wszystkich, szczególnie gdy jest się członkiem partii, która przy byle okazji grzmi o zagrożeniu odradzającym się w Polsce faszyzmem.

Sprzeczności w całej PO jest zresztą więcej i zdarzają się o wiele bardziej rażące, także w kontekście kampanii samorządowej. Mowa o Łodzi i Hannie Zdanowskiej, której prawomocny

REKLAMA

31/1018/F

eprasa.pl 8a02066cb4

wyrok za „poświadczenie nieprawdy" nie tylko nie wyeliminował z polityki, lecz nawet nie odsunął od ponownego kandydowania na urząd prezydenta. I – należy to szczególnie podkreślić – nie wykluczył z szeregów Platformy Obywatelskiej, mimo że w przyjętym w ubiegłym roku statucie partii jest zapis, według którego „nie może być członkiem PO obywatel, który [...] został prawomocnie skazany za przestępstwo umyślne ścigane z urzędu". I co z tego? Nic! Grzegorz Schetyna wykonuje naprawdę wymyślny piruet, obściskuje się z kandydatką i tłumaczy, że w tym przypadku należy zastosować... poprzedni statut Platformy (w którym nie było zapisu o skazanych), bo Zdanowska popełniła przestępstwo, gdy ten nowy jeszcze nie obowiązywał. To nawet byłoby śmieszne, gdyby nie było na poważnie. A jest. I podłącza się pod tę hucpę wiele osób, które (często w koszulkach z napisem „Konstytucja") fotografują się z kartką z napisem „#MuremZaHanką". Nie można nie zadać w tym miejscu pytania: jak wymagać uczciwości od partii, która nawet własny statut ma w głębokim poważaniu?

ZMIANA KONCEPCJI

Patrząc na obecną kampanię z pewnej perspektywy, bardzo wyraźnie widać zmianę taktyki opozycji. Pierwsze spotkania Patryka Jakiego z mieszkańcami Warszawy były nieustannie zakłócane, wszczynano awantury. To wtedy na gwiazdę mediów wyrosła „ruda z KOD" oraz pewien charakterystyczny mężczyzna, który chyba postawił sobie za punkt honoru obecność na wszystkich spotkaniach kandydata Zjednoczonej Prawicy. Gdzie jest dzisiaj ta najbardziej totalna frakcja totalnej opozycji? Bo spotkania od jakiegoś czasu nie są już zakłócane, a Komitet Obrony Demokracji i Obywatele RP jakby rozpłynęli się w powietrzu, choć można było podejrzewać, że na finiszu kampanii jeszcze zintensyfikują swoje działania. Czyżby odeszła im niechęć do Jakiego? Trudno w to uwierzyć. Teorie są dwie: jedna wiąże się z pieniędzmi – być może ktoś uznał, że swoją rolę już odegrali i nie ma co dalej tego finansować. Druga – niekoniecznie wykluczająca pierwszą – wskazuje na decyzję polityczną. Ktoś uznał, że zbyt agresywne działania (a takie były) kompromitują opozycję i przyklejają jej niepożądaną etykietkę oszołomów. Postanowiono więc energię przekierować gdzie indziej. Dokąd? Do internetu, bo tutaj można pozwolić sobie na więcej, przy jednoczesnym ukryciu i bezpośrednich sprawców i – przede wszystkim – źródeł finansowania.

> Pierwsze spotkania Jakiego z mieszkańcami Warszawy były nieustannie zakłócane przez KOD i Obywateli RP. Ktoś jednak uznał, że zbyt agresywne działania kompromitują opozycję. Energię przekierowano do internetu

Z tym ostatnim wątkiem wiąże się ciekawa historia, o której w Warszawie aż huczy. Chodzi o człowieka o egzotycznym pochodzeniu – nazwijmy go panem X – od 2009 r. zajmującego się w Polsce politycznym PR. W swoim dossier ma on m.in. pracę dla Rafała Trzaskowskiego w kampanii do europarlamentu, dla Bronisława Komorowskiego przed wyborami prezydenckimi w 2010 r. i dla Hanny Gronkiewicz-Waltz w czasie jej walki o prezydenturę w 2010 r. Później współpracował m.in. z PO przy wyborach parlamentarnych w 2011 r., a także ze stołecznym ratuszem.

W 2014 r. jego firma zawarła umowę (w trybie bezprzetargowym) z jedną z państwowych spółek na usługi doradcze, marketingowe i reklamy w internecie. Obowiązywała do końca 2015 r. Koszt – 600 tys. zł. Z tych pieniędzy miał być finansowany m.in. „SokzBuraka". Gdy napisał o tym pewien użytkownik Twittera, otrzymał dziwną wiadomość. Zgłosił się do niego były rzecznik jednego z ministerstw w rządzie PiS (odszedł z resortu w niesławie) i zaproponował zapłatę za milczenie – na „dzień dobry" kilka tysięcy złotych za usunięcie postów o panu X i stałą stawkę za dalszą współpracę przy PR w mediach społecznościowych. Przy okazji przekonywał, że pan X jest dziś współpracownikiem premiera. Czy tak jest w rzeczywistości? Być może, na pewno współpracował on z Mateuszem Morawieckim, gdy ten był ministrem finansów i rozwoju. Eksrzecznik miał się też zarzekać, że panu X zabroniono współpracy z Rafałem Trzaskowskim. Sprawdziliśmy. Najwyraźniej zakaz okazał się nie do końca skuteczny, bo pan X na swoich profilach w mediach społecznościowych wciąż mocno wspiera kandydata PO.

Z tej skomplikowanej układanki wyłania się zaskakujący obraz grupy PR-owców, którzy od lat współpracują z PO, a jednocześnie w jakiś sposób przykleili się do obecnego rządu. Jaką odgrywają oni rolę w brudnej grze wymierzonej w kandydatów Zjednoczonej Prawicy?

DRUGIE ŻYCIE TAŚM

Trwająca od kilku miesięcy (najpierw nieoficjalnie) kampania wyborcza miała swoje momenty przyspieszenia i pozornego zwolnienia. Były też „zbiegi okoliczności", bo w takich kategoriach należy rozpatrywać pojawienie się nowych nagrań z afery taśmowej. Dziennikarze Onetu „dotarli" do materiałów ze śledztwa, które obecnie znajdują się w Sądzie Najwyższym. Tak się składa – to musiał być przypadek – że nagranym okazał się Mateusz Morawiecki, wtedy szef prywatnego banku, a obecnie premier polskiego rządu, który mocno zaangażował się w kampanię samorządową Prawa i Sprawiedliwości. Dziennikarze rozkładają ręce, zrobiliśmy, co do nas należało. Racja, nagrania należało upublicznić, ale ich zawartość i czas, w którym wypłynęły, zmuszają do zastanowienia się, czy nie za dużo tych zbiegów okoliczności jak na jeden raz. Zwłaszcza że serial Onetu o zawartości taśm był produkcją

54/0918/F

eprasa.pl 8a02066cb4

angażującą ponadprzeciętne siły jak na historię, z której niewiele nowego da się wycisnąć. Zresztą sami publicyści portalu nie ukrywali, że grają na jakieś pęknięcie w obozie dobrej zmiany – pisali o możliwej dymisji premiera czy „problemie PiS z kryzysem wokół taśm”, gdy żadnego problemu nie było. Bo nie było też kryzysu.

Wróćmy jeszcze na koniec do przytaczanego już wywiadu Rafała Trzaskowskiego dla Interii. Kandydat na prezydenta stolicy tłumaczy w nim także, dlaczego te wybory są tak ważne dla jego ugrupowania: „Jeśli Koalicja Obywatelska przegra wybory samorządowe, to dużo trudniej będzie wygrywać kolejne wybory. Warszawa jest bojem symbolicznym. Jeśli wygramy w większości regionów, a przegramy Warszawę, to trudno będzie to przedstawić jako sukces. [...] Jest na pewno ciężar na plecach, ale on wyłącznie motywuje do jeszcze cięższej pracy na ostatniej prostej” – mówi Trzaskowski.

> Sami publicyści Onetu nie ukrywali, że grają na jakieś pęknięcie w obozie dobrej zmiany – pisali o możliwej dymisji premiera czy „problemie PiS z kryzysem wokół taśm”, gdy żadnego problemu nie było

Jest więc jasne, że to, z czym mieliśmy do czynienia do tej pory, to były dopiero ćwiczenia. Polityczny poligon, gdzie sprawdzano broń i amunicję, która we właściwej bitwie ma śmiertelnie ranić przeciwnika. Jeśli nawet politycy PO nie ukrywają, że stawką w tych wyborach jest być albo nie być ich partii, to w takich – wojennych – kategoriach należy rozpatrywać batalię o miasta i województwa. W kolejnych wyborach, europarlamentarnych, zostaną wytoczone – nie mamy wątpliwości – jeszcze cięższe działa, a bój o parlament w 2019 r. to będzie prawdziwa wojna atomowa.

REKLAMA

STEFCZYK FINANSE

To samo miejsce – większe możliwości

W codziennym biegu czas, wygoda i profesjonalna obsługa są wyjątkowo cenne. Wiemy o tym! W naszych placówkach przygotowaliśmy kompleksowe rozwiązania dla Ciebie i Twojej Rodziny.

Przyjdź do placówki Stefczyk Finanse, sprawdź szeroką ofertę i przekonaj się, jak wiele możemy Ci zaoferować.

POZNAJ DOSTĘPNE PRODUKTY:

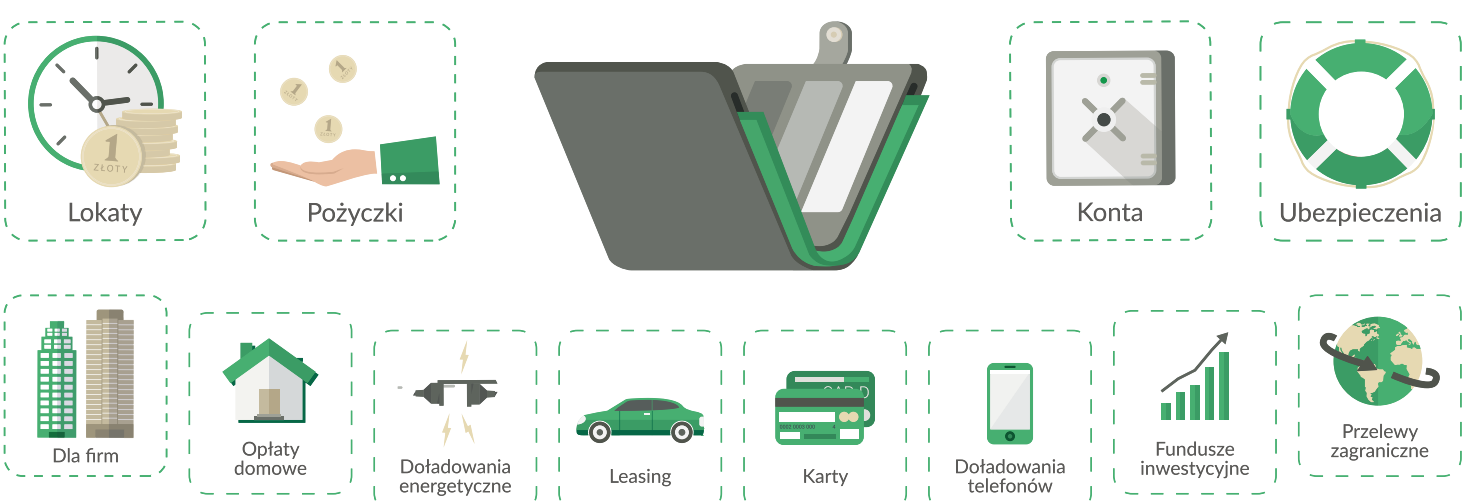

eprasa.pl 8a02066cb4

Wybory w cieniu Goebbelsa

To wszystko wygląda na zaplanowaną, rozłożoną w czasie i podzieloną na role operację

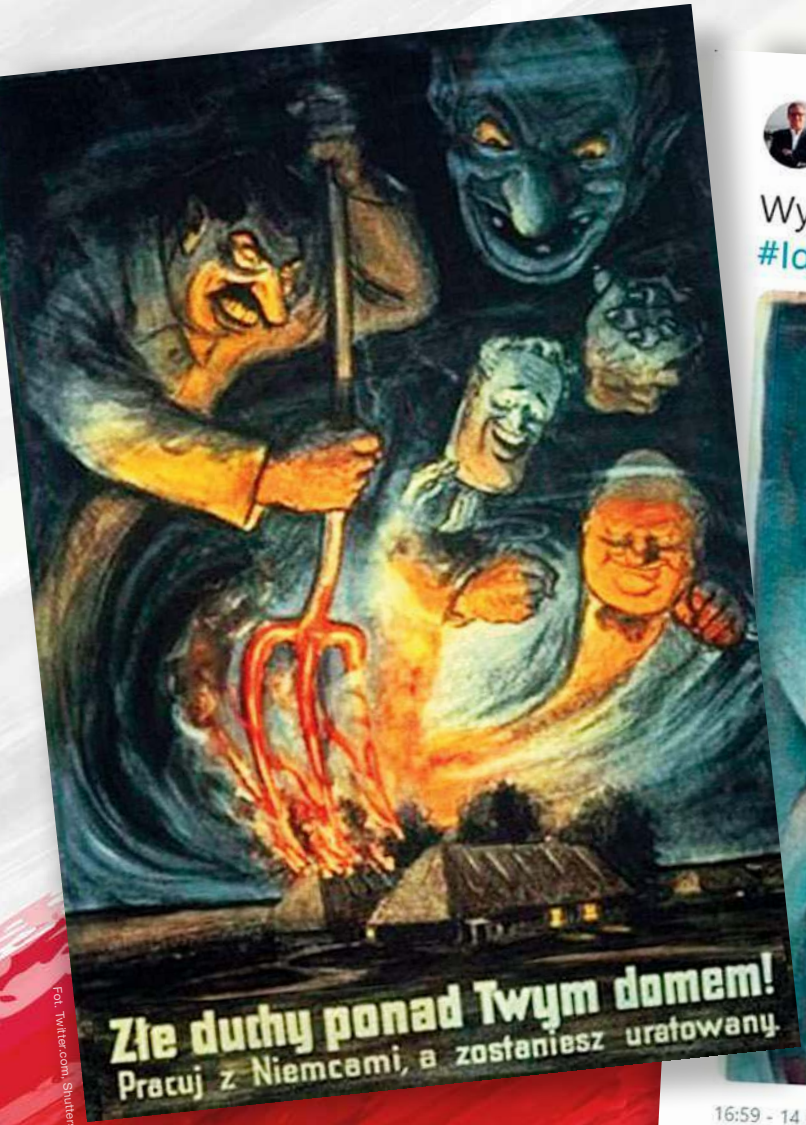

Fot. Twitter.com, Shutterstock

Niemiecki nazistowski plakat z początku lat 40. ubiegłego wieku, który był dziełem fabryki propagandy Josepha Goebbelsa, i jego przeróbka, którą poseł Platformy Obywatelskiej Grzegorz Furgo wrzucił do internetu

eprasa.pl 8a02066cb4

STANISŁAW JANECKI

Na początku lat 40. XX w. potrzeba było wielu egzemplarzy umieszczonych w uczęszczanych publicznych miejscach oraz odpowiednio długiej ekspozycji. Obecnie znacznie skuteczniejsza jest bardzo krótka ekspozycja, byleby w takim kontekście, który jest nie do przeoczenia, najlepiej w atmosferze skandalu.

Z punktu widzenia zasad skutecznego działania propagandy wizualnej wszystko, co zrobił poseł Platformy Obywatelskiej Grzegorz Furgo, wygląda na profesjonalne i zgodne z zasadami. Wrzucił do internetu przeróbkę niemieckiego plakatu nazistowskiego z początku lat 40. Po kilku godzinach internauci odkryli oryginał, a poseł Furgo na to zareagował: przeróbkę usunął, stwierdził, że nie wiedział o istnieniu oryginału i zdawkowo przeprosił. Zasięg oddziaływania przeróbki gwałtownie wzrósł po odkryciu istnienia niemieckiego oryginału, a jeszcze bardziej po usunięciu przeróbki przez Grzegorza Furgę. I zarówno przeróbka, jak i oryginał oddziałują do dziś, i to w skali, jakiej nie osiągnęłaby żadna rozłożona w czasie, „normalna" kampania.

Grzegorz Furgo przez prawie 40 lat był menedżerem kultury, zajmował się m.in. propagandą wizualną, a to, co zrobił, doprowadziło do osiągnięcia maksymalnego zasięgu i maksymalnego nagłośnienia. Efekt był więc optymalny, a koszt niewielki: zdawkowe przeprosiny i względna kompromitacja. Względna, gdyż dla wielu zwolenników opozycji poseł Furgo stał się bohaterem, a nie winnym czegoś nagannego.

ANTYSEMICKIE SKOJARZENIA

Oryginał plakatu głosił: „Złe duchy ponad Twym domem! Pracuj z Niemcami, a zostaniesz uratowany". W przeróbce napisano: „Złe duchy nad Twoim domem! Wspieraj UE, a zostaniesz uratowany". Oryginał pochodził z początku lat 40., z terenu Generalnego Gubernatorstwa i był dziełem fabryki propagandy Josepha Goebbelsa. Przeróbka pochodziła z internetu i nie była szerzej znana do czasu, aż upowszechnił ją poseł Grzegorz Furgo. W oryginale jako złe duchy wystąpili Józef Stalin, Winston Churchill i Franklin Delano Roosevelt oraz dominująca nad nimi postać w propagandzie Goebbelsa utożsamiana z Żydem jako wcieleniem wszelkiego zła i zagrożenia, także biologicznego. W przeróbce znaleźli się Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro i Mateusz Morawiecki, a w miejscu, które zajmował wizerunek Żyda, wstawiono głowę Antoniego Macierewicza. Po ujawnieniu niemieckiego oryginału narracja się dopełniła i uruchomiły wszelkie skojarzenia z funkcjami oryginału. A pierwszoplanowe stały się skojarzenia z Żydem, który ma wpływ na najważniejszych polityków, a jest tak złowrogi i tak okropnie przedstawiony, że wzbudza same negatywne emocje. Wszystko zostało więc przeprowadzone zgodnie z regułami propagandy wizualnej i zgodnie z zasadami Josepha Goebbelsa (niektórzy wymieniają ich dziesięć, inni jedenaście).

Zdemaskowanie oryginału nie podważa przekazu przeróbki, lecz go wzmacnia i ukierunkowuje: na ukryte siły stojące za najważniejszymi aktorami sceny politycznej. Kontekst jest ewidentnie antysemicki i uruchamia wszelkie antysemickie skojarzenia, co nie musi być przypadkowe w kontekście niedawnego kryzysu w relacjach polsko-żydowskich i polsko-izraelskich, kryzysu związanego z oskarżaniem Polaków o współsprawstwo Holokaustu oraz w kontekście amerykańskiej ustawy 447 dotyczącej mienia pożydowskiego.

Cały ciąg antysemickich skojarzeń ma uderzać w obecnie rządzących, co jest prostą kontynuacją zasad propagandy i manipulacji Josepha Goebbelsa. Czynnik antysemicki trudno tu uznać za przypadkowy, a wręcz staje się on najważniejszy. Chodzi zatem o odwołanie się do „ludowych" antysemickich stereotypów w związku z rządami Prawa i Sprawiedliwości, czyli o uderzenie w rząd PiS antysemicką maczugą.

Mieliśmy tu do czynienia z antysemityzmem jako narzędziem współczesnej walki politycznej, co było szczególnie ważne w kontekście końcówki kampanii samorządowej. I choć przeróbka niemieckiego plakatu nie zawierała elementów animalizacji wroga, cała narracja już się do nich odwoływała, bowiem odnosiła się i do oryginału ze strasznym, groźnym (także biologicznie) Żydem, i do pamiętanej wciąż „pisowskiej szarańczy" autorstwa przewodniczącego PO Grzegorza Schetyny. W sumie chodziło więc także o dehumanizację politycznego wroga.

BYDŁO, NUTRIE, GNOJE

Zbicie w jednym przekazie elementów antysemickich, dehumanizacji wroga oraz goebbelsowskich porównań tego wroga do robactwa układa się w spójną całość, a pojawienie się tej zbitki w końcówce kampanii samorządowej nie wygląda na przypadkowe, lecz na uderzenie w przeciwnika najgorszym rodzajem propagandy. Obrzydliwej, ale w jakimś zakresie skutecznej. I wszystko to dzieje się w szerszym kontekście, obecnym w polskich mediach od czasu przejęcia władzy przez PiS (16 listopada 2015 r.). W tym szerszym kontekście rządzący z PiS są nie tylko „chamami" (jak w publicystyce prof. Zbigniewa Mikołejki, filozofa i historyka religii, np. w czerwcu 2016 r. w „Gazecie Wyborczej"), lecz i zdehumanizowanymi istotami, które „kryją się po jakichś kątach czy norach" i czasem z nich „wypełzają". W wizji prof. Mikołejki matki otrzymujące 500 zł to młode samice, które wyciągają „łapy" po dodatek za rozrodczość, czyli czynność zwierzęcą. Prof. Marcin Król, historyk idei i filozof polityki z Uniwersytetu Warszawskiego, w „Gazecie Wyborczej" z 23 grudnia 2017 r. rządy Prawa i Sprawiedliwości określał zdehumanizowanym mianem „toto": „I toto minie. I toto się zawali z hukiem. I toto będzie tylko sennym koszmarem".

Stefan Niesiołowski, w czasach gdy był jeszcze ważnym posłem PO, używał wobec przeciwników z PiS słowa „parszywieńcy" (np. w listopadzie 2010 r.), które było ewidentnym odhumanizowaniem. Używał też określenia „won",

eprasa.pl 8a02066cb4

będącego częścią obelgi „paszoł won", znanej z języka rosyjskiego. W Polsce określenie „paszoł won" jednoznacznie kojarzy się z rosyjskimi i sowieckimi żołnierzami, policjantami czy urzędnikami, którzy jako zaborcy i okupanci często zwracali się tymi słowami do Polaków, a w swoim kraju najczęściej do psów. Stefan Niesiołowski ma na koncie jeszcze określenie „nutria" (o wiceministrze edukacji w rządzie PiS-LPR-Samoobrony Mirosławie Orzechowskim) i dość częste porównywanie ludzi do zwierząt: małp, prosiąt, lam, koni, kaczek.

Trzeba też przypomnieć słowo „bydło" autorstwa Władysława Bartoszewskiego (z października 2007 r.), wtedy sekretarza stanu w KPRM, oraz „smoleńskie bydlactwo" (z marca 2013 r.) autorstwa Waldemara Kuczyńskiego, ministra w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Z kolei europoseł PO Adam Szejnfeld winą za to, że część dzieci w Polsce głoduje, obarczył (10 marca 2013 r. w programie „Kawa na ławę") „bydlaka ojca" i „gnoja ojca", a generalnie „setki tysięcy bydlaków". Co oznaczało, że pomoc państwa trafia głównie do „bydlaków", a te „bydlaki" odwdzięczają się, głosując na PiS.

Nie trzeba daleko szukać, by znaleźć podobny typ pogardy dla ludzi i porównywanie ich najpierw do osłów, małp i szczurów, a następnie insektów i zarazków. Takie określenia pojawiały się w organach prasowych niemieckich hitlerowców – dzienniku „Völkischer Beobachter" czy tygodnikach „Der Stürmer" Juliusa Streichera i „Das Reich", w którym co tydzień pisywał minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels. Duża część polskiego społeczeństwa, ta sympatyzująca z PiS, przez lata była traktowana jak „obca, wroga mniejszość narodowa" (określenie Barbary Fedyszak-Radziejowskiej). I to też przypomina propagandę „Völkischer Beobachter" oraz tygodników „Der Stuermer" i „Das Reich".

BRUDNE METODY

Przeróbka niemieckiego plakatu pojawiła się – dzięki posłowi PO Grzegorzowi Furdze – w momencie gdy polityczny wróg był od dawna dehumanizowany i animalizowany. Gdy świeżo w pamięci było określenie Schetyny „pisowska szarańcza". I na to nałożyły się najobrzydliwsze skojarzenia z antysemicką propagandą ze stajni Josepha Goebbelsa. A wszystko to dopełniło się mniej więcej tydzień przed wyborami samorządowymi, gdy emocje znajdowały się w apogeum, gdy desperacja tych, którzy zdecydowanie przegrywali w sondażach, popychała ich do posługiwania się najbardziej brudnymi metodami. I nie po to stosowano te brudne metody, żeby nie przyniosły żadnego efektu, bo taka propaganda jednak do kogoś trafia.

Czy to przypadek i czy przypadkowa jest osoba, która to wszystko zorkiestrowała w finale kampanii (z 40-letnim stażem w kulturze)? To wszystko wygląda na zaplanowaną, rozłożoną w czasie i podzieloną na role operację. Odwołującą się do najskuteczniejszego dotychczas wzoru spod znaku Josepha Goebbelsa, dziennika „Völkischer Beobachter" oraz tygodników „Der Stürmer" i „Das Reich".

Aleksander Szczygło – wspomnienie

27 października obchodzilibyśmy 55. rocznicę Jego urodzin.

Choć z wykształcenia był prawnikiem, a gros doświadczenia zdobył w administracji państwowej, emocjonalnie najbardziej czuł się związany z wojskiem. Jako minister obrony narodowej w 2007 r. po raz pierwszy w wolnej Polsce zorganizował defiladę wojskową z okazji Święta Wojska Polskiego. Chciał, aby w tym dniu żołnierze mogli zademonstrować społeczeństwu swoją dumę z pełnionej służby. Z pomysłu tego nie zrezygnował już później żaden z jego następców. Decyzją Aleksandra Szczygły pieśń Legionów Józefa Piłsudskiego „My, pierwsza Brygada" stała się pieśnią reprezentacyjną Wojska Polskiego. Także z jego inicjatywy 14 tys. oficerów i funkcjonariuszy Policji Państwowej zamordowanych przez Sowietów w Katyniu, Charkowie i Twerze otrzymało pośmiertne awanse na wyższe stopnie wojskowe i służbowe. Będąc świadomym uwarunkowań bezpieczeństwa Polski, był zwolennikiem udziału Sił Zbrojnych RP w misjach sojuszniczych i gorącym propagatorem zacieśniania współpracy wojskowej w ramach NATO. Zawsze powtarzał, że odpowiedzialność za polskich żołnierzy jest dla niego ogromnym zaszczytem i najważniejszym zadaniem w życiu.

Fot. PiotrBlawicki.com

10 kwietnia 2010 r. lecąc wraz z prezydentem RP Lechem Kaczyńskim oraz innymi członkami państwowej delegacji do Katynia, w klapę marynarki jak zwykle z dumą przypiął wojskowego orzełka...

Przyjaciele

eprasa.pl 8a02066cb4

Biedroń mówi o słoniu

PIOTR SKWIECIŃSKI

W antypisowskiej części sceny podział na fanatycznych wrogów Kaczyńskiego i tych, którym niechęć do rządzących nie przesłania całego świata, pokrywa się z innym podziałem. Na będących integralną częścią elit III RP i tych związanych z owymi elitami luźniej

Wielu zwolenników obozu rządzącego szczerze nie rozumie, dlaczego Platforma Obywatelska(zwana dzisiaj Koalicją Obywatelską) dotąd nie zaabsorbowała lewicy, tak jak uczyniła z Nowoczesną. No bo – uważają – przecież w zasadzie to jest jedno i to samo; różnice między jednym a drugim bytem są pozorne. A dla wielu wyznawców tego rodzaju poglądów – po prostu sztuczne. I zapewne symulowane celowo, bo przecież Tusk i Kopacz, a więc i Schetyna, to przecież „lewactwo"; jeśli establishment PO nie chce się do tego ostatecznie przyznać, to tylko z obawy, że wtedy tej nie do końca złej z natury, tylko głupiej, otumanionej części ich elektoratu spadną z oczy łuski. Wtedy ów elektorat rozpozna prawidłowo sytuację i na lewaków już oczywiście więcej nie zagłosuje...

Dla tak myślących to, co działo się „po tamtej stronie" przez ostatnie tygodnie, było czymś albo niezrozumiałym, albo przejawem spisku już zupełnie demonicznego.

Bo oto wprawdzie pieszczoszka III RP (na początku 2015 r. goszcząca z Magdaleną Ogórek na okładce tygodnika „Polityka" wraz z tytułem „Lwice lewicy"; ech, któż pamięta te czasy?) Barbara Nowacka po latach kontredansów zdecydowała się wzmocnić swoją osobą Koalicję Obywatelską. I to zgadza się z zaprezentowanym wyżej poglądem na świat. Ale jednocześnie stało się coś niezrozumiałego. I dla nosicieli tego poglądu, i dla tych, którzy są ich zaciętymi wrogami, czyli klasycznych reprezentantów frontu obrony III RP.

Oto prezydent Słupska Robert Biedroń, w pewnym sensie polityczny ideał bardziej progresywnej części tych ostatnich (głównie dlatego, że gej; parę lat temu z podobnych powodów na symbol nadziei, który na wieczność już zepchnie Polskę prawicową do parafialnych rezerwatów, lansowana była transseksualna Anna Grodzka), wykonał coś z ich punktu widzenia horrendalnego. Udał się najpierw do tzw. reżimówki (tak w sferach antypisowskich określana jest telewizja publiczna), co więcej – w samo jądro ciemności, czyli do TVP Info. I już to samo było wstrząsem.

Ale znacznie większym było to, co tam powiedział. Mówił mianowicie z ogromnym dystansem o liberalnych mediach, które go lubiły, gdy był, cytuję, „takim uśmiechniętym prezydentem, który jeździł na rowerku i nie mieszał się do polityki. Taki otwarty gej. Kiedy zaburzyłem ten porządek, stałem się wrogiem".

Jeszcze większym szokiem było zaś to, co powiedział dzień później w Radiu Tok FM. Otóż zaatakował tam decyzję Nowackiej o przyłączeniu się do KO. I to by mu jeszcze wybaczono; w liberalnych mediach atakowano go co prawda od tygodni za to, że idzie własną drogą, jednak na ćwierć gwizdka.

Lecz dalej Biedroń powiedział coś jakościowo nowego. „Tresowaliście Barbarę Nowacką przez kilka miesięcy, żeby dołączyła do Koalicji Obywatelskiej".

Choć te słowa i – szerzej – ten epizod wywołały króciutką histerię w obozie

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 8a02066cb4

liberalnym, to jednak naprawdę dziwne, że dotąd nikt ani po stronie anty-, ani propisowskiej nie zastanowił się nad ich sensem. Warto przez moment zastanowić się, dlaczego się nie zastanowił i dlaczego mimo to spowodowały one tak emocjonalną, negatywną reakcję.

JAK TRESOWANO NOWACKĄ

Myślę, że przede wszystkim dlatego, iż Biedroń, kierując się w jakiejś mierze (ale nie wyłącznie, o czym niżej) wściekłością dotychczasowego pieszczocha elit III RP, który musiał boleśnie przeżyć ten zdumiewający fakt, że przestały go one głaskać po głowie, obnażył tu element rzeczywistości przez owe elity skrzętnie skrywany. Skrywany na zasadzie tego zajmującego trzy czwarte salonu słonia, o którym jednak w dobrym towarzystwie z jakichś powodów się nie mówi.

Ten element – to moc tych elit. To władza, często nieformalna, sprawowana przez nie niegdyś nad niemal całością, a obecnie nad wciąż sporą częścią życia publicznego. Władza dysponująca (jak to prawdziwa władza) rozmaitymi narzędziami służącymi do dyscyplinowania niepokornych. Narzędziami o charakterze zarówno marchewki, jak i kija. I w jednej, i w drugiej funkcji można bowiem użyć przewagi medialnej (teraz w Polsce traktowanej jako całość, przewaga elit III RP na tym polu nie jest już tak oczywista jak niegdyś, ale w strefie antypisowskiej to one nadal bezdyskusyjnie sprawują niemal monopol).

Już kilkanaście lat temu ktoś powiedział o odgrywającym wtedy jeszcze ważną rolę w Platformie Obywatelskiej Janie Rokicie, że popełnia on straszny błąd, bo nie rozumie, że w Polsce nie można być przywódcą obozu liberalnego, mając przeciw sobie „Gazetę Wyborczą". Te słowa zachowują aktualność. Biedroń świadkiem.

Oczywiście nie do końca. Tusk potrafił zaprząc liberalne media i liberalną opinię do swojego rydwanu, nie płacąc im za to. W jakiejś mierze odwrócił wieloletnią prawidłowość, a ponieważ następowało to w czasie, gdy tradycyjne media zaczęły słabnąć, było to tym bardziej widoczne. Jego znienawidzony następca, Schetyna, również zachowuje pewną niezależność od tych czynników. Jednak kiedy – a tak było w przypadku Nowackiej – oba te ośrodki chcą tego samego, ich siła przypomina tę sprzed lat. I jeśli chce się pozostać wewnątrz obozu liberalnego, to trudno się przed nią nie ugiąć.

Wynoszącą albo też strącającą w niebyt medialno-opiniotwórczą (bo nie idzie przecież jedynie o teksty internetowe, gazetowe czy telewizyjne, w wielkiej mierze też o opinię kreowaną dyskretniej we wciąż związanych z elitami III RP sferach mainstreamu) siłę tych elit z definicji raczej jednak widać, niż jej nie widać. Ale istnieje również jej drugi element. Przecież te ośrodki nie straciły do końca innego tradycyjnego elementu swojej przewagi – kierowania strumieniami pieniądza. To wprawdzie już nie te strumienie co kiedyś, ale zawsze. To władza, którą sprawuje się poza kamerami, ale najczęściej skutecznie.

I to o tej władzy powiedział Biedroń. Prawie otwartym tekstem.

> Nowacka jest dzieckiem warszawskich elit, Biedroń zaś zupełnie odwrotnie – wyszedł z głębokiej, prowincjonalnej nędzy

CZYJ JEST TEN ŚWIAT?

Dlaczego jednak tej presji uległa Nowacka, a Biedroń, o którym kilka tygodni temu pisałem jako o kimś wydrążonym z własnych pomysłów i poglądów – nie?

Jak prawie zawsze nie ma tu jednej odpowiedzi. Możemy powiedzieć o jego wielkich ambicjach, trudnych do pogodzenia z losem przystawki Schetyny, i uchwycilibyśmy jakiś element prawdy. Moglibyśmy też powiedzieć, że Nowacka zawsze była liberałką, zaś jej podpisanie się pod lewicowością nie tylko kulturową, lecz również społeczną wynikało jedynie z uwarunkowań środowiskowych i rodzinnych (jej matka była przecież działaczką Unii Pracy). Ale już w 2016 r., kiedy to po stronie antypisowskiej było w dobrym tonie nieco narzekać na własną formację jako co nieco winną owładnięciu Polski przez pisowskie wampiry, ona demonstrowała sceptycyzm wobec tez mówiących, że ten horror jest wynikiem jakiegoś tam zaniedbania spraw socjalnych przez elity. Bo – mówiła – przecież

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8a02066cb4

na całym świecie idą do przodu „populiści" i wcale nie pchani do przodu przez jakieś tam sprawy socjalne, tylko przez wzbudzający w niej obrzydzenie kulturowy odruch tożsamościowy ludów. Ale są jeszcze inne elementy.

Jeden z nich to element społeczny. Nowacka jest dzieckiem warszawskich elit, Biedroń zaś zupełnie odwrotnie – wyszedł z głębokiej, prowincjonalnej nędzy.

Nie jest to dla mnie powód, by automatycznie cenić któreś z nich bardziej (lub odwrotnie: bardziej odrzucać) niż drugie. Ale ma to swoje efekty. Idzie tu przede wszystkim o automatyzm stawania w obronie III RP jako państwa elit, do których ktoś się czuje, a ktoś nie czuje się przynależny. Nowacka automatycznie chce bronić swojego świata, a dla Biedronia to po prostu nie jest jego świat. On z tym światem może robić deale, ale automatycznego odruchu występowania w jego obronie po prostu nie czuje.

Przeplata się to z innym, występującym w całym nie-PiS, ale w największym stopniu wśród lewicowców, podziałem. Na tych, którym niechęć do partii rządzącej organizuje cały świat, całe życie, i tych, którym niecałe. Ci ostatni ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego też nie lubią czy nawet nie znoszą, też często woleliby, żeby ta mara rozpłynęła się w powietrzu, ale w odróżnieniu od tych pierwszych nie jest to dla nich problem jedyny. A czasem – co z punktu widzenia np. miarodajnych publicystów „Polityki" jest ich grzechem śmiertelnym – wręcz nie najważniejszy.

OBRONA WŁASNEGO DZIEŁA

Na to zaś nakłada się jeszcze jeden aspekt podziałów. Przy czym nie dotyczy on akurat Biedronia ani Nowackiej, którzy są niemal równolatkami nieco powyżej czterdziestki. Ale już reakcje na słowa prezydenta Słupska, np. żądanie przeproszenia Nowackiej, z czym wystąpił nie kto inny, tylko Leszek Miller (przecież były premier znany z równie ostrych ocen wygłaszanych równie ostrym językiem podobną tezę mógłby spokojnie sam wygłosić), są bardzo charakterystyczne. Wskazują mianowicie na pokoleniowy wymiar podziału.

Tu nie ma automatyzmu, można znaleźć wyjątki, i to po obu stronach. Ale wśród tych, którym wojna z PiS organizuje świat, przeważają reprezentanci starszych pokoleń lewicy, zaś wśród tych, którzy PiS też nie znoszą, ale kaczystowskie zagrożenie nie przesłania im całej reszty rzeczywistości, dominują ludzie znacznie młodsi. I nie jest to przypadek. Ci starsi to przecież nie tylko beneficjenci, lecz i współtwórcy III RP, to jasne, że odnoszą się emocjonalnie do swego dzieła. Sam Miller wprawdzie nie jest tu typowy, bo zachowuje pewien dystans wobec idei organizacji świata według linii dyktowanych przez podział antypisowski, jest w wielu sprawach niezależny, ale te generacyjne emocje muszą być również – co oczywiste – jego udziałem.

No i wreszcie kolejny aspekt podziału. Klasowy.

Pisałem już o nim trochę powyżej, opisując pochodzeniowe różnice między Biedroniem a Nowacką. Ale to idzie głębiej. Bo pomiędzy tymi lewicowcami, którzy oprócz „pisowskiej dyktatury" widzą jeszcze jakieś problemy i czasem gotowi są rozważyć myśl, żeby dla wspólnego rozwiązania niektórych z nich jakoś się z tym PiS dogadywać, przeważają ci autentycznie lewicowi społecznie. Podczas gdy na lewicy nowackopodobnej króluje zaawansowana pisofobia.

Aby zagnać lewicowe kurczęta pod skrzydła kwoki Platformy, Mariusz Janicki i Wiesław Władyka z „Polityki" przeprowadzają wywód mający wykazać, że te różnice polegają na nieporozumieniu. Bo świat się zmienił, nie ma już podobno żadnej wolnorynkowej ortodoksji, w PO również, więc niech się lewicowcy nie boczą, bo nie ma na co.

Jest w tym trochę prawdy, bo w swej drugiej kadencji Tusk – a po nim Ewa Kopacz – istotnie co nieco flirtowali nie tylko z lewicą kulturową, lecz też z gospodarczo-społecznym pragmatyzmem (by przytoczyć słynne słowa Tuska o tym, że sam „jest trochę socjaldemokratą"). Więcej tu jednak wishful thinking, w dodatku niezupełnie szczerego.

To prawda – opozycyjna Platforma, inaczej niż kiedyś, nie robi ani nie ogłasza buńczucznych planów przebudowy Polski na radykalnie wolnorynkową modłę. Ale może nie tyle z niej samej, ile z jej intelektualnego i społecznego zaplecza emanuje przekonanie, że jedną z podstawowych cech czyniących PiS potwornym jest to, że zakłóciło ono dobre samopoczucie grup społecznych, na których PO jest zbudowana. Czyli warstw wyższych („właścicieli III RP") oraz biznesu drobnego i średniego, który w latach 90. budował się mrówczą pracą, a potem uznał Platformę za polityczny wyraz swojego sukcesu i wehikuł dla „samodzielnie budujących swój dobrobyt ludzi sukcesu".

Przyjęcie przez PO tak radykalnie antypisowskiego kursu ma wiele przyczyn. Ale jedną z poczesnych jest poczucie tych ludzi, że partia Kaczyńskiego zakwestionowała prawomocność ich drogi życiowej i ich społecznego statusu. Statusu społecznego, dodajmy, integralnie związanego z przekonaniem, że wszystko, co zmniejsza rozporządzalny dochód przedsiębiorcy (a społeczne reformy najczęściej go zmniejszają), że wszystko, co zmniejsza jego swobodę w zatrudnianiu i zwalnianiu, wszystko, co „demoralizuje" pracowników, jest skandalem nad skandalami.

To, mówiąc eufemistycznie, nie ułatwia autentycznej społecznej lewicy akceptacji politycznej hegemonii ugrupowania stojącego na takich ludziach i takich nastrojach.

* * *

Ale cóż. Tej autentycznej lewicy jest mało. Może zakłócać czytelność głównego podziału i w ten sposób irytować antypis, ale na samodzielne, poważne zaistnienie jest za słaba. Modna jeszcze niedawno partia Razem znajduje się w stanie nieledwie agonalnym. I to fiasko poglądowo unaocznia brak miejsca na samodzielną, niewchodzącą w skład żadnych frontów, lewicową formację.

Chyba żeby liberalna opozycja doznała zasadniczej klęski. To odblokowałoby pole dla idących w różne strony politycznych eksperymentów po niepisowskiej stronie barykady.

Czytelnik tego tekstu zna już wyniki wyborów samorządowych. Wie więc, czy taki scenariusz stał się bardziej, czy jeszcze mniej prawdopodobny niż dotąd.

eprasa.pl 8a02066cb4

Daleko od szosy

Sprawny transport publiczny ma kluczowe znaczenie dla rozwoju gospodarczego i jakości życia mieszkańców. Trzeba było prawie 30 lat neoliberalnych eksperymentów, aby ta prawda zaczęła docierać do powszechnej świadomości. Być może nie jest jeszcze za późno, aby powstrzymać infrastrukturalną zapaść dużej części Polski

Fot. Fratria (x2)

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Prawie 40 lat temu zdarzyło mi się, jeszcze jako wchodzącemu w nastoletni wiek dziecku, odwiedzić parę razy pewną wieś leżącą kilkadziesiąt kilometrów na południe od Szczecina. Malowniczo położona nad jeziorem poniemiecka wieś była murowana, relatywnie bogata (niemal w całości zmechanizowana) i tętniła życiem. Nie była całkiem typowa na tle peerelowskiej rzeczywistości, co jednak mogłem zauważyć dopiero nieco później.

Z tejże wsi – mniej więcej co dwie, trzy godziny w dni powszednie – odjeżdżał autobus Państwowej Komunikacji Samochodowej (PKS) do najbliższego miasta, skąd można było się dostać do Szczecina lub Stargardu. Nieopodal przebiegała też czynna linia kolejowa, po której podążały lokalne pociągi na podobnej trasie. Podróż transportem publicznym do Warszawy – choć dość długa – wymagała zaledwie dwóch, niespecjalnie uciążliwych przesiadek.

Dziś ta sama wieś leży na skraju drogi ekspresowej S3 biegnącej wzdłuż zachodnich granic Polski. Nieliczni mieszkańcy mogą obejrzeć mknące ekspresówką samochody zza ogradzającego ją płotu. Część z nich pracuje w przydrożnej restauracji McDonald's, do której dostają się od strony pól wysłużonymi, sprowadzonymi z jakiegoś niemieckiego szrotu golfami. Do samej wsi, która przekształciła się dziś w opustoszałe przez dużą część roku skupisko działek wypoczynkowych, nie da się bowiem dotrzeć, nie mając własnego środka transportu. Linia kolejowa została dawno temu rozebrana (jej trasę przecięła ekspresowa droga S3), PKS zbankrutowała, a jedyną komunikację zapewnia busik dowożący dwa razy dziennie dzieci do szkoły.

Paradoksalnie mimo budowy pięknej drogi ekspresowej ta zachodniopomorska wieś stała się dziś głuchym odludziem w porównaniu z czasami, gdy od najbliższej głównej szosy dzieliło ją 20 km. Dlaczego tak się stało?

WOLNOAMERYKANKA

Jednej z głównych przyczyn degradacji tej i wielu innych podobnych miejscowości w Polsce należy szukać w przyjętym w latach 90. neoliberalnym modelu polityki transportowej. W okresie PRL transportem lokalnym zajmowała się PKS. Flota autobusów tego przedsiębiorstwa przekraczała w latach 70. liczbę 14 tys. pojazdów. Po 1989 r. PKS została podzielona na 176 spółek, z których część sprywatyzowano, część oddano samorządom, a większość upadła.

Przy niemal całkowitej bierności władz publicznych (60 proc. gmin w Polsce nie organizuje żadnego transportu zbiorowego) dochodowe trasy w wielu regionach kraju zostały przejęte przez niewielkie firmy prywatne. Jakość oferowa-

eprasa.pl 8a02066cb4

nych usług pozostawiała jednak (i ciągle pozostawia) wiele do życzenia. Rywalizujący z sobą na niskie ceny biletów bieda-przewoźnicy, aby wypracować zysk, oszczędzają na serwisie oraz jakości taboru, sprowadzając z zagranicy mocno zdezelowane autobusy i mikrobusy. Podróż takimi pojazdami jest dla większości pasażerów absolutną koniecznością, trudno sobie przy tym wyobrazić kogokolwiek, np. turystów, którzy chcieliby wybrać się na wycieczkę poza miasto, mając do dyspozycji tego rodzaju ofertę. Inna rzecz, że upadek PKS oraz rozkwit firm krzaków doprowadził również do zapaści krajowych producentów autobusów międzymiastowych, z Autosanem na czele (Solaris w ogóle nie sprzedawał na rynku polskim autobusów z tego segmentu, bo po prostu nie było kupców).

BIAŁE PLAMY

Deregulacja rynku i – w jej efekcie – skoncentrowanie przewozów wyłącznie na dochodowych trasach przyczyniło się do powstania białych plam na komunikacyjnej mapie Polski. Utrzymywanie stałych połączeń z obszarami o mniejszej gęstości zaludnienia stało się, przy braku jakichkolwiek dotacji, całkowicie nieopłacalne. W tej chwili – według badań SGH – aż 20 proc. sołectw w Polsce jest pozbawionych jakiegokolwiek (!) transportu publicznego, a wiele pozostałych ma zaledwie kilka połączeń dziennie. Po niedawnej likwidacji sprywatyzowanych wcześniej oddziałów PKS w Płocku, Ostrołęce, Mińsku Mazowieckim i Ciechanowie liczba sołectw pozbawionych komunikacji powiększyła się jeszcze o spore połacie Mazowsza. Łącznie od chwili wejścia Polski do Unii Europejskiej liczba usług transportowych poza wielkimi ośrodkami miejskimi spadła aż o 40 proc.

Te dane potwierdzają badania wykonane w 2011 r. w jednym tylko woj. pomorskim na zlecenie tamtejszego urzędu marszałkowskiego. „Z ogólnej liczby 1 753 badanych miejscowości wiejskich (sołectwa) aż 429 nie było obsługiwane przez komunikację publiczną" – czytamy w raporcie przygotowanym przez zespół ekspertów z Uniwersytetu Jagiellońskiego kierowany przez dr. Roberta Guzika. „Przeciętna odległość z miejscowości bez komunikacji publicznej do najbliższego przystanku wynosi nieco ponad 2 km, czyli przekłada się na 30-minutowe dojście do przystanku (60 minut przy podróży w obie strony). Jest to dość długi czas i w znacznym stopniu ogranicza mobilność, szczególnie dla osób starszych, nie wspominając o osobach niepełnosprawnych" – piszą eksperci.

Dla wielu osób oznacza to odcięcie od świata: od sklepów, szpitali, urzędów, szkół i pracy, nie wspominając już o jakichkolwiek dłuższych podróżach. Uruchamia to również łańcuch niekorzystnych zjawisk społecznych. Izolacja i brak dostępu do podstawowych usług ogranicza rozwój lokalnych społeczności, a wręcz wywołuje ich regres.

Młodzież szkolna pozbawiona sprawnego dojazdu do szkół średnich (o wyższych nie wspominając) musi włożyć znacznie więcej wysiłku, aby kontynuować naukę. W rezultacie – jak wynika z badań – wielu uczniów z obszarów wiejskich skończyło edukację na poziomie gimnazjalnym. Powoduje to potem trudności tych osób na rynku pracy oraz utrwala ich niski status społeczny. Z kolei brak wykwalifikowanej (czy też wyedukowanej) siły roboczej powstrzymuje potencjalnych inwestorów, co poszerza lokalne obszary ubóstwa i bezrobocia. I kółko się zamyka.

„Dostępność do urządzeń infrastruktury społecznej, a szczególnie do placówek edukacyjnych i służby zdrowia, jest wyznacznikiem szans życiowych, a także składnikiem faktycznych dochodów ludzi" – piszą eksperci z UJ. „Słaba dostępność do kluczowych usług jest jednym z wymiarów wykluczenia społecznego".

Jedynym wyjściem z tej sytuacji – ale tylko dla niektórych – może być zakup samochodu lub mogą być przenosiny do większego miasta.

OGÓLNOPOLSKI SZROT

Jedną z konsekwencji upadku transportu publicznego poza dużymi miastami w Polsce jest lawinowy wzrost importu używanych samochodów z zagranicy, głównie z Niemiec. Początkowo można było tłumaczyć to zjawisko powszechnym zafascynowaniem motoryzacją, co przy łatwej dostępności tanich samochodów gwałtownie zwiększyło liczbę aut w Polsce. Jednak również dziś, niemal 30 lat po upadku komunizmu, import używanych samochodów rośnie.

W 2016 r. sprowadzono do Polski ponad 1 mln aut osobowych i dostawczych o dopuszczalnej masie całkowitej poniżej 3,5 tony. To drugi wynik w historii (rekord padł w 2008 r.). Rok później zanotowano minimalny spadek – 935 tys., co jednak i tak dawało ok. 4 tys. samochodów sprowadzonych dziennie.

Według danych Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar w tym roku znów może paść milion. Niestety wraz ze wzrostem importu rośnie średnia wieku (a co za tym idzie – spada sprawność techniczna) ściąganych do Polski aut. Wynosi ona pomiędzy 11 a 12 lat. Stajemy się powoli złomowiskiem aut z Unii, zwłaszcza wycofywanych masowo w Niemczech diesli.

Ten gwałtowny – i częściowo wymuszony – boom motoryzacyjny prowadzi do powstania wielu innych negatywnych zjawisk, takich jak korki, zanieczyszczenie środowiska oraz – biorąc pod uwagę niską kulturę jazdy i nienadążającą za wzrostem liczby aut infrastrukturę – ogromny wzrost wypadków drogowych. Jednocześnie też – wraz z nasileniem migracji ze wsi do dużych miast – powoduje dalszy spadek zapotrzebowania na lokalny transport publiczny, co z kolei powiększa degradację coraz większych obszarów Polski. Według obliczeń Klubu Jagiellońskiego w latach 1993–2016 komunikacja autobusowa poza miastami straciła aż 75 proc. klientów.

DWA STANDARDY

Zupełnie inną strategię przyjęły nie tylko rozwinięte państwa europejskie, lecz również sąsiadujące z nami Czechy i Słowacja. „Obserwowany w Europie Zachodniej renesans transportu publicznego jest z jednej strony odpowiedzią na wyzwania związane z zatłoczeniem, wysoką ceną paliw, niedostatkiem miejsc parkingowych w mieście i innymi niedogodnościami indywidualnej motoryzacji, a z drugiej strony

eprasa.pl 8a02066cb4

wynika z troski o osoby, które nie mogą na co dzień korzystać z samochodu (młodzież szkolna, osoby starsze, osoby niepełnosprawne, osoby niezamożne, osoby pozbawione prawa jazdy). W tym pierwszym kontekście transport publiczny jest elementem polityki zrównoważonego rozwoju, a w tym drugim podnoszenia poziomu życia i walki z wykluczeniem społecznym" – czytamy w raporcie przygotowanym przez naukowców z UJ.

„Najlepszy system transportu publicznego na świecie jest zarazem w najwyższym stopniu uregulowany. Mowa tu o Szwajcarii, gdzie wprowadzono rozwiązania będące potem wzorem dla Czechów i Słowaków" – wyjaśnia dr Robert Guzik w rozmowie z „Nowymi Peryferiami".

System szwajcarski opiera się na kantonalnych (regionalnych) planach transportowych, które ściśle określają trasy, liczbę, rozkłady i taryfę lokalnych połączeń, a także dbają o wysoki standard techniczny. Do przetargu na organizację tych połączeń może przystąpić każda firma, która spełnia jego warunki. Zwycięzca jest tylko jeden i na mocy wieloletniego kontraktu przejmuje całą komunikację lokalną, co pozwala mu bez ryzyka inwestować w nowy tabor i jakość świadczonych usług. Dzięki temu, że nie musi walczyć z konkurencją, część zysków z dochodowych tras musi – zgodnie z umową – przeznaczyć na utrzymywanie stałej komunikacji w mniej zaludnionych regionach. Zupełnie inaczej niż w Polsce, gdzie postawiono na wolnoamerykankę, walka konkurencyjna rozgrywa się nie na drodze, lecz podczas przetargu. W rezultacie Szwajcarzy, ale też Czesi, Niemcy i inni mają zagwarantowaną komunikację publiczną na wysokim poziomie i odpowiadającą potrzebom lokalnych społeczności.

W Polsce – po upadku PKS – mamy najczęściej do czynienia z rozlatującymi się busikami ścigającymi się z sobą (dosłownie) o to, który pierwszy podjedzie na przystanek (często bardzo umowny, bez rozkładu jazdy, słupka, wiaty) i zgarnie pasażerów, zanim podjedzie konkurent. Wszyscy ci bieda-przewoźnicy o standardzie usług przypominającym raczej Burkina Faso niż środek Europy kursują – co zresztą nie dziwi – jedynie tam, gdzie można coś zarobić. Nie zapuszczają się tam, gdzie pasażerów jest niewielu. Tam trzeba sobie radzić samemu. Zorganizowanie transportu do szkoły, szpitala albo sklepu dla wielu osób jest ogromnym wyzwaniem. Podjęcie pracy zarobkowej również bywa niemożliwe. Nic dziwnego, że ten, kto może, ucieka do dużego miasta lub sprowadza za grosze rozpadającego się golfa i próbuje jakoś zarobić na życie. Tyle że taki standard oznacza dość ponurą wegetację i ma niewiele wspólnego z modernizacją, która w ciągu ostatnich 30 lat ograniczyła się głównie do największych polskich miast.

OSTATNIA DESKA RATUNKU

Jak piszą eksperci UJ, w nauce istnieją dwie główne teorie tłumaczące związek między infrastrukturą transportową a rozwojem gospodarczym. Pierwsza z nich zakłada, że dobrze zorganizowana komunikacja wiąże obszary rdzeniowe z peryferiami (w naszym przypadku duże ośrodki miejskie z prowincją), dzięki czemu te ostatnie zyskują ekonomicznie. Druga z kolei wyciąga z tych samych założeń odwrotne wnioski, twierdząc, że sprawny transport umacnia koncentrację zysków i rozwoju gospodarczego w dużych ośrodkach, ponieważ zasysa z peryferii zasoby siły roboczej, klientów itd. Jednak nawet w takim przypadku peryferia – choć utrwalają swoją zależność od rdzenia – zyskują w postaci wzrostu poziomu życia.

> Brak transportu publicznego oznacza odcięcie od świata: od sklepów, szpitali, urzędów, szkół i pracy. Izolacja ogranicza rozwój lokalnych społeczności, a wręcz wywołuje ich regres

Niezależnie od tego, która z tych teorii jest prawdziwa, obie ściśle wiążą sprawną komunikację z rozwojem gospodarczym. Tymczasem w Polsce mamy do czynienia z poważnym kryzysem transportu lokalnego. Po likwidacji wielu regionalnych połączeń kolejowych (związanych często z fizyczną rozbiórką linii kolejowych – w ostatnich latach ubyło 5 tys. km torów) i całkiem niedawnej fali bankructw lokalnych oddziałów PKS kolejnym gwoździem do trumny mogą być zapowiadane w związku ze wzrostem cen energii podwyżki cen usług transportowych, co jeszcze bardziej ograniczy liczbę pasażerów i rentowność wielu połączeń.

Ostatnią deską ratunku dla upadającego transportu lokalnego ma być niedawna (choć mocno spóźniona) nowelizacja ustawy o publicznym transporcie zbiorowym, która zakłada – nieco podobnie jak w Czechach i na Słowacji – tworzenie regionalnych planów transportowych na poziomie gminy, powiatu lub województwa. Projekt nowelizacji został mocno skrytykowany przez prywatnych przewoźników, którzy obawiają się, że ich niedoinwestowane firmy nie zdołają sprostać wymaganiom przetargowym i wiele z nich będzie musiało zniknąć z rynku. Z kolei większych przewoźników ustawa zmusza do konsolidacji i poprawy jakości usług. Oczywiście wiele będzie zależało od sprawności samorządów, na których barki spadnie realizacja nowych wymagań. Z pewnością nie ułatwia im życia krótkie vacatio legis, ustawa wchodzi bowiem w życie już 1 stycznia 2019 r.

Sprawny transport publiczny ma kluczowe znaczenie dla rozwoju gospodarczego i jakości życia mieszkańców. Trzeba było prawie 30 lat neoliberalnych eksperymentów, by ta prawda zaczęła wreszcie docierać do powszechnej świadomości. Miejmy nadzieję, że nie jest za późno, aby powstrzymać infrastrukturalną zapaść dużej części Polski.

1/1018/F

eprasa.pl 8a02066cb4

Daj się pokazać z jak najlepszej strony.

www.dobrzeciewidziec.org

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Nieoczekiwany efekt „Kleru”

Pył po premierze „Kleru” powoli opada. Film w pierwszym tygodniu obejrzało prawie milion widzów, a produkcja zarobiła już niemal 19 mln zł. Antyklerykalne media wieszczą bliski koniec Kościoła katolickiego w Polsce i przekonują, że obraz nakreślony przez Smarzowskiego musi przemówić do ludzi. I przemawia. Ale zupełnie inaczej, niż życzyliby sobie tego twórcy filmu

MARZENA NYKIEL

Tłumy na seansach uznano za wyraz identyfikacji widzów z przekazem filmu. Spodziewano się trzęsienia ziemi i masowych odejść z Kościoła. Okazuje się jednak, że duża część widzów poszła do kina, by móc podjąć rzeczową dyskusję ze zwolennikami „Kleru”. Część katolików, po obejrzeniu zwiastuna i lekturze wywiadów z reżyserem, zbojkotowała film. Były apele i protesty, surowe oceny i lawina krytyki pod adresem twórców. Było też oburzenie i nagonka na księży – głównie w kręgach antyklerykalnych. Ale było też mocne świadectwo wiary i uczciwości kapłanów rozsiane przez świeckich ludzi Kościoła w mediach społecznościowych.

Natychmiast po ukazaniu się plakatu filmu przedstawiającego czterech głównych aktorów (Gajosa, Więckiewicza, Braciaka i Jakubika) w sutannach pojawiła się jego przeróbka. W miejsce aktorów wstawiono wizerunki kapłanów: prymasa Wyszyńskiego, papieża Jana Pawła II, bł. Jerzego Popiełuszki i św. Maksymiliana Kolbego. Tytuł „Kler” wybrzmiał na nowo. Chwilę później internauci podawali grafikę na portalach społecznościowych. Przypominali, że w najtrudniejszym dla Polski i Polaków czasie to Kościół i rzesza kapłanów byli wsparciem i przyczółkiem zmian w drodze do wolności.

Spontanicznie powstała akcja #KochamKościół. Internauci, dając odpór antyklerykalnej nagonce, dzielili się własnym doświadczeniem Kościoła. „Znam wielu księży. Wspaniałych, oddanych, pomocnych, ofiarnych, pokornych i pełnych miłości. Nigdy żaden nie odmówił modlitwy, spowiedzi, pomocy czy wsparcia. Oni modlą się za nas, a kiedy Ty ostatnio modliłeś się za księdza?” – pyta Sophie Jeanicke w tweecie z hasztagiem #KochamKościół.

„Wczoraj na Radzie Parafialnej omawialiśmy, jak szybko i skutecznie pomóc potrzebującym w naszej parafii, a dziś rano byłam na Mszy za moją zmarłą Pacjentkę. I to jest Kościół, który znam i kocham” – pisze Joanna Czarna. „Kilkanaście lat byłem ministrantem. Jeździłem po rekolekcjach. Chodziłem na pielgrzymki. Teraz mam wspaniałego proboszcza. I nigdy nie spotkałem złego księdza!!!” – dodaje Włodek. Z kolei Anna Kamińska pisze: „Na swojej drodze nie spotkałam ani jednego księdza, który byłby w stanie kogokolwiek skrzywdzić. Spotkałam za to wielu bardzo oczytanych, wielu uduchowionych i jednego, który w gumofilcach i waciaku sześć dni w tygodniu przez lata pracował przy budowie kościoła”.

Nie brakowało też wpisów przypominających o zakresie działalności Kościoła. „Obejrzałam zwiastun filmu »Kler« i pomyślałam o kuzynie, misjonarz. Człowiek, który się cieszy jak dziecko z kilku metrów blachy falistej, studnia to było spełnienie jego marzeń. Zastanawiam się, czy znajdzie się kozak, który zrobi film o takich ludziach. To jest #Kler, który znam” – podkreśla Maria. Ktoś inny pyta Smarzowskiego: „Ilu dzieciom reżyser pomógł? Misjonarze w Afryce tworzą szkoły, szpitale, domy dziecka”.

Portale społecznościowe zasypały też bardzo osobiste świadectwa, podziękowania dla konkretnych księży. „Dzięki ks. Bronisławowi Pali (który już nie żyje) oparłam się aborcji, do której namawiał mnie lekarz. Dzięki Ci, Boże, za księży na naszej drodze” – pisze Aleksandra Dziel. Z kolei Zawrócony wyznaje: „Byłem walczącym ateistą. Ale nigdy żaden ksiądz nie zrobił mi ani nikomu z moich znajomych krzywdy. Nawróciłem się prawie ćwierć wieku temu. Poznałem Chrystusa kochającego i żyjącego w swoim Kościele. Czuję się jego częścią”. Na istotną rolę kapłanów wskazuje też Paweł Pogorzelski: „Przez długie lata myślałem, że do wiary w Boga Kościół nie jest potrzebny. Teraz wiem, że to było czyste wygodnictwo i wielki błąd. Obecnie Kościół, szczególnie podczas Mszy Św., jest jedynym miejscem, gdzie naprawdę czuję się spo-

eprasa.pl 8a02066cb4

Fot. Twitter biskupa Piotra Libery

kojnie, bezpiecznie i jak w domu". Inny poruszający wpis zamieścił Andrzej Bukowski: „W Kościele najbardziej podoba mi się to, że jest naprawdę dla wszystkich. To pierwsza rzecz, która mnie zaskoczyła, kiedy do niego wróciłem po przegranym życiu. Ponieważ mam dzięki niemu drugie życie, nie mogę w tym dniu nie wyznać".

Internauci zwracali też uwagę na samą istotę kapłaństwa i duchową walkę, która toczy się w codziennym świecie. Agnieszka Michalak pisze: „Kościół i kapłani głoszący Ewangelię to ratunek dla chorego dziś świata. Komuś zależy, by ten świat nigdy nie wyzdrowiał. Jednak: Któż jak Bóg! Zawdzięczam życie Kościołowi i Ewangelii". Rupert natomiast pisze: „Skoro dziś tak bardzo pluje się na Kościół, skoro tak podle zohydza się księży, to znaczy, że ich misja tym bardziej jest dziś słuszna i potrzebna! Diabeł wyje, jak mu ktoś psuje robotę".

Im większa nagonka na Kościół, tym większe zaangażowanie wiernych w modlitwę i budowanie wspólnoty. Tak samo było i tym razem. Wielu katolików stanęło w obronie kapłanów, nie godząc się na zbiorową odpowiedzialność, poniżanie księży i zohydzanie Kościoła. Niektórzy twierdzą, że w ich parafiach jeszcze mocniej zaczęły działać wspólnoty modlitewne, przybyło kandydatów na ministrantów. Tak, jakby ich rodzice chcieli pokazać, że nie dadzą wciągnąć się w brudną grę skojarzeniową ksiądz pedofil, rozpętaną przez antyklerykalne media. Niektórzy księża mówią, że dostają maile i esemesy z wyrazami wsparcia i z zapewnieniem o modlitwie. Dzieci, tak samo jak w poprzednich latach, przychodzą na październikowe nabożeństwa różańcowe. I choć oczywiście zdarzają się sytuacje nieprzyjemne i nacechowane agresją, choć część księży doświadcza tej niechęci w szkole czy na ulicy, antyklerykalna zaraza rozprzestrzenia się głównie wśród ludzi niewierzących, tych, którzy nie mają żadnych relacji z osobami duchownymi. Jeśli więc „Kler" Smarzowskiego kogokolwiek odsunął od Kościoła, to głównie tych, których w tym Kościele i tak nie było.

> Katolicy dają świadectwo wiary. Księża weryfikują własne postawy i gorliwiej pełnią swoje obowiązki. Jeśli efektem filmu będą nawrócenie i duchowa odnowa, to dobry znak

W podczęstochowskim „polskim Ars" – w Sanktuarium Modlitwy za Kapłanów – trwa nieustanna modlitwa za księży. Choć sanktuarium znajduje się w maleńkiej miejscowości, przyjeżdżają do niego pielgrzymi z całego świata. Proszą o siłę, wierność i odwagę dla księży, modlą się o powołania kapłańskie. Kustosz sanktuarium, który ogromną część swojego czasu spędza w konfesjonale, twierdzi, że nie dostrzega objawów negatywnego oddziaływania „Kleru" na wiernych. – Nie miałem ani jednej sytuacji, która nawiązywałaby do filmu – mówi, przyznając jednocześnie, że siła rażenia obliczona została przez twórców na daleki zasięg. – Na pewno pokazywanie Kościoła w taki sposób jest celowym działaniem. Ale to się nie uda. Zawsze Kościół z takich kryzysów wychodził mocniejszy. Najbardziej boję się w historii Kościoła, tej współczesnej też, takich momentów, gdy jest nam za dobrze. Najgorszą rzeczą, jaka zagraża Kościołowi, jest triumfalizm, czyli bycie daleko od ludzi – mówi ks. Tomasz Nowak, kustosz sanktuarium św. Jana Marii Vianneya w Mzykach.

Czy „Kler" oddalił wiernych od Kościoła? Ludzi na mszach świętych jest tyle samo. Powstały nowe inicjatywy modlitewne za kapłanów. Katolicy dają świadectwo wiary. Księża weryfikują własne postawy i gorliwiej pełnią swoje obowiązki. Jeśli efektem „Kleru" będą nawrócenie i duchowa odnowa, to dobry znak. Znak, że polski Kościół żyje i stale się umacnia, nawet jeśli czasem upada. Błąd Wojciecha Smarzowskiego i innych walczących antyklerykałów polega na tym, że nie biorą pod uwagę płaszczyzny duchowej. Nie rozumieją, że wspólnota powołana przez Chrystusa istnieje nieprzerwanie 2000 lat nie dlatego, że składa się wyłącznie z aniołów i superbohaterów, ale dlatego, że grzeszni ludzie zawierzają swoją słabe serca wszechmogącemu Bogu.

eprasa.pl 8a02066cb4

Smarzowski u kresu

Smarzowski żywi równą odrazę do wszystkich. I tylko koniunkturalnie wybiera sobie środowiska i grupy ludzkie, które w aktualnym czasie warto akurat wziąć na warsztat

JAN ROKITA

„Kler” ogląda się z zaciekawieniem, bo zło działa na ludzką ciekawość jak magnes. Tym bardziej że dla wielu opis skrajnego zepsucia osób duchownych ma ciągle posmak owocu zakazanego.

KOMENDANT WALCZĄCEGO ATEIZMU

Jeszcze do niedawna Kościół katolicki otaczany był w Polsce wyjątkową publiczną atencją, co brało się nie tyle nawet z siły tradycji, ile raczej z nieporównywalnego z niczym innym „monarszego” statusu polskiego papieża. Postać Jana Pawła II urosła przecież do wymiarów kluczowego czynnika narodowej jedności Polaków, ponad normalnymi w demokracji konfliktami wybuchłymi po odzyskaniu niepodległości. Nic dziwnego, że kiedy „ostatni król” umarł, owo poczucie jedności z roku na rok słabło, a sama instytucja Kościoła stopniowo zaczęła tracić wcześniejszy naturalny immunitet.

W ciągu 13 lat po tym kluczowym dla polskich losów zgonie fronty ideologiczne tak zdążyły się wyostrzyć, że nie tylko Kościół, lecz i sama wiara katolicka znalazły się w samym centrum kulturowej wojny, w której reżyser „Kleru” niemal z dnia na dzień stał się ważnym dowódcą. Wojciech Smarzowski najwyraźniej zresztą dobrze się czuje w roli nowego komendanta pułków maszerujących na wojnę z religią. W tej roli nie ciągnie się za nim ani nikczemny życiorys Urbana, ani czarna legenda Michnika, ani kabotyństwo Palikota, ani też odstręczająca pseudonaukowość Środy. Przy okazji promocji filmu reżyser ogłasza nam, że: „Kościół jest przeciw postępowi i nauce”, a „nieświadome dzieci przywłaszcza sobie przez chrzest”. Trudno zaiste o bardziej jednoznaczny manifest wolteriańskiego ateizmu walczącego.

REALITY SHOW

Ale „Kler” – jak przystało na dzieło inteligentnego i sprawnego warsztatowo twórcy – można oglądać i interpretować na różne sposoby. Ten najbardziej popularny, na którym gra także sam Smarzowski, gdy występuje w roli zawziętego krytyka katolicyzmu, każe widzieć w filmie demitologizację i obnażenie skrywanej dotąd prawdy o Kościele. Widać wyraźnie, choćby w rozmowach o filmie toczących się w sieci, że zwłaszcza młodsza publiczność wali do kin zwabiona nadzieją na arcyludzką przyjemność oglądania ostrego „reality show” na temat życia księży. Owa przyjemność polega na ujrzeniu na własne oczy cudzej skrajnej hipokryzji. Oto ci, którzy na co dzień mają – niejako zawodowo – usta pełne słów o prawdzie, dobru i świętości, sami są łajdakami, a ich zakłamana korporacja (czyli Kościół instytucjonalny) niewiele różni się od mafii, w której dwa instrumenty są narzędziami władzy: pieniądze i szantaż. Tak właśnie przedstawiają film portale kinowe zachęcające ludzi do wybrania się do seans. Typowa zajawka filmu, jaką można tam znaleźć, brzmi tak: „»Kler« – szokujące fakty ujawnione przez Smarzowskiego”.

Sam reżyser zrobił zresztą wiele, aby na średnio wyrobionym, masowym widzu sprawić właśnie wrażenie, iż chodzi tu o „fakty”. Co prawda sceny kościelne nagrane zostały w Czechach, których przewaga (jak wyjaśnia Smarzowski) polega na tym, że w tamtejszych kościołach w kręceniu filmu „nie przeszkadzają” msze, bo ich się tam nie odprawia. Ale widzowi kawa na ławę pokazano, że twierdzą kościelnego łotrostwa jest... Kraków, a prawdziwy Mefisto (w filmie jest to postać księdza Lisowskiego) urzęduje i kusi w klubie Hard Rock Café, vis-à-vis kościoła Mariackiego oraz w nadwiślańskim apartamencie na Salwatorze, w którym (nie wiedzieć czemu) dla okazania zbytku ustawiono starą kościelną ambonę. Co więcej, charakterystyczne sceny wigilii dla bezdomnych na krakowskim rynku odwołują się wprost do dobrze znanych krakowianom scen z udziałem kardynałów Macharskiego i Dziwisza, z których zwłaszcza ten ostatni ma się stać w podświadomości widzów „prototypem” zdeprawowanego abp. Mordowicza. Nawet księżowskie limuzyny mają celowo eksponowane na ekranie krakowskie numery rejestracyjne, by nikt nie miał wątpliwości co do realizmu filmowej opowieści.

Ów realizm jest celowym zabiegiem reżyserskim, bo to właśnie dzięki niemu obraz ma być oglądany jako demaskacja Kościoła, a w konsekwencji przyciągnąć do kin liczne kohorty widzów (jak wiadomo, ten cel został osiągnięty z naddatkiem). Na seansie w dużym krakowskim kinie sala wy-

eprasa.pl 8a02066cb4

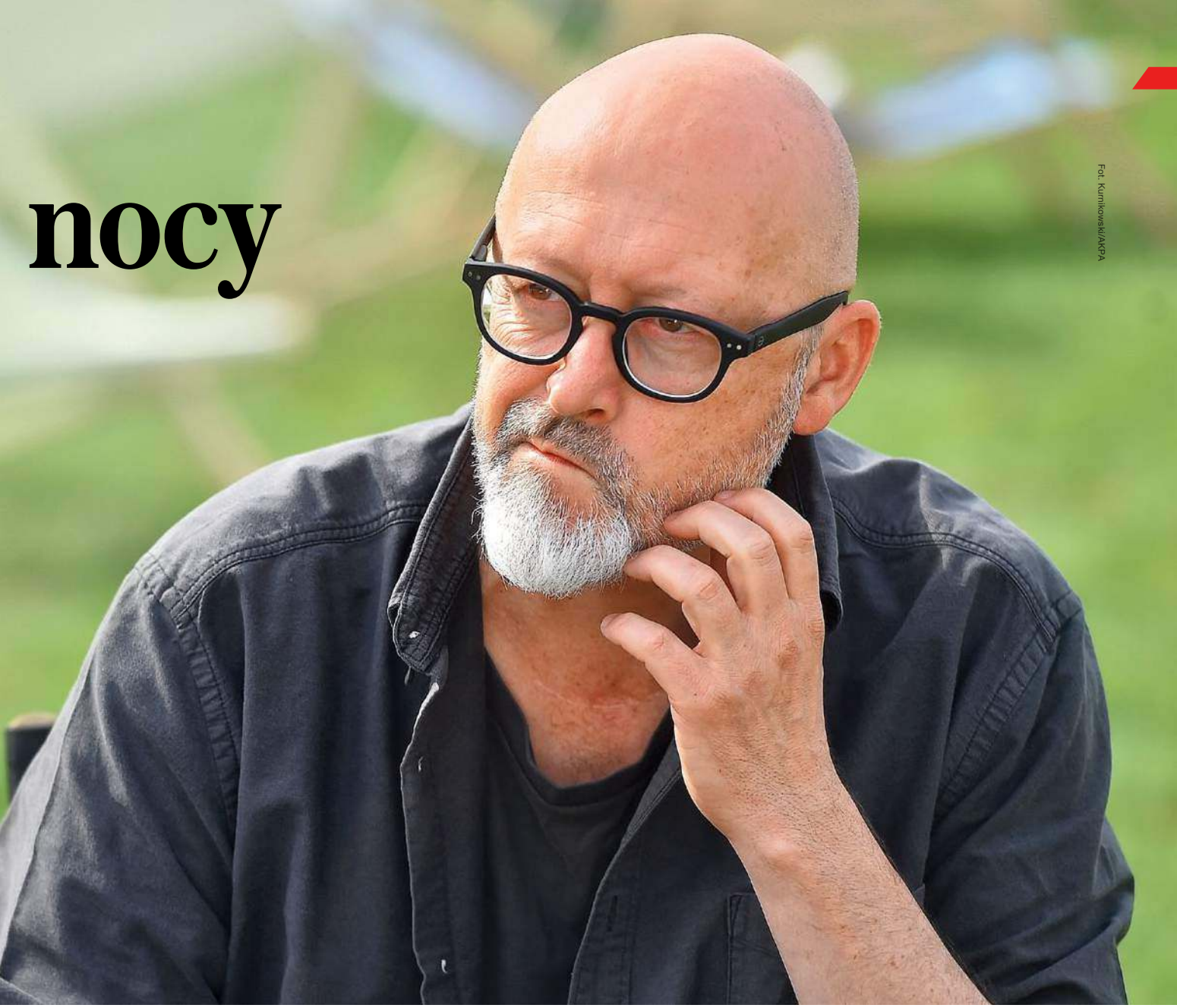

nocy

Fot. Kurnikowski/AKPA

pełniona była w przeważającej mierze nastolatkami, a dwaj z nich, siedzący obok mnie, przy najbardziej drastycznych scenach (jak bicie i gwałcenie dziecka na sugestię zakonnicy) półgłosem wymieniali się uwagami typu: „Ale gość przesadza!". Ta publiczność przyszła do kina po to, aby zobaczyć prawdę o swoim szkolnym katechecie. Ale skrajnie czarny obraz narysowany przez Smarzowskiego musiał wzbudzić ich wątpliwość, czy aby na pewno oglądają ukrytą podszewkę świata prawdziwego. Obraz jest bowiem tak wyraźnie przerysowany, że pierwszą myślą, jaka musi się nasuwać po projekcji widzowi zwabionemu zajawkami o reality show, jest: „Nie, to chyba do końca nie jest prawda". I co charakterystyczne – niemal cała publiczna dyskusja o filmie toczy się teraz w tej właśnie sprawie: prawdziwy czy nieprawdziwy jest to obraz polskich księży? Ta dyskusja jest zresztą nie bez znaczenia dla kształtu polskiej polityki.

PEDAGOGIKA SMARZOWSKIEGO

Demaskacja ma bowiem u Smarzowskiego jasne ideowe przesłanie: nie wyzwoli się z wszechogarniającego zła nikt, kto pozostanie wewnątrz Kościoła. Instytucja ta jest zepsuta w samej swojej strukturze, więc zwycięstwa mogą w niej odnosić jedynie ludzie nikczemni. Jedynym triumfatorem w filmie jest więc ksiądz Lisowski, który zniszczy albo zaszantażuje wszystkich swoich wrogów, tak, że nie będą mu w stanie zaszkodzić ani zapowiedź biskupa, iż „jest już skończony", ani nawet rozesłana do mediów lista jego zbrodni. To zresztą najlepiej skonstruowana i zagrana postać filmu: inteligentny, zimny arcyłgarz i wielki manipulator, jednoznacznie inspirowany literackim wyobrażeniem postaci Mefistofelesa. Wulgarny i prymitywny abp Mordowicz okaże się ledwie marionetką w jego diabelskich rękach.

Ksiądz Kukuła, potencjalnie dobry człowiek, ale kompletnie

eprasa.pl 8a02066cb4

zdeprawowany przez kościelny styl życia, nie znajdzie siły po temu, aby uznać swoje winy, a na dodatek nieudolnie zacznie demaskować kościelną mafię. Jasne więc, że musi go spotkać tragiczny koniec.

Jedyny spośród bohaterów, który ma jakieś szanse na wydobycie się z mafii, to ksiądz Trybus, ale tylko dlatego, że w końcu dla kobiety zrzuci sutannę. Ratunku nie ma więc wewnątrz Kościoła, tak jak nie może być ratunku wewnątrz mafii. Aby żyć normalnie, trzeba zerwać z Kościołem. To jest istota pedagogiki Smarzowskiego, która symbolicznie apeluje zwłaszcza do młodego pokolenia Polaków. I na takim kształtowaniu postaw polega doniosła polityczna funkcja „Kleru” w dzisiejszej Polsce.

Ale „Kler” powinien skłonić także widza do patrzenia nań jako na opowieść o dnie moralnego upadku człowieka. W takim odczytaniu nie ma większego znaczenia to, że chodzi akurat o księży. Smarzowski zrobił już przecież takie same filmy o policjantach, Ukraińcach czy zwyczajnie o prostych ludziach z prowincji, a sensem i puentą każdego z nich (jak w „Weselu”) jest wybijające na wierzch szambo. Te wszystkie filmy mają z sobą to wspólne, że pokazują jakąś istotną grupę społeczną (a czasem narodową – jak w „Wołyniu”) jako świat na dnie, bez jakiejkolwiek nadziei. Także w „Klerze” czołowi bohaterowie Smarzowskiego żyją poza zmysłem moralnym. A jeśli są w stanie się czasem wzruszyć (co zdarza się nawet Mefiście Lisowskiemu), to tylko nad przykrościami własnego życia.

WULGARNY NIHILIZM

Kolejne filmy Smarzowskiego mają na celu podburzyć ogół przeciwko jakiejś grupie, sugerując całej „reszcie”, że owa grupa to struktura produkująca złoczyńców. Dlatego też reżyser za każdym razem może liczyć na entuzjazm i noszenie go na rękach przez tych, którzy uznali, że to właśnie ich realni albo urojeni wrogowie zostali wreszcie dopadnięci i zdemaskowani, i to nie przez literaturę czy publicystykę o słabym publicznym obiegu, ale przez film – masowo oglądane dzieło popkultury.

Kiedy Smarzowski w taki sposób pokazywał nam niedawno Ukraińców, wielu w Polsce, a zwłaszcza na polskiej prawicy, uznało go za artystę proroka, który odważył się wyciągnąć na jaw skrywaną przez lata prawdę. Pewien duchowny, skądinąd bardzo czynny w sieci, nie mógł wtedy się nachwalić odwagi i uczciwości Smarzowskiego; teraz po „Klerze” nie próbuje nawet kryć swego żalu i rozczarowania. Wielu z nas, znając już popkulturową siłę rażenia filmów Smarzowskiego, chciałoby po prostu, aby reżyser razem z nami nienawidził i demaskował tych, których my nienawidzimy i chcielibyśmy, aby byli zdemaskowani. Chodzi tylko o to, że Smarzowski żywi równą odrazę do wszystkich. I tylko koniunkturalnie wybiera sobie środowiska i grupy ludzkie, które w aktualnym czasie warto akurat wziąć na warsztat. Gdy w Polsce rośnie emocja antyukraińska, podsyca ją „Wołyniem”, gwarantując sobie kasowy sukces. A gdy jest moda na atakowanie Kościoła, robi „Kler”, bijąc rekordy popularności. Niewykluczone, że niedługo zrobi film o „kaście” sędziowskiej, jeśli tylko nie wystraszy go ryzyko środowiskowego ostracyzmu. Ale przecież tak naprawdę odkąd stworzył „Dom zły”, to w gruncie rzeczy nie tworzy niczego nowego. Każdym kolejnym filmem przekonuje nas tylko, że człowiek, nieważne czy ksiądz, policjant lub Ukrainiec, jest istotą z gruntu amoralną, która każdą grupę społeczną, w jakiej się znajdzie, rychło przekształca w rodzaj mafii.

> Niewykluczone, że niedługo Smarzowski zrobi film o „kaście” sędziowskiej, jeśli tylko nie wystraszy go ryzyko środowiskowego ostracyzmu

Bo Smarzowski jest prostym kontynuatorem silnego w europejskim dziedzictwie kulturowym nurtu immoralistycznego. Oglądając jego filmy, trudno oprzeć się wrażeniu, że jego prawdziwym artystycznym patronem jest ojciec europejskiego literackiego wulgarnego nihilizmu Louis-Ferdinand Céline, autor sławnej „Podróży do kresu nocy”. To Céline nauczał, że literatura musi dojrzeć do tego, aby przedstawiać ludzi gorszymi, niźli nawet są, bo „tylko to daje odprężenie i człowieka wyzwala”. Smarzowski tę wskazówkę urzeczywistnia w filmie. Céline otwarcie się domagał, aby sztuka obdzierała ludzi „z tej resztki prestiżu, jaki skłonni im jesteśmy jeszcze przypisywać”. A filmy Smarzowskiego nie tylko służą tej misji, lecz także korzystają z dobrego dla siebie klimatu politycznego w Polsce, w której obdzieranie elit z resztek prestiżu stało się popularną i dobrze widzianą przez władze rozrywką. A skoro tak, to jasne, że musiał nadejść dzień, w którym obiektami owej rozrywki staną się także biskupi i kapłani.

Ale Céline stworzył przede wszystkim swoisty model literackiego bohatera, który doskonale uosabia niewiarę w człowieka, a ściślej mówiąc – irracjonalną wiarę w jego zupełną nicość. „Daremnie człowiek wytęża siły, potyka się, ześlizguje, spada z powrotem w alkohol, który konserwuje żywych i martwych, lecz nie dochodzi do niczego. To jest dowiedzione. I od tylu wieków można widzieć, jak zwierzęta naszego gatunku rodzą się, trudzą i zdychają na naszych oczach i nie przytrafia się im nigdy nic nadzwyczajnego”. To jest antropologiczny manifest napisanej już niemal wiek temu „Podróży do kresu nocy”. Z bohaterami Smarzowskiego spotykamy się właśnie wtedy, kiedy zbliżają się oni do końca tej diabelskiej podróży.

POST SCRIPTUM

A tak pro domo sua – to chciałbym, aby reżyser i ci najuważniejsi widzowie wiedzieli, że żałuję, iż nie dowiedziałem się, w którym rzędzie na swojej mszy (czytaj: w którym kręgu piekła) chciałby mnie umieścić abp Mordowicz.

60/0918/F

eprasa.pl 8a02066cb4

plus

CYFROWY POLSAT

Oszczędzaj z głową!

Przenieś numer do Plusa, dobierz telewizję od Cyfrowego Polsatu, a wszystko już od 40 zł miesięcznie. Do tego dokup Światłowód Netii z rabatem smartDOM.

od **40** zł/mies.
z rabatem smartDOM

+

Dokup Światłowód Netii
do **900** Mb/s

TELEFON + TELEWIZJA

smart DOM

[1] TELEFON: Dotyczy wybranych wariantów ofert. Szczegóły w regulaminach promocji: „PLUS.", „PLUS. ELASTYCZNA", „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon" dostępne na www.plus.pl i u Doradców.
[2] TELEWIZJA: Dotyczy promocji dla nowych Klientów dostępnych z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z min. zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w Warunkach Oferty i regulaminie, dostępne na www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.
[3] SMARTDOM: Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Rabaty dostępne przez całą umowę w przypadku zachowania warunków promocji. Szczegóły w regulaminie programu „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon". Warunkiem otrzymania rabatu smartDOM na usługę Światłowodu Netii jest spełnienie wymogów wynikających z regulaminu promocji „Najlepsza rozrywka – smartDOM". Regulaminy dostępne na: www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.

eprasa.pl 8a02066cb4

Kto jak nie babcia

Jasienica, nieduża miejscowość pod Bielsko-Białą. W jednym z przydomowych ogrodów słychać śmiech 10-letniego Marcusa. To jego miejsce na ziemi. Po dwóch latach walki babci z niemieckim Jugendamtem wreszcie mógł tu wrócić

Fot. Rafał Klimkiewicz/EDYTOR.net (x4)

DOROTA ŁOSIEWICZ

W 2007 r. mama Marcusa wyszła w Niemczech za mąż za Polaka z podwójnym obywatelstwem i postanowiła ułożyć sobie życie za Odrą. Marzyła o szczęśliwej rodzinie. Marcus urodził się rok później. Zaraz po jego przyjściu na świat w jego życiu pojawiła się babcia Barbara Branicka.

– Gdy dowiedziałam się, że urodził się mój wnuk, po raz pierwszy w życiu wsiadłam w samolot i poleciałam do córki. Oboje potrzebowali mojej pomocy, bo Marcus przyszedł na świat w skutek cesarskiego cięcia. Musiałam się więc zająć córką. Między nią a jej mężem nie układało się zbyt dobrze – opowiada pani Branicka.

Gdy córka poczuła się lepiej, pani Branicka wróciła do kraju, ale kilka tygodni później córka pojawiła się u niej z Marcusem. Kobieta potrzebowała pomocy. Tata Marcusa wolał grać na komputerze i spać do południa, niż zajmować się wychowaniem syna. W 2013 r. małżeństwo zakończyło się rozwodem. Przez pierwsze lata życia

eprasa.pl 8a02066cb4

Marcus często bywał u dziadków, nawet przez 3–4 miesiące. Czuł się tam jak u siebie. Z mamą i dziadkami rozmawiał głównie po polsku, gdy więc poszedł do niemieckiego przedszkola, nie znał języka i miał trudności w komunikacji. Szybko więc został zakwalifikowany jako dziecko z problemami. Wtedy już Marcusem zainteresowała się opiekunka Jugendamtu. W tym czasie mama Marcusa zaszła w kolejną ciążę. Przeprowadziła się, a Marcus został przeniesiony do przedszkola dla dzieci z problemami, a następnie trafił do szkoły podstawowej o takim samym profilu. W tym czasie jego mamie rozpadł się kolejny związek, trafiła z chłopcem do domu dla samotnych matek. W grudniu 2015 r. mamie Marcusa udało się załatwić własne mieszkanie. Pani Branicka pomogła córce w urządzeniu się. Wszystko zostało przygotowane dla Marcusa i mającego przyjść na świat kolejnego dziecka. Babcia chętnie zajmowała się Marcusem, chodziła z nim na spacery, odprowadzała do szkoły. W lutym 2016 r. na świat przyszedł Tobias. Na początku marca pani Branicka zamierzała zabrać Marcusa na wiosenne ferie do Polski. Szkoła przygotowała materiał, z którym chłopiec powinien się w tym czasie się zapoznać.

– Niestety, tuż przed naszym wyjazdem przyszło wezwanie do Jugendamtu. Na spotkaniu miałam się stawić także ja, ponieważ w dokumentach do ubezpieczenia byłam zgłoszona jako opiekunka Marcusa. Na spotkaniu okazało się, że ojciec drugiego chłopca, Tobiasa, nie chce się zajmować dzieckiem. W pokoju błyskawicznie pojawiła się pracownica Jugendamtu, która wyprowadziła wózek z Tobiasem. Córka była w szoku, nie wiedziała, co się dzieje, nie pozwolono jej się nawet z dzieckiem pożegnać – relacjonuje Barbara Branicka. – Tata Tobiasa nie był zaskoczony, wiedział, że taki będzie przebieg tego spotkania. Później okazało się, że dokumenty o przekazaniu chłopca instytucji podpisał, zanim mały się urodził – ze łzami w oczach wspomina Branicka. – Nie wiedziałam, co robić. Sparaliżował mnie strach. A córce postawiono ultimatum: albo podpisze zgodę na leczenie psychiatryczne, albo już nigdy nie zobaczy syna. Zachęcałam ją nawet, żeby się zgodziła, jeśli chce odzyskać dziecko. Potem okazało się, że to był błąd, bo taki wpis do jej kartoteki zdyskwalifikuje ją w oczach urzędników – mówi pani Barbara. – Następnego dnia, zgodnie z planem, wyjechałam z Marcusem do Polski. W tym czasie urzędnicy poprosili córkę o zrzeczenie się praw do Tobiasa. Ona się oczywiście nie zgodziła. Sprawa trafiła więc do sądu – dodaje pani Branicka.

WEZWANIE Z JUGENDAMTU

Rozprawa odbyła się w czerwcu 2016 r. Niestety, sąd pozbawił kobietę praw rodzicielskich do obydwu chłopców. O wyroku obydwie panie dowiedziały się, gdy urzędnicy Jugendamtu zabrali Marcusa ze szkoły.

> Świat mi się zawalił. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, żeby obcy człowiek zapakował mojego wnuka do samochodu, twierdząc tylko, że to dla jego dobra – mówi pani Branicka

– Marcus nie mógł się doczekać wakacji. Wiedział, że już za chwilę znów polecimy do Polski. Starał się uczyć jak najlepiej, każdego dnia przychodził i chwalił się stopniami – wspomina pani Barbara.

15 czerwca mama Marcusa została ponownie wezwana do Jugendamtu, a jego babcia czekała na powrót chłopca ze szkoły. Marcus już nie wrócił.

– Świat mi się wtedy zawalił, podłoga uciekła spod nóg. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, żeby obcy człowiek zapakował mojego wnuka do samochodu, twierdząc, że to dla jego dobra. Tym bardziej że jemu nie działa się krzywda. Z utęsknieniem wyglądaliśmy wyjazdu do Polski – relacjonuje babcia chłopca. – Urzędniczka Jugendamtu odwiozła córkę do domu i ze stoickim spokojem powiedziała, że teraz Marcus pójdzie do rodziny zastępczej, a o swojej ma zapomnieć – wspomina Branicka. – Nikt więcej nie chciał z nami rozmawiać.

Po tygodniu urzędnik Jugendamtu odezwał się do pani Branickiej z pytaniem, czy chce się pożegnać z wnukiem. Powiedział jej, że ma wracać do Polski, zająć się swoimi sprawami i zapomnieć o chłopcu. Kobieta poszła na spotkanie obładowana zabawkami. Chciała, żeby chłopiec miał przy sobie coś, co kojarzy się z domem.

„Wracamy do domu" – ucieszył się Marcus na widok babci. – A ja musiałam zacząć kłamać. Powiedziano mi, że nie mogę mu nic obiecywać, nie wolno nic tłumaczyć, nie mogę też doprowadzić go do łez. Spotkanie odbywało się w towarzystwie urzędniczki. Musiałam powiedzieć wnukowi, że nie może wrócić do domu, bo tak jest dla niego lepiej. Myślałam, że serce mi pęknie. Powiedziałam, że mama będzie go odwiedzać, ja także. A urzędnikowi zaznaczyłam, że nie zamierzam zapomnieć o wnuku, ale wracam do Polski, żeby szukać pomocy – opowiada Branicka.

Dla Barbary Branickiej walka z niemieckimi urzędnikami była prawdziwą drogą przez mękę. Marcus trafił do ośrodka tymczasowego. Gdy babcia przyjechała na pierwsze widzenie, okazało się, że nie ma tłumacza, a urzędnik zdenerwował się, że kobieta przywiozła albumy ze zdjęciami, by pokazać, że jej wnuk był z nią szczęśliwy. Jugendamt podczas tygodniowego pobytu pozwolił tylko na jedno godzinne widzenie. Marcus miał rozdarte serce, że babcia znów odchodzi, nie zabierając go z sobą. Nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Szybko się okazało, że chłopcu zabroniono mówić po polsku.

– Gdy podczas jednego ze spotkań wymsknęło mu się polskie słowo, nerwowo spojrzał w stronę opiekunki i szybko się poprawił – relacjonuje Banicka.

eprasa.pl 8a02066cb4

Barbara Branicka-Wala i Stefan Wala

POMOC PAŃSTWA

Po powrocie do Polski kobieta zaczęła szukać pomocy u władz. Stwierdziła, że sama z niemieckim systemem nie wygra. Na szczęście spotkała się z życzliwością i w ambasadzie, i w Ministerstwie Sprawiedliwości.

– Dwa lata temu pani Branicka pojawiła się w moim gabinecie załzawiona i powiedziała, że nie wie, co robić. U nas znalazła pomoc. Na szczęście zaufała urzędnikom ministerstwa i szła drogą, którą jej wskazywali. A proszę mi wierzyć, to nie była prosta sprawa – opowiada Michał Wójcik, wiceminister sprawiedliwości.

– Gdyby nie polski rząd, gdyby nie pan minister Wójcik, gdyby nie pani konsul Agnieszka Kotowicz, gdybym nie miała tego zaplecza i wsparcia, nic bym tam nie ugrała – stwierdza pani Branicka.

Polscy urzędnicy szybko stwierdzili, że córka pani Branickiej nie ma szans na odzyskanie opieki ze względu na epizod z kliniką psychiatryczną, na który to epizod kobieta zgodziła się przecież, licząc na szybki powrót chłopców do domu. Jedynym cieniem szansy na odzyskanie chłopców było wystąpienie o opiekę nad dziećmi, w roli spokrewnionej rodziny zastępczej, przez babcię. Pani Branicka natychmiast złożyła niezbędne papiery. Chciała też wystąpić o opiekę przed niemieckim sądem, korzystając z pomocy mecenasa Stefana Hambury.

– Byłam naiwna, sądząc, że sprawa pójdzie gładko. Mecenas Hambura szybko mnie uświadomił, że na własną rękę w sądzie nic nie zdziałam. Powiedział, że urzędnicy Jugendamtu muszą czuć, że za Marcusem stoi państwo polskie. I miał rację. Na szczęście trafiłam na zmianę ekipy rządowej i na ministra Wójcika, który właśnie objął swój urząd i zapoznawał się ze sprawami – wspomina pani Branicka. – Pomoc obiecał też senator Andrzej Kamiński, który z obietnicy się wywiązał – dodaje.

Zaczął się czas żmudnej wymiany dokumentów. Strona niemiecka twierdziła, że pani Branicka musi sama walczyć przed niemieckim sądem. To zaś odradzali prawnicy, wieszcząc niechybną porażkę. Okazało się też, że pani Branicka mogła się starać tylko o opiekę nad Marcusem, ponieważ ojciec Tobiasa zastrzegł, że jego syn ma być wychowany na prawdziwego Niemca i z Polską nie może mieć nic wspólnego.

Wreszcie zapadła decyzja, że pani Branicka musi przejść w Polsce całą procedurę kwalifikacji do roli rodziny zastępczej. Rozpoczęła się żmudna procedura. Po stronie polskiej stwierdzono, że nie ma żadnych przeszkód, by małżeństwo stworzyło rodzinę zastępczą dla Marcusa (przy czym mąż pani Branickiej nie jest biologicznym dziadkiem chłopca). Jednak niemiecka strona uparła się, że sprawę może rozstrzygnąć tylko niemiecki sąd i to tam pani Branicka ma wykazać, że może się zająć wnukiem. Taką drogę doradzali też polscy urzędnicy, ale bał się jej mecenas Hambura, wiedząc, że sądy ślepo słuchają opinii Jugendamtu. Wreszcie znalazła się prawniczka, która podjęła się sprawy. Choć i ona nie wierzyła w sukces.

ATAKI PANIKI

Miesiące mijały. W tym czasie Jugendamt nie wyraził zgody na to, by Marcus spędził wakacje u dziadków w Polsce. Zaproponowano jednak pani Branickiej spotkanie, na którym pojawiła się także konsul Agnieszka Kotowicz. Podczas tego spotkania urzędnik Jugendamtu obiecał, że do czasu rozprawy Marcus nie zmieni ośrodka. Na nic się jednak zdała obietnica. Chłopca przeniesiono z ośrodka tymczasowego (gdzie odwiedzała go raz w tygodniu mama i babcia z mężem) do ośrodka specjalnego dla dzieci upośledzonych.

eprasa.pl 8a02066cb4

– Ośrodek oddalony był 80 km od miejsca zamieszkania jego mamy, nam też było trudniej tam dojeżdżać. To był ośrodek o innym rygorze. Wszystko po to, by zaognić sytuację, osłabić więź, utrudnić kontakty. Zaraz po przeniesieniu nie pozwolono mu nawet na widzenie z mamą, twierdząc, że Marcus potrzebuje czasu na przystosowanie się do nowego miejsca. Później jedna z opiekunek, a nawet kurator w piśmie do sądu przyznała, że chłopiec zaczął miewać w szkole ataki paniki z hiperwentylacją, zmianę przeżył strasznie – wspomina pani Branicka.

Jednocześnie cały czas toczyły się zabiegi dyplomatyczne o odzyskanie Marcusa. To prawdopodobnie dzięki nim niemiecki sąd zdecydował, że panią Branicką i jej zdolność opieki ma ocenić niemiecki psycholog. Psycholog dostała wszystkie opinie z Polski. Panią Branicką oceniła bardzo dobrze i poprosiła sąd o pozwolenie Marcusowi na powrót do Polski, tak by chłopiec kolejne wakacje spędził już w domu. Sąd dał stronom dwa tygodnie na ustosunkowanie się do tej opinii. Ostatniego dnia wyznaczonego przez sąd terminu zastrzeżenia zgłosił Jugendamt oraz kurator, która wcześniej przyznała, że zmiana ośrodka nie wpłynęła dobrze na Marcusa. Przedstawiciel Jugendamtu twierdził, że babcia nie będzie w stanie porozumieć się z wnukiem, ponieważ ten mówi tylko po niemiecku.

– Wtedy zrozumiałam, że to kolejne wakacje, których Marcus w Polsce nie spędzi – wzdycha babcia.

Do kolejnej rozprawy pani Branicka przygotowywała się z urzędnikami resortu sprawiedliwości jak do najważniejszego egzaminu w życiu. Znała wszystkie paragrafy, konwencje, orzeczenia międzynarodowych trybunałów. Była gotowa odpowiedzieć na każde pytanie sądu. Konsul Kotowicz wielokrotnie się upewniała, czy pani Branicka jest dobrze przygotowana i czy przypadkiem nie zachorowała. Ale ona była w świetnej formie. Marzyła tylko o odzyskaniu wnuka. Posiedzenie sądu było burzliwe. Urzędnik Jugendamtu dowodził, że pani Branicka nie nadaje się do opieki. Innego zdania była psycholog sądowa, która wskazywała na silną więź między Marcusem i babcią.

Sąd zdecydował, że Marcus może wrócić do Polski. Jednak nim to się stanie, należy przeprowadzić kilkutygodniową procedurę adaptacyjną. Marcus znów musi się do babci przyzwyczaić. Zakwaterowano więc babcię i wnuka pod ścisłą obserwacją Jugendamtu, a ten miał wyrazić opinię o ich relacjach. Dopiero na tej podstawie sąd miał wyrazić ostateczną decyzję. Na szczęście urzędnicy zapewnili o życzliwości i pomocy, co wszystkich wprawiło w zdumienie. Jugendamt wystawił wzorcową opinię, a po dwóch dniach sąd zdecydował, że chłopiec może wrócić do Polski.

– W wyroku zaznaczono, że orzeczenie uprawomocni się po miesiącu. Bardzo się bałam, że ktoś coś jeszcze wymyśli, żeby mi nie pozwolić zabrać wnuka do kraju – śmieje się pani Branicka.

Oczywiście nie zabrakło problemów na ostatniej prostej. Okazało się, że urzędnik Jugendamtu, który próbował uniemożliwić pani Branickiej opiekę nad wnukiem, sam wystąpił do innego sądu o prawo opieki nad chłopcem i to prawo dostał. Należało więc poczekać, aż urzędnik zrezygnuje w sądzie z opieki.

LĘKI Z PRZESZŁOŚCI

26 września 2018 r. po ponad dwóch latach walki Marcus wrócił do Polski.

– Cieszę się, że pani Branicka, mimo kilku kryzysów i wątpliwości, czy uda się wygrać bitwę o chłopca, się nie poddała. Osobiście podnosiłem ją na duchu, mówiłem, że takie sprawy długo się ciągną. Wielkie podziękowania należą się także pani konsul Agnieszce Kotowicz, która bardzo zaangażowała się w sprawę i osobiście wsadziła panią Branicką i Marcusa do samolotu. Babcia do końca się bała, czy ktoś jeszcze na lotnisku nie odbierze jej wnuka – opowiada wiceminister Wójcik.

Z Niemiec Marcus wrócił z orzeczeniem głębokiego autyzmu, który uniemożliwia mu samodzielne funkcjonowanie. W Polsce przeszedł badania psychologiczne. Fachowcy na niemiecką opinię patrzą ze zdziwieniem. Nie ma wątpliwości, że chłopiec potrzebuje wsparcia i uzupełnienia braków. Jednak pięknie czyta po polsku, to o tyle zaskakujące, że zabraniano mu używać tego języka.

– Mam z nim świetny kontakt, Marcus normalnie ze mną rozmawia, rozumie, co się do niego mówi i co się wokół niego dzieje, nie boi się ludzi – ocenia pani Branicka. – Wczoraj byliśmy w wesołym miasteczku w Zatorze. Zaciągnął mnie na jedną z najwyższych karuzeli i w ogóle się nie bał. Gdyby nie Marcus, nigdy bym na coś takiego nie wsiadła – śmieje się pani Barbara.

Teraz przed Marcusem i jego prawnymi opiekunami dużo pracy. Choćby nad pokonaniem lęków z przeszłości. Niebawem, po ocenie pedagogicznej, Marcus musi iść do szkoły, jednak panicznie się tego boi. Mówi: „Tylko nie szkoła". – Może dlatego, że to ze szkoły go zabrano – zastanawia się pani Branicka.

Jej marzeniem jest, żeby kiedyś wrócił do niej także Tobias, młodszy brat Marcusa, który dziś ma już dwa lata i pozostaje pod opieką dwóch kobiet żyjących w związku partnerskim. – Marcus wie, że ma brata, mamy jego zdjęcia – mówi pani Barbara.

– Może kiedyś i tego chłopca uda nam się sprowadzić do Polski – dodaje wiceminister Wójcik.

eprasa.pl 8a02066cb4

Medialny tort koncesyjny został trwale podzielony. Gdyby nie przypadek, czyli gdyby Radio Bajka nie przestało nadawać, my byśmy koncesji nie dostali

Z Krzysztofem Skowrońskim, prezesem Radia Wnet, rozmawia Ryszard Makowski

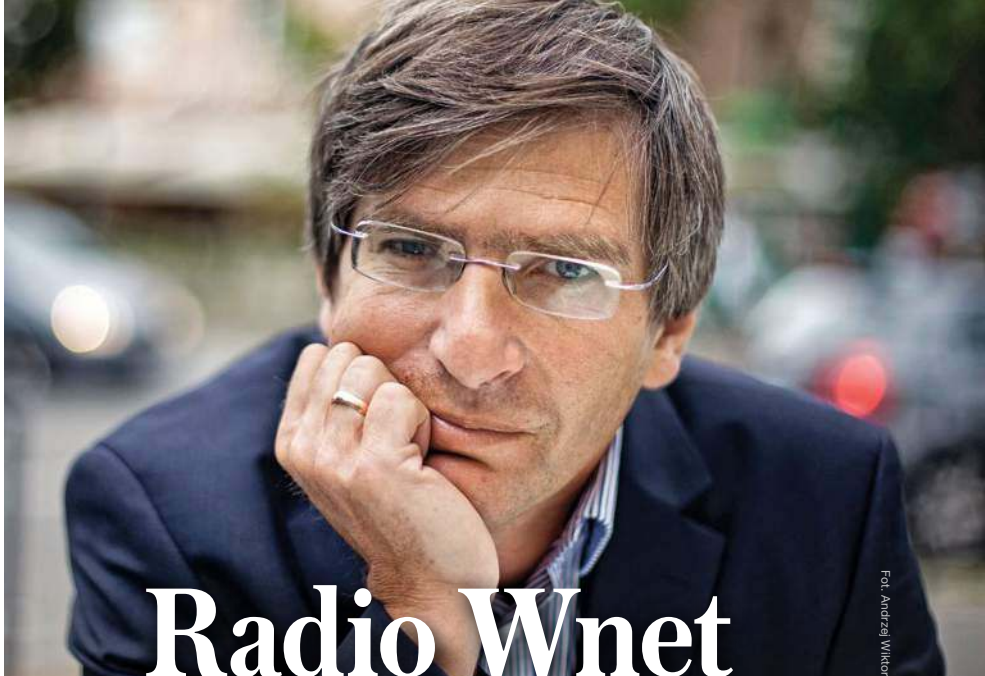

Fot. Andrzej Wiktor

Radio Wnet w Warszawie i Krakowie

Otrzymanie koncesji przez Radio Wnet na nadawanie w Warszawie i Krakowie to ogromny sukces.

Krzysztof Skowroński: Tak, to jest olbrzymia radość. Dowiedziałem się o tym tutaj, w restauracji w budynku PAST-y i wydałem z siebie tak donośny okrzyk triumfu, że aż pani kelnerka się przestraszyła. Myślała, że coś się stało na miarę pożaru budynku. Radość i wyzwolenie. Wyzwolenie. Radio Wnet miało potencjał energii twórczej, która nie miała swojego ujścia.

Kiedy Radio Wnet rozpocznie nadawanie?

Precyzyjnej daty podać jeszcze nie mogę. Wymaga to przebrnięcia przez wiele urzędniczych procedur. Musi być ogłoszenie koncesji, uzgodnienia z wieloma urzędami, a jak już dostaniemy tzw. papier, to kilka dni zajmie nam uruchomienie emisji. Chcemy być radiem na nowe stulecie.

Na jakich częstotliwościach będzie można odbierać wasz program?

Warszawa 87,8 MHz, Kraków 95,2 MHz.

Jakie są założenia programowe Radia Wnet?

Ma to być rado autorskie, czyli radio wolności twórczej. Nasze radio jest świadome swojej własnej tożsamości, od początku odwoływaliśmy się do tych samych zasad: chrześcijaństwo, I i II Rzeczpospolita, myśl społeczna Jana Pawła II i „Solidarność". To są źródła ideowe radia i one są niezmienne. Planujemy dużo publicystyki. Założyliśmy, że będzie 40 proc. słowa. Wywołało to nawet zdziwienie w KRRiT, że zakładamy tak duży procent słowa.

A muzyka?

Od muzyki klasycznej, przez muzykę awangardową, rockową, rapową, bluesową, do kabaretowej. O takim radiu mówi się radio uniwersalne. Chcemy stworzyć takie klasyczne radio nieograniczające jego autorów.

Czyli nie będzie obowiązkowej obecnie playlisty?

Przede wszystkim będą audycje autorskie, ale jakąś formę playlisty oczywiście udostępnimy w komputerze. Chodzi o piosenki, które uważamy w redakcji za dobre i z których będziemy korzystać. Jednak twórcy audycji będą mieli całkowitą niezależność w doborze repertuaru.

Po dziewięciu latach aktywności internetowej będzie można zdecydowanie rozszerzyć grono odbiorców.

Trzeba dodać, że byliśmy w sferze internetowej, ale byliśmy też w Radiu Warszawa i Radiu Nadzieja. I za tę ośmioletnią współpracę należy się tym rozgłośniom podziękowanie. Bez tego marka Radia Wnet z pewnością nie przebiłaby się do świadomości słuchaczy.

Trzeba zaznaczyć, że retransmisja dotyczyła wyłącznie czasu od 7.07 do 9.00.

To były trudne lata. Kiedy rządząca koalicja PO-PSL starała się wykreślić z obiegu wszystko to, co nie zgadzało się z jej doktryną. Byliśmy w pewnym momencie jedynym radiem, które mówiło językiem opozycji. Były niezależne portale, Telewizja Republika, Radio Maryja, ale to my byliśmy takim warszawskim dziennikarskim głosem w eterze. Opowiadaliśmy bez cenzury o tym, co się dzieje w Polsce.

Wokół Radia Wnet udało się stworzyć społeczność.

Bez tej społeczności, bez Jarmarku Wnet, bez spółdzielczych mediów Wnet na pewno byśmy nie przetrwali. Były takie momenty, kiedy bezpośrednio apelowaliśmy do słuchaczy o wsparcie. W roku 2014 w okolicach listopada już się „słanialiśmy na nogach" i była obawa, że to nasze przedsięwzięcie się rozpadnie. I wtedy zaapelowaliśmy o wsparcie, zrobiliśmy taki znaczek – Cosiek. Na Jarmark do Konesera przyjechało parę tysięcy słuchaczy i sprzedaliśmy tyle cośków, że pozwoliło nam to przetrwać finansowo trudny moment.

eprasa.pl 8a02066cb4

Niewtajemniczonym warto wyjaśnić, że te jarmarki, oprócz możliwości nabycia ekologicznej żywności, oferowały swoisty klub dyskusyjny.

Jarmark w pewnym momencie stał się miejscem towarzyskich spotkań, w którym bywali obecni ministrowie i ludzie, którzy zajmują dziś ważne pozycje w państwie. To było miejsce koncertów, wykładów. To było wydarzenie warzywno-owocowo-artystyczno-polityczne.

Czy w radiu utrzymującym się z reklamodawców uda się zachować tak niezależną linię polityczną jak do tej pory?

Jestem pewien, że się uda.

Jaki procentowy udział w rynku będzie uznany za zadowalający?

Dla takiego radia jak nasze każdy wynik powyżej 2 proc. udziału w rynku można uznać za satysfakcjonujący.

Pana nauczycielem był Andrzej Woyciechowski. Jakie jego doświadczenia są cały czas przydatne?

Andrzej Woyciechowski nauczył mnie rytmu radia. W radiu najbardziej nieznośna jest nuda.

W życiu też.

Dlatego w radiu należy zminimalizować jej poziom. Jeżeli chcemy słuchacza zainteresować treścią audycji, bardzo ważne jest też nadanie jej atrakcyjnej formy. Ta forma ma pozwalać słuchaczowi na wielokrotnym koncentrowaniu się na tym, co się dzieje na antenie.

Jest pan prekursorem cyklicznych audycji, w których politycy co tydzień komentują wydarzenia. Był pan wręcz legendarnym dyrektorem Trójki. Radio Wnet też dzięki panu zaistniało bardzo mocno.

Teraz stoimy przed prawdziwymi wyzwaniami. Do tej pory musieliśmy wypełnić poranne 113 minut, a doba ma 1440 minut. To jednak jest olbrzymia odpowiedzialność i czasem myślę, jaki to jest ciężar. Nie można zawieść słuchacza i trzeba zrobić 17 godzin dziennie ciekawych audycji. Kluczowe jest teraz dobranie autorów tak, aby potrafili robić takie radio, na którym nam zależy. Kluczowe jest ułożenie ramówki radiowej tak, żeby miała dwie cechy, pozornie sprzeczne: przewidywalność i nieprzewidywalność, bo radio powinno mieć dużo elementów zaskoczenia. Radio powinno mówić słuchaczowi: „Ty chcesz mnie słuchać dlatego, że ja cię mogę zaskoczyć. Mogę ci dać coś, czego się nie spodziewasz. Nie tylko ciekawą rozmowę, lecz i coś więcej".

Radio Wnet jest radiem mobilnym, wędrującym po Polsce, często spontanicznym, i jeśli się uda to utrzymać, to słuchalność będzie gwarantowana.

Sam jestem podekscytowany tym, co będzie się działo w tej drodze, w którą wyruszamy wraz z otrzymaniem koncesji.

Przyznanie koncesji trwało chyba dość długo. Mamy już trzy lata dobrej zmiany.

Koncesje na nadawanie na tych częstotliwościach w Warszawie i w Krakowie miało Radio Bajka. Później przestało nadawać. Musiał upłynąć ustawowy czas bez nadawania, żeby KRRiT mogła cofnąć koncesję. Potem był czas na odwołania dla Radia Bajka. Dopiero potem mógł się odbyć konkurs. Wypada mi podziękować członkom Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, bo konkurs był przeprowadzony bardzo sprawnie. Mieliśmy jednego konkurenta. Wnioski koncesyjne trzeba było złożyć do 10 sierpnia. A 24 września dostaliśmy informację, że konkurs został rozstrzygnięty.

Dlaczego w Polsce jest tak trudno otrzymać koncesję. Radio Wnet jest obecnie jedynym radiem prawicowym.

Ten medialny tort koncesyjny został trwale podzielony. Gdyby nie przypadek, czyli gdyby Radio Bajka nie przestało nadawać, my byśmy nie dostali koncesji.

To brzmi katastroficznie. Czyli jesteśmy skazani na przewagę rozgłośni o lewackim przekazie?

Są radia internetowe.

Ale ich zasięg jest minimalny w stosunku do rozgłośni analogowych.

Rzeczywiście, stanowią one 5 proc. rynku. Rozwiązaniem byłoby wprowadzenie radia cyfrowego, ale jest to blokowane przez wielkich graczy.

Może ustawa dekoncentracyjna dotycząca mediów coś by wreszcie zmieniła?

Politycy dobrej zmiany powinni mieć świadomość, że wsparcie tych mediów, które bez ich pomocy wyrosły po prawej stronie, jest rzeczą niezwykle istotną. W polityce raz się wygrywa, raz się przegrywa. Jeśliby dobra zmiana przegrała wybory parlamentarne, znalazłaby się w gorszej sytuacji niż w 2009 r. Te media, które wspierają prawicę, zostaną zniszczone.

A media publiczne wrócą w „dobre ręce".

Oczywiście, obecnie media publiczne równoważą siłę mediów komercyjnych związanych z obozem opozycyjnym.

Niestety wiemy z praktyki, że nie zawsze ten, kto ma media publiczne, wygrywa wybory.

Bardzo często ludzie odkrywali fałsz w mediach publicznych i głosowali im na przekór. Obecnie można obejrzeć „Fakty" i „Wiadomości" i samodzielnie wyrobić sobie opinię na sprawy ważne dla Polski. Jednak, kiedy dobra zmiana przegra wybory, wrócimy do monopolu lewej strony sceny politycznej.

Dopóki będziemy mieć Radio Wnet, to z pewnością damy radę.

Też mam taką nadzieję i dołożymy wszelkich starań, by nasze radio przekazywało wartości ważne dla Polaków, ale też dawało rozrywkę i wytchnienie od poważnych spraw.

Czy redakcja będzie się nadal mieścić w budynku PAST-y przy ul. Zielnej?

Na razie nie planujemy zmiany lokalizacji. Chcemy być nadal na piątym piętrze historycznego budynku PAST-y.

eprasa.pl 8a02066cb4

Zdjęcia: Festiwal NNW

Siła polskiej historii

X edycja Festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci" udowodniła, że mamy pomysły, jak inspirować gości z zagranicy do tego, by dobrze mówili o nas u siebie. Młodzi Amerykanie z National History Day przyjechali do Gdyni ze spektaklem o Irenie Sendlerowej. Polską są zachwyceni

MARCIN WIKŁO

Odczuwam dużą satysfakcję, bo pokazaliśmy, że mamy być z czego dumni. I potrafimy tak tym zaciekawić, że do nas wracają – mówi Arkadiusz Gołębiewski, dyrektor Festiwalu NNW w Gdyni.

„Wątek amerykański" zaczął się dwa lata temu, gdy jednym z gości specjalnych był Julian Kulski, polski architekt, żołnierz Armii Krajowej. Przyjechał z Wirginii, bo takich ludzi chce przybliżać i honorować Gołębiewski. Mężczyzna w mundurze z dystynkcjami majora Wojska Polskiego mówił o swojej historii i walce w powstaniu warszawskim, także o ojcu – Julianie – który był wiceprezydentem stolicy, zastępcą Stefana Starzyńskiego. Zachwycał się tym, jak ciekawie można opowiadać o historii i łączyć wokół tego tematu pokolenia. Sam godzinami potrafił rozmawiać z licealistami, którzy przyjechali na festiwal z całego kraju.

– Panie Arku, pan robi to samo, co u nas organizacja National History Day, muszę was skontaktować – zapowiedział major i... słowa dotrzymał. Rok później do Gdyni przyjechała grupa młodych Amerykanów ze spektaklem teatralnym o „Solidarności". W tym roku byli kolejni, postanowili na swój sposób opowiedzieć o polskiej bohaterce, Irenie Sendlerowej.

eprasa.pl 8a02066cb4

– Bardzo im się podobało, największe wrażenie zrobiła na nich rodzinna atmosfera podczas festiwalu i oczywiście spotkanie z prezydentem – opowiada Kazik Łysiak, który był ich tłumaczem i przewodnikiem po Polsce. Rzeczywiście, podczas blisko godzinnej wizyty Andrzej Duda poświęcił kilka minut Nicole Whitecotton i jej podopiecznym z Clayton-Bradley Academy. Nauczycielka napisała potem na Facebooku: „Polski prezydent przyjechał na festiwal, rozmawiał z nami i podziękował za wszystko, co robimy dla Polski i propagowania polskiej historii. To było wspaniałe!".

Dla młodych aktorek wydarzeniem była możliwość zrobienia sobie selfie z Andrzejem Dudą, fotografia wylądowała natychmiast na prywatnych profilach w mediach społecznościowych i zrobiła tam furorę. Wspólna fotka została także opublikowana w lokalnej gazecie „The Daily Times" jako ilustracja do obszernej relacji z festiwalu i pobytu w Polsce.

– Pomyśleliśmy, że nie można ich tak po prostu wypuścić. Niech skorzystają i dowiedzą się o nas jeszcze więcej – opowiada Arkadiusz Gołębiewski.

I ta druga część wyprawy do Polski na pewno zostanie na długo w pamięci młodych Amerykanów. Najpierw mieli możliwość zwiedzenia Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku,

U góry: Fragment spektaklu teatralnego przygotowanego przez Clayton-Bradley Academy.
U dołu: Młodzi Amerykanie odwiedzili grób Ireny Sendlerowej na warszawskich Powązkach i spotkali się z Elżbietą Ficowską, jedną z uratowanych z getta przez polską bohaterkę

Festiwal NNW w Gdyni. Spotkanie z Marią Mirecką-Loryś, 103-letnią weteranką Narodowej Organizacji Wojskowej

a potem przyjechali do Warszawy. W stolicy największe wrażenie zrobiła na nich wycieczka po powstającym Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Gdy Jacek Pawłowicz, dyrektor placówki, oprowadzał ich po miejscu kaźni polskich bohaterów, przyjmowali to w milczeniu. Czasem pojawiły się nawet łzy.

– Traktowaliśmy przyjazd tutaj jak po prostu wycieczkę do Europy. A trafiliśmy do Polski, która ma wstrząsającą historię. To bardzo cenne, że mogliśmy ją poznać – mówili. Niezwykle inspirująca okazała się wizyta w celi rotmistrza Witolda Pileckiego. Jego bohaterstwo stanie się być może tematem kolejnego spektaklu, nad którym będą teraz pracowali młodzi aktorzy.

– To jest niezwykle cenne rozwinięcie projektu „Młodzi dla historii", który od ośmiu lat prowadzimy przy festiwalu. Konkurs na sztukę teatralną staje się coraz ważniejszy. Słyszałem, że Amerykanie chcą do nas wrócić. Świetnie! – mówi z dumą dyrektor Festiwalu NNW.

Grupa z Clayton-Bradley Academy z zaciekawieniem zwiedzała także Warszawę. Nastolatkom trudno było uwierzyć, że to miasto tak wiele wycierpiało. W szkole się tego nie dowiedzieli. Dopełnieniem ich aktorskiej misji była wizyta na Powązkach na grobie Ireny Sendlerowej, o której opowiedzieli w swoim spektaklu. Najbardziej wzruszające było natomiast spotkanie z Elżbietą Ficowską, kobietą, która jako kilkumiesięczne dziecko została przez polską bohaterkę uratowana z getta.

Podsumowanie na Facebooku wizyty w Polsce nie pozostawia złudzeń. Polska w ich pamięci nie pozostanie tylko jako miejsce martyrologii i wojennej pożogi. „Świetny czas z nowymi przyjaciółmi, zwiedzanie pięknego Starego Miasta, zachwycające jedzenie (pierogi) i superzakupy!" – czytamy na ich profilach.

Sporo mówi się ostatnio o konieczności stosowania soft power – miękkiej siły, by dobrze o nas opowiadano za granicą. Tak to wygląda w praktyce.

23/0918/F

Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej w Warszawie

egrasa.pl:a02066cb4

eprasa.pl 8a02066cb4

Fot. Gałązka/AKPA, Shutterstock

Popularna już byłam

Wydaje mi się, że mam już mało czasu w życiu na to, by robić rzeczy, które mnie nie rozwijają i dają tylko kasę

Z aktorką Anną Chodakowską rozmawia Aleksandra Jakubowska

Kiedyś aktorzy maszerowali w pochodach pierwszomajowych, teraz chodzą na „czarne marsze" albo na demonstracje KOD, z okrzykami: „Konstytucja!", „Wolne sądy!". Pani defilowała w pochodach pierwszomajowych?

Anna Chodakowska: W Teatrze Narodowym to było obowiązkowe. Można się było wykręcić jedynie zwolnieniem lekarskim. Dyrektor Hanuszkiewicz też chodził, chociaż nie był w PZPR i żadnych związków z partią nie miał, ale prowadził teatr budżetowy i pieniądze mieliśmy z ministerstwa, więc bardzo nas pilnował.

Pod transparentem „Niech żyje i krzepnie sojusz robotniczo-chłopski" wznosiliście okrzyki przed trybuną z partyjnymi notablami?

Myśmy to traktowali jako niezłe jaja. Szło się na pochód pierwszomajowy, żeby się wygłupiać, ktoś tam coś krzyczał przed trybuną, my też krzyczeliśmy i rechotaliśmy, to były takie wrzaski złośliwych...

...komediantów?

Aktorzy tak mają. Generalnie nie jesteśmy w stanie niczego brać poważnie. Jednak do pewnych granic.

Ale teraz nie widuję pani na demonstracjach ani pochodach, a jest w czym wybierać. Koleżanki zaś chodzą, aktywistki nawet krzyczą z estrady...

Nie mam poczucia, że żyję w niedemokratycznym kraju i idzie on ku dyktaturze. To niemożliwe, żeby ktoś z otwartym umysłem, jaki mają obowiązek mieć aktorzy, nie rewidował tego wszystkiego, przecież oni nie są pozbawieni kulturowego kapitału.

Właściwie to aż do stanu wojennego większość środowiska aktorskiego żyła w ciepłej i bezpiecznej symbiozie z władzą. Bez mecenasa – czy to król, dyktator, cesarz, państwo, czy partia – trudno wyżyć twórcom.

Musiałybyśmy PRL podzielić na różne okresy. Kiedy Antoni Macierewicz w 1976 r. stworzył Komitet Obrony Robotników, dołączyły do niego takie osoby jak Maja Komorowska czy Halina Mikołajska i to były inne czasy niż te wcześniej, bardziej beztroskie, bo nikt nie traktował poważnie socjalistycznej władzy, ale zarazem był od niej jakoś zależny.

Zawsze profity – w zależności od tego, czy mecenasowi się podobało – płynęły do tego środowiska. Mówi pani o KOR i kolegach w tę działalność zaangażowanych, ale to była mała część środowiska. Właściwie ten masowy sprzeciw wobec władzy miał swoje miejsce dopiero w stanie wojennym. Bojkot telewizji i radia...

...i tuż przed stanem wojennym. Brałam udział w spektaklach, które były zdecydowanie „wywrotowe", cenzura już tak nie cisnęła, nikt nikogo nie ganiał, nie aresztował, a przecież doskonale wiedzieli, że to gramy. Pamiętam taki koncert tuż przed stanem wojennym – „Młoda polska subkultura" (jego reżyserem był Krzysztof Bukowski, mój wielki przyjaciel), w którym brali udział Kaczmarski, Gintrowski, Kofta. Na widowni i w lożach siedzieli prominenci PZPR, m.in. Urban. W pewnym monecie Kofta wyszedł na proscenium, on był kamikadze, i po-

eprasa.pl 8a02066cb4

wiedział wprost do Urbana: „Gdyby Urban nosił turban, to może zamiast świni byłby Chomeini". To były wielkie chwile, bo to były najwspanialsze piosenki, które później okazały się niecenzuralne.

Bojkot telewizji oraz radia trwał prawie rok i dopiero na wezwanie prymasa Glempa aktorzy tam wrócili. Pani cały czas grała w Teatrze Narodowym, bo teatrów nie bojkotowano, chyba tylko te prowincjonalne, które pozwoliły telewizji pokazywać swoje spektakle. Teatr Narodowy to pani największe role – Balladyna, Antygona...

Antygonę zagrałam jeszcze jako studentka szkoły teatralnej.

Hanuszkiewicz grał Kreona. Krytyczne głosy mówiły, że to apologia konformizmu, że Hanuszkiewicz stanął w tej inscenizacji po stronie władzy. I to tej, która wtedy rządziła w Polsce. Teatr był szalenie politycznie odbierany.

„Antygona" to taka sztuka, która jest zawsze odbierana politycznie, ponieważ jest w niej dylemat nierozwiązywalny, tragiczny konflikt – racja rozumu i racja serca. One nie mogą z sobą konkurować i dlatego obie ponoszą klęskę, bo zarówno Antygona, jak i Kreon przegrywają.

Jak to jest, że w czasach, kiedy była cenzura, kiedy były takie ograniczenia, teatr miał tak wielki wpływ na emocje ludzi, na ich myślenie o państwie, o życiu? Bo już poczynając od Dejmkowskich „Dziadów" w 1968 r., teatr takie emocje, nie tylko natury estetycznej, budził.

Bo my mieliśmy wielką, wspaniałą romantyczną literaturę...

Nadal ją mamy. Teraz wszystko wolno, a teatry ledwo przędą i idą w komediowo-burleskowy repertuar.

Doprowadzając do prywatyzacji i komercjalizacji kultury, straciliśmy coś, co jest najcenniejsze dla człowieka, tzn. duchowość. Sztuka niezwiązana z duchowością nie daje szans na intelektualny rozwój, pogłębioną refleksję, lecz popada w przeciętność. Przeciętność oczekuje przeciętności.

A może to po prostu wypadkowa gustów ludzi?

I to jest o tyle niedobre, że jednak teatr powinien mieć funkcję budzenia umysłu i duszy. Ale gdy chce się budzić duszę i umysł, to bardzo często okazuje się, że nie ma widowni. Wydaje mi się, że to jest potrzeba chwili, chociaż jest Warlikowski, Jarzyna, są inni umiejący zrobić teatr, który ludziom daje do myślenia. Nawet wtedy, kiedy ociera się o groteskę, jakiś postmodernizm, to daje do myślenia. Natomiast rozrywka doskonale się sprzedaje, a ponieważ aktor musi z czegoś żyć, teatr też musi z czegoś żyć, to się tak dzieje, ale w tej rozrywce trzeba również szukać poziomu, żeby to było dobre.

Kiedyś były jedna telewizja i teatr telewizji, ale to był teatr, który wychował pokolenia widzów, niektórzy z nich pierwszy raz zetknęli się z taką sztuką. Ja pamiętam do dziś „Trzy siostry" w reżyserii Bardiniego, „Pana Tadeusza" Hanuszkiewicza, spektakle Szekspira miały wielomilionową widownię.

To była inna telewizja. Widz był skazany na oglądanie tego, co mu pokazywano. A że to, co mu pokazywano, było dobre, jak w przypadku Teatru Telewizji, to tylko nasze szczęście.

Czyli nie warto się teraz domagać od telewizji publicznej misji, bo nawet gdyby jej się chciało tę misję wypełniać, to znudzony widz weźmie pilota i przełączy na inny kanał.

To bardzo trudne czasy na wychodzenie z misją. Teraz chce się takiej gumy do żucia dla oczu – czegoś łatwego, miłego i przyjemnego.

Co takiego się stało, że nagle gwiazda żyjąca w zupełnie innym świecie, wrażliwa artystka, postanowiła wejść w brutalny świat polityki – komitet poparcia Jarosława Kaczyńskiego na prezydenta w 2010 r., start do Senatu z listy PiS w roku 2011 i 2015?

Wrażliwości nie straciłam.

Ale co takiego się stało, że pani się w tę politykę zaangażowała?

Zaczęło się od zwierząt. Jeszcze za czasów koalicji SLD-PSL miałam kontakty z panem Kwaśniewskim i panią Kwaśniewską, która bardzo pomagała. Byłam w szoku, że tak bardzo można pomagać w sprawach, które właściwie mogłyby jej nie obchodzić. I jeszcze Parlamentarny Zespół Przyjaciół Zwierząt, w którym pracuje się ponad podziałami.

Pani ciągle o tych zwierzątkach, a ja chcę o polityce.

Miałam bardzo poważne problemy z fundacją źle zarządzającą schroniskiem Na Paluchu i skończyło się to w sądzie. Miałam dwie sprawy – karną i cywilną – o zniesławienie podmiotu prawnego. I sąd zabronił mi do momentu wydania wyroku mówić o tych sprawach. Udało mi się dostać do Jarosława Kaczyńskiego, który wtedy był chyba przewodniczącym klubu w Sejmie, bo pomyślałam sobie, że tylko on może mi odpowiedzieć na pytanie, jak to jest możliwe.

I jakiej odpowiedzi udzielił?

„Ależ oni mają chody!".

Tylko tyle?!

Nic więcej mi nie powiedział, bo cóż on mógł zrobić? I w końcu to wygrałam. Wtedy sądy nie były rozgrzane tak bardzo. Moje argumenty przeciwko tej fundacji były tak poważne, że gdybym to przegrała, uznałabym, iż nie ma już szans na żadną sprawiedliwość w naszym kraju.

Pani Anno, polityka...

Ale właśnie dzięki tym zwierzętom do niej trafiłam! Obaj bracia Kaczyńscy byli zainteresowani ochroną zwierząt i w związku z tym zaczęłam się im przyglądać. Chciałam zrozumieć, czego chcą w polityce. To był ten pierwszy moment, kiedy miałam taką chęć dowiedzenia się czegoś o ludziach, którzy są w polityce. I doszłam do wniosku, że im nie zależy ani na sukcesie medialnym, ani przede wszystkim nie zależy im na sukcesie finansowym. Poza tym oni byli wykształceni wszechstronnie. Mój ojciec taki był. Jak Wikipedia.

eprasa.pl 8a02066cb4

Wiedziałam, że to, co mówią, wynika z etosu prawdziwego inteligenta. Ludzie generalnie nic z niczym nie kojarzą, gdy się z nimi rozmawia.

Taka samotność intelektualna. Człowiek rzuca w rozmowie jakimś cytatem z klasycznego dzieła, odwołuje się do historycznego wydarzenia i widzi nagle taką bezdenną niewiedzę w oczach interlokutora.

Pustka hula po szarych komórkach.

Nie dam pani spokoju z tą polityką...

Prawicowość się we mnie zrodziła, kiedy zrozumiałam kilka rzeczy związanych z poczuciem tożsamości, polskiej, narodowej. Nagle pojęłam, że nie podoba mi się kraj – a kiedyś podobał – który jest kosmopolitycznie uniwersalny. To nie jest dobry początek na kształtowanie osobowości człowieka. Bo to się wszystko gdzieś kiedyś zagubi i dalej nie ma drogi.

Uznała pani, że to PiS przywraca tę tożsamość?

Tam są różni ludzie. Myślę, że bez Jarosława i Lecha Kaczyńskich nie byłoby tej partii takiej, jaka ona jest dziś. To są ojcowie duchowi tego rodzaju prawicy. Mnie bardzo podoba się na przykład to, że teraz mówi się o żołnierzach wyklętych, to jest potężny, nowy etos.

Angażuje się pani w politykę w środowisku, w którym – łagodnie mówiąc – PiS nie jest lubiane. Jak pani jest tam odbierana?

Nawzajem dostrzegamy w sobie – tak mi się wydaje – pożytecznych idiotów. Oni myślą, że to ja jestem pożyteczną idiotką, a ja podobnie myślę o nich. I to jest konflikt nierozwiązywalny. Na razie nie. Może kiedyś. Nie jestem ze środowiskiem związana towarzysko, tylko zawodowo. Ale jak już jestem zawodowo związana z ludźmi, z którymi pracuję, to my się doskonale rozumiemy i jesteśmy tacy sami.

Zaraz, zaraz, wcale nie jest tak słodko. Daniel Olbrychski wycofał się ze sztuki, w której miał grać z panią, bo – jak powiedział – nie mógł już znieść tej pisowskiej propagandy w pani wykonaniu.

Nie mam tego Danielowi za złe. Żyjemy w wolnym kraju. Wbrew temu, co mówi, postawy pisiorów czy kodziarzy są postawami wolnych ludzi. Może też chodziło mu o akceptację środowiska, może – nawet nie wiedząc o tym – zrobił to koniunkturalnie.

Powiedziała pani wtedy, że tak jak pani jest znerwicowany politycznie, ale jego strona, z którą się związał, czyli KOD, nic nie załatwi.

Bo KOD to nie jest prawdziwy ruch, on powstał wokół czegoś fałszywego, nieprawdziwych haseł, że w Polsce nie ma demokracji, jest potwornie łamana konstytucja. Kto tę konstytucję czytał? Rozmawiałam z jedną z takich osób protestujących. Powtarzała w kółko to samo: „łamią konstytucję" i pomyślałam sobie, że ona ma syndrom zaparcia, tzn. zaparła się wolności własnego umysłu.

> Żyjemy w wolnym kraju. Wbrew temu, co mówi Daniel Olbrychski, postawy pisiorów czy kodziarzy są postawami wolnych ludzi

W środowisku artystycznym jest koniunkturalizm?

Jest, bo ludzie muszą z czegoś żyć. Ale z drugiej strony występuje też przekonanie, że to jest słuszne. Oni krzyczą, że nie ma demokracji. A co, była? A poprzedni Trybunał Konstytucyjny funkcjonował tak, jak należy? Bo ja wiem, że nie. Sądy funkcjonowały tak jak trzeba? Też wiem, że nie, bo miałam nieprzyjemność kilka razy widzieć, jak to się odbywa.

Wiele z tych osób swoje największe kariery robiło w czasach tzw. socjalistycznej demokracji.

Dokładnie. A jeszcze bym zapytała: czy oni chcą, żeby esbecy nie mieli obniżonych emerytur, podczas kiedy bohaterowie stanu wojennego i „Solidarności" dostają głodowe grosze? To jest zły pomysł? Ma wrócić to, co było? A jeśli idzie o uchodźców? Też jestem matka Polka od ludzi i zwierząt, i też chciałabym, żeby wszystkie matki z dziećmi z terenów zagrożonych wojną oraz terroryzmem były bezpieczne. Tylko że ja wiem, iż matka z dzieckiem w Polsce, a nie tam, wspomagana przez nas finansowo sprowadzi co najmniej 10 osób w ramach łączenia rodzin. Jestem przeciwna takiej migracji, a jednocześnie cierpię, gdy widzę ludzkie tragedie.

Zagrała pani w pierwszym polskim serialu „W labiryncie". I potem cisza. Tyle powstaje tych produkcji. Pani nie chce, czy pani nie ma propozycji?

Nie mam propozycji, ale oni wiedzą, że ja nie chcę. Wydaje mi się, że mam już mało czasu w życiu na to, by robić rzeczy, które mnie nie rozwijają i dają tylko kasę.

Kasa jest ważna, trzeba wykarmić 13 kotów.

Na to zarobię w teatrze.

A popularność?

Już byłam popularna. Gdy grałam Balladynę i zastępowała mnie dublerka, nad kasą wisiał napis: „Anna Chodakowska dzisiaj nie gra". I ludzie odchodzili, nie kupując biletów.

Teatr i zwierzęta potrafią tak wypełnić życie, by nie było tęsknoty za filmem, telewizją?

Widzi pani, to nie jest tak, że jak ja jestem taka prawicowa i telewizja jest prawicowa, to mnie zasypują propozycjami. Nieprawda, że prawicowcy mają tam przody. Może gdy wymyślę jakiś fajny projekt, złożę do Teatru Telewizji, to zobaczymy.

Dożyliśmy czasów, że bardziej znana jest Ewa Chodakowska – trenerka fitnessu, niż Anna Chodakowska – aktorka.

To jest najlepszy dowód na to, co należy grać w teatrze. Trzeba grać sztuki o fitnessie.

eprasa.pl 8a02066cb4

Sylvester Stallone *dopisuje ostatni rozdział w historii Johna Rambo, który narodził się na ekranie w czasie reaganowskiej rewolucji. Czy teraz aktor, zwolennik Partii Republikańskiej, dopasuje się do Ameryki Trumpa?*

Ile Trumpa w Rambo

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8a02066cb4

„Rambo. Ostatnia krew" ma być finałem historii najsłynniejszego żołnierza popkultury. I ta opowieść, podobnie jak cztery poprzednie, z pewnością będzie wpisana we współczesny kontekst społeczno-polityczny

ŁUKASZ ADAMSKI

W sieci pojawiły się pierwsze zdjęcia z planu nowego filmu o Johnie Rambo. Widok 72-letniego Sylvestra Stallone'a w roli komandosa rozbawił dużą część internautów. Liczne memy i złośliwości skierowane w stronę wiekowego aktora zalały internetową przestrzeń. Z pozoru jest to sytuacja zabawna. Pomarszczona dziś ikona kina akcji lat 80. XX w. znów będzie biegała z karabinem i ciałem ze stali wypowie wojnę złu całego świata? To uproszczenie. Stallone bardzo interesująco rozwijał przez lata dwie ikonograficzne postacie, dzięki którym przeszedł do historii kina. Zarówno wyjęty z kart książki, ale uformowany potem przez Stallone'a weteran z Wietnamu John Rambo, jak i wymyślony od początku przez filmowca bokserski kopciuszek o włoskich korzeniach Rocky Balboa to przemyślanie zbudowane postaci popkultury.

Podobnie jak w przypadku nowego filmu o Rambo szydzono sobie z powrotu Stallone'a do roli Rocky'ego w szóstej części epopei z 2006 r. pt. „Rocky Balboa", która okazała się jedną z najlepszych części całej serii. Dekadę później pojawiły się kpiny, gdy ogłoszono, że postać Balboa pojawi się w spin-offie serii „Creed". Efekt? Świetne recenzje, Złoty Glob dla Stallone'a (pierwszy od czasu roli w pierwszej części) i nominacja do Oscara dla najlepszego aktora drugoplanowego. „Creed" to przepiękne zakończenie opowieści o „włoskim ogierze". Nie wszystkie części sagi o Rockym były równie dobre. A jednak w każdym z filmów Stallone precyzyjnie rozwijał postać filadelfijskiego boksera, w którego losie odbijały się problemy Ameryki. Od intymnego obrazu biednego chłopaka przebijającego się na szczyt, przez zadufanego celebrytę, popadającego w alkoholizm bankruta, aż po pragnącego pokonać wewnętrzną bestię podstarzałego wojownika. Stallone naznaczał Balboę kolejnymi rysami – piętnem wyrzutów sumienia (konflikt z synem), bólem po stracie bliskich (przyjaciel Apollo i żona Adrian), pozwalając przez cztery dekady śledzić kinomanom kolejne przełomowe etapy jego życia. Wszystko to stworzyło krwistą i daleką od pomnikowości postać kina, której epilog dopisał błyskotliwie zaledwie 29-letni wówczas Ryan Coogler, który potem stanął za kamerą marvelowskiej „Czarnej Pantery". Pomysł, by pokazać walczącego z nowotworem starego i pozbawionego błysku w oku Rocky'ego, był zdumiewający dla fanów serii.

TWARDZIEL O GOŁĘBIM SERCU

Stallone nieraz dowiódł, że w przeciwieństwie do choćby Arnolda Schwarzeneggera ma aktorski warsztat. Szkoda, że tak rzadko z niego w pełni mógł korzystać. Pisałem w swojej recenzji „Creed", że kręcona jednym długim ujęciem scena, w której Rocky dowiaduje się o śmiertelnej chorobie, to osiągnięcie aktorskich wyżyn. Ojcowska czułość i przypisana nieokrzesanym macho uliczna surowość, zwątpienie, odkupienie win i pogodzenie się z własnym przeznaczeniem – to wszystko wybrzmiewa dzięki zniuansowanej kreacji Sylvestra Stallone'a. „Wrażenie, jakie wywierał Rocky na widzach, czasem wręcz zbijało mnie z tropu; było to dla mnie doznanie silne i niezwykłe. I właśnie dlatego zawsze czułem wielkie zobowiązanie, by mój bohater nie stracił kontaktu z publicznością. Gdy Ryan, młody reżyser, zjawił się u mnie z pomysłem na historię o Adonisie Creedzie, zaintrygował mnie. Pomyślałem, że ze świeżą energią zdołał uchwycić to, o co nam chodziło u zarania cyklu" – mówił aktor w jednym z wywiadów. Bez wątpienia komercyjnym przedsięwzięciem jest wchodzący w tym roku do kin „Creed 2" (już bez Cooglera na krześle reżysera), gdzie Balboa jako trener mierzy się z trenerem Ivanem Drago (Dolph Lundgren), którego syn stoczy z młodym Adonisem Creedem walkę na ringu. W „Rocky IV" sowiecki pięściarz zabił podczas walki jego ojca Apolla Creeda (Carl Weathers). Trudno nie posądzać tej części o komercyjne odcinanie kuponów.

Niemniej jednak Stallone od samego początku kariery próbował przełamać wizerunek boksera. „Rocky" z 1976 r. to film o kopciuszku, który na ringu chwyta amerykański sen. Wrażliwy, pełen kompleksów, niemający wykształcenia ani pienię-

1982

„Pierwsza krew", reż. Ted Kotcheff

Weteran wojenny John Rambo wraca do podzielonej wojną w Wietnamie Ameryki. Konflikt z sadystycznym szeryfem i odrzucenie przez uosobioną przez złych policjantów Amerykę powoduje, że zaszczuty żołnierz wypowiada wojnę całemu miastu.

eprasa.pl 8a02066cb4

dzy prosty chłopak zwycięża dzięki czystemu sercu i sile ducha. Z nizin wchodzi na szczyt, ostatecznie powracając po 30 latach jako skromny restaurator na filadelfijskie ulice. Stallone sam napisał scenariusz do filmu. Z 10 nominacji do Oscara film dostał trzy statuetki (najlepszy film, najlepszy reżyser i najlepszy montaż). Paradoksalnie Stallone nie odebrał żadnej statuetki, chociaż bez niego „Rocky" by nie powstał. „Rocky" to w dużej mierze film biograficzny. Stallone swój przemyślany i świetnie skonstruowany scenariusz napisał w ciągu trzech dni. Wiele wytwórni go odrzuciło z powodu tego, że ten nieznany szerzej aktor (mający do tego epizod w kinie pornograficznym) chciał zagrać główną rolę zamiast proponowanego Roberta Redforda albo Burta Reynoldsa. Upór się opłacił po premierze. Po sukcesie „Rockiego", zamiast popadać od razu w kolejne mutacje tej samej roli, Stallone zagrał u Normana Jewisona działacza związków zawodowych („F.I.S.T."). Pojawił się też u boku Michaela Caine'a i Maxa von Sydowa w wojennym „Victory" w reżyserii legendarnego Johna Hustona, gdzie wcielił się w piłkarza. Nie udało mu się kupić miłości fanów, którzy woleli go oglądać jako twardziela o gołębim sercu. O ile postać Rockiego była przez lata odpowiednio rozwijana nawet w najsłabszych artystycznie częściach sagi, o tyle już kolejne role twardzieli w filmach akcji sprowadzały na Stallone'a gniew krytyki. Sly jest rekordzistą w nominacjach do Złotych Malin dla najgorszego aktora roku (22 nominacje oraz siedem statuetek).

RAMBO VS KOMUNIŚCI

Stallone przez całą karierę przełamywał swój wizerunek. Mniej lub bardziej udane role tworzył w komediach („Oscar", „Stój, bo mamuśka strzela") i igrał ze swoim mitem („Tango i Cash"). Do roli przegranego życiowo szeryfa w „Cop Land" (1997) przytył kilkanaście kilogramów i na równi z partnerującymi mu Robertem De Niro oraz Harveyem Keitelem przejmująco opowiedział o skorumpowanym świecie policji w małym miasteczku w New Jersey. Stallone nigdy też nie unikał produkcji wpisujących się w określone ideologiczne przesłanie. Dlatego doskonale się odnalazł w reaganowskiej kontrrewolucji lat 80. Był nie tylko Johnem Rambo, lecz również upiornym dla prawniczych liberałów gliniarzem Cobrettim z „Cobry" George'a P. Cosmatosa. W 1996 r. zagrał w ocierającym się o Huxleya filmie akcji s.f. o wyraźnie libertariańskim wydźwięku „Człowiek demolka".

> Stallone nieraz dowiódł, że w przeciwieństwie do choćby Schwarzeneggera ma aktorski warsztat

Gdy wydawało się, że w XXI w. miejsce starych pryków zajęły nowe metroseksualne zabijaki, Stallone bezczelnie pokazał światu, że „klasyka nie umarła", robiąc ze starą gwardią twardzieli (w filmach wystąpiły wszystkie poza Stevenem Seagalem gwiazdy kina akcji lat 80.) trzy części „Niezniszczalnych", które zarobiły razem ponad 270 mln dolarów.

Stallone jest więc komercyjnie filmowcem spełnionym. Po co mu kolejna część o Johnie Rambo? Jest na nią doskonały czas w Ameryce. Kiedy jak nie w erze Donalda Trumpa wskrzeszać postać wyjętą z reaganowskiej epoki?

Studio, które kupiło prawa do książki Davida Morrella „Pierwsza krew" z 1972 r., nie widziało w roli powracającego z Wietnamu komandosa Sylvestra Stallone'a. Na przełomie lat chciano, by zagrał go Al Pacino, Dustin Hoffman, Robert De Niro, Clint Eastwood albo nawet Steve McQueen.

1985

„Rambo 2. Pierwsza krew",
reż. George P. Cosmatos

John Rambo zostaje wypuszczony z więzienia i poproszony przez CIA, by uratował pozostawionych w wietnamskiej niewoli amerykańskich żołnierzy.

1988

„Rambo 3", reż. Peter McDonald

Przełożony Johna Rambo z Wietnamu zostaje porwany przez komunistów w zaatakowanym przez Sowietów Afganistanie. Mieszkający z dala od cywilizacji Rambo jedzie na Bliski Wschód, by uratować przyjaciela. Angażuje się też w pomoc mudżahedinom w wojnie z Rosjanami.

eprasa.pl 8a02066cb4

Ostatecznie tylko Stallone był realnie zainteresowany rolą, gdy projekt przejął legendarny w latach 80. duet producentów Mario Kassar i Andrew Vajna (ten ostatni buduje dziś węgierską kinematografię, współpracując z Viktorem Orbánem). Stallone zasugerował wiele przeróbek scenariusza i z dosyć klasycznej antywojennej opowieści o Wietnamie zrobił historię zaszczutego przez społeczeństwo żołnierza. „Pierwsza krew" z 1982 r. to jedyny film (poza jawnie propagandowymi „Zielonymi beretami" Johna Wayne'a) krytykujący lewicowy, antywojenny ruch lat 60. XX w.

W „Pierwszej krwi" twórcy ocalili Johna Rambo w finale, choć w książce komandos ginie. Przesłanie filmu – jasne i idealnie wpisujące się w politykę Ronalda Reagana przywracającą USA godność – zamknęło się w ostatniej rozmowie Rambo z jego mentorem i nauczycielem, pułkownikiem Samem Traumanem (Richard Creena). Roztrzęsiony żołnierz ze łzami w oczach opowiada o martwych przyjaciołach oraz o swoim losie – wykreowanego przez armię robota do zabijania, który po wojnie jest prześladowany przez własnych rodaków. To notabene jedna z najlepszych scen w karierze Stallone'a. Porównywalna do monologu Rocky'ego, mówiącego o swojej chorobie nowotworowej z „Creeda".

RAMBO VS MEKSYKANIE

Stallone nie ukrywał swojej przyjaźni z Reaganem i sympatii do Partii Republikańskiej. Robił filmy wpisujące się w reaganowską wojnę z Sowietami również na poziomie popkultury. Taki był zarówno „Rocky IV", gdzie najsłynniejszy bokser Ameryki nie tylko pokonuje w Moskwie kolosalnego Ivana Drago, lecz przy aplauzie Sowietów przekonuje Michaiła Gorbaczowa, że Rosja może się stać demokracją. Również „Rambo. Pierwsza krew II" z 1985 r. miał uzmysłowić światu, że Amerykanie nigdy nie porzucają swoich obywateli. Najgorszy artystycznie „Rambo III" z 1988 r. był obrazem otwarcie wpisującym się w wojnę z „imperium zła", jak ZSRR zdefiniował Reagan, gdzie komandos wymierzał sprawiedliwość Sowietom najeżdżającym Afganistan.

Gdy Stallone w 2008 r. wrócił do postaci w filmie „John Rambo" (to pierwszy film z serii, który sam wyreżyserował), wielu krytyków podejrzewało, że chodzi wyłącznie o zabawę formą. Nic bardziej mylnego. Po zakończeniu zimnej wojny Rambo pędził spokojny żywot w azjatyckiej dżungli. Zgorzkniały i niedostrzegający w świecie żadnego dobra odmawia pomocy amerykańskim misjonarzom protestanckim, którzy proszą, by ten przewiózł ich do Birmy, gdzie toczy się krwawa wojna domowa. Jednak i w nim bierze górę duch sprawiedliwego żołnierza. Najkrwawsza i najbardziej realistyczna część filmu jest najbliższa oryginałowi. „John Rambo" doskonale nawiązuje do „Pierwszej krwi", ukazując wewnętrzną walkę żołnierza z jego demonami wojny. W finale John po latach tułaczki powraca do rodzinnej Arizony, gdzie zamierza spędzić ostatnie lata życia na rodzinnym ranczu.

Pierwsze zdjęcia kręconego filmu „Rambo. Ostatnia krew", które Stallone wrzucił na swojego Instagrama, pokazują Johna jako kowboja. Szczegóły scenariusza nie są znane, poza tym, że komandos w swojej ostatniej misji będzie walczył z meksykańskimi kartelami narkotykowymi. Problemy z Meksykanami na granicy i rozdarty naród to nieodłączny element epoki Trumpa, którego Stallone osobiście lubi i nie potępia, jak 99 proc. Hollywood. Trump robi wszystko, by dorównać Reaganowi, choć na razie jest jego karykaturą. Zapewne część widzów i krytyków uzna finał historii Rambo za karykaturę. Wierzę jednak, że Stallone zrobi mądrą klamrę w historii najsłynniejszego żołnierza popkultury. W końcu kocha go tak samo jak Rockiego Balboę.

2008

„John Rambo", reż. Sylvester Stallone

John Rambo chce zapomnieć o wojnie. Mieszka w dalekiej Azji. Jest psychicznym wrakiem człowieka. Wbrew własnej woli zostaje wciągnięty w pomoc chrześcijanom w Birmie.

2019

„Rambo. Ostatnia krew", reż. Sylvester Stallone

Komandos wrócił po latach tułaczki do USA. Jest kowbojem na rodzinnym ranczu w Arizonie. Na jego drodze stają meksykańskie kartele.

eprasa.pl 8a02066cb4

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

W poszukiwaniu błogosławionego

Trójka autorów podpisana jest pod widowiskiem „Popiełuszko" transmitowanym przez TVP1 z białostockiego Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki. To kierownik literacki teatru Konrad Szczebiot, Janina Żukiewicz i Jan Nowara, reżyser.

Przedstawienie wpisano w jesienny cykl historyczny telewizji związany ze stuleciem niepodległości. Ale wystawiono je w 34. rocznicę zamordowania księdza. Na sali członkowie rodziny: brat, bratowa, siostra, liderzy „Solidarności", politycy PiS, duchowni. Szczebiot nazwał w mediach tekst „okolicznościowym", bo powstał z inicjatywy podlaskiej „S". Choć on sam temat czuje, związany jest z okolicami, w których się wychował ksiądz Jerzy.

Ta opowieść zrazu wydaje się drobiazgową, wierną relacją. Zwłaszcza mnie, bo czytam biografię księdza Jerzego Mileny Kindziuk. I nieustannie natykałem się na znajome zdania, fragmenty. Opowieści rodziców, uwagi miejscowego proboszcza, pretensje komunistycznej szkoły, wrażenia z seminarium i zachwyt prymasem Wyszyńskim, szykany w wojsku. Zwłaszcza słowa matki, które są tu kluczem. Naturalność, prostota kontra oschła ideologia.

To się potem załamuje. Część „solidarnościowa" wydaje się bardziej skrótowa, nienastawiona już na odtwarzanie zdarzeń, bardziej na syntezę, klimat. Jest jeszcze relacja, jak ksiądz Popiełuszko został kapelanem związkowców z Huty Warszawa, ale już natury mszy za ojczyznę musimy się domyślać, a za nią go zabito. Nieco przez środki teatralne uproszczony, ale wierny „reportaż" zmienia się w ciąg scen niemalże symbolicznych.

To może być dla widowni, tej „okolicznościowej", źródłem nieporozumień. Ci, którzy oczekują cały czas historycznego sprawozdania, będą zdezorientowani tym, że Jakub Lasota grający księdza wędruje po metalowych konstrukcjach, rozebrany przez swoich oprawców od momentu zatrzymania w areszcie, co jest metaforą ofiary. Z kolei amatorzy bardziej wyrafinowanego scenicznego języka uznać mogą padające ze sceny zdania za nadal zbyt deklaratywne. Zwykle nie wymawiam inscenizatorom niespójności konwencji. Tu wydaje mi się wadą.

A równocześnie jestem pełen podziwu dla decyzji sięgnięcia po tekst tak bardzo sprzeciwiający się duchowi czasów. Słowa na scenie są ważne, pietyzm na miejscu. Ten powrót do świata podlaskiej religijnej wrażliwości serio to coś, na co polski teatr raczej się nie zdobywa.

Wielu rzeczy się tu o księdzu Jerzym nie dowiadujemy. Może widowisko powinno być dłuższe? Chyba niesłusznie wtłoczono je w format niespełna 90 minut zarezerwowany dla Teatrów Telewizji. Brakło mi wątków trudnych, choćby sporu księdza z częścią Kościoła o zaangażowanie kapłana w politykę. Rafał Wieczyński, reżyser niezłego filmu o Popiełuszce, trochę się nad tym prześliznął, ale coś zasygnalizował. No i w jego wersji sam ksiądz Jerzy był pełniejszy, pełen rozterek, dowcipny, czasem brawurowy i nonszalancki. Takim i ja go pamiętam. Tu zatrzymano się na jego młodzieńczej, wiejskiej skromności.

Ale kiedy całkiem dobry Jakub Lasota wychodzi na koniec w stronę publiczności z fragmentem kazania o przerabianiu ludzi w orłów, prywatny, uśmiechnięty, coś z tego klimatu znalazłem. Okolicznościowe przedstawienie nie zmieniło się w akademię. Osobną częścią dramaturgii była rozmowa przed – dziennikarki telewizyjnej z siedzącymi na widowni krewnymi, wzruszonymi, ale też pewnymi obecności swojego wielkiego duchem brata. Tak się ogląda historię.

Piotr Zaremba

epraza.pl 8a02066cb4

Energia dla domu

Masz gaz od PGNiG? Miej i prąd!

Z ceną prądu **zamrożoną na rok**

Skontaktuj się z nami:

Zadzwoń do nas
801 800 234*
* Opłata zgodna z taryfą operatora

BOK
Odwiedź najbliższe
Biuro Obsługi Klienta PGNiG

pgnig.pl

PGNiG

eprasa.pl 8a02066cb4

Fot. Natalia Kabanow

Jeszcze istniejemy

Z nieudanego dramatu Mrożka Marek Fiedor wycisnął samą esencję: strach przed udawanym życiem i mękę patrzenia, jak groteskowo giną pozory

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

To właściwie niezrozumiałe, tym bardziej gdy spojrzymy na cały nasz dzisiejszy teatr. Marek Fiedor po raz kolejny w ostatnich latach sięga po teksty karkołomne, do których potrzeba kontekstu, a ten można zarysować sobie tylko samotnie, podczas skupionej lektury. Bo co powiedzieć choćby o „Paternoster" Helmuta Kajzara albo „Silesia, Silentia" Lidii Amejko. Oba te dramaty pokazał Fiedor nie tak dawno w swoim Wrocławskim Teatrze Współczesnym. Fascynujące sceniczne podróże, ale jakże w wielu fragmentach prowadzące krętymi drogami. Uczestniczenie w nich chwilami przypominało łamanie szyfrów.

Choć też ostatnią rzeczą, którą można stwierdzić o teraz wystawionym „Garbusie" Sławomira Mrożka, jest to, że to dramat antyteatralny. Nic z tych rzeczy. Otwiera spore możliwości: enigmatyczna sytuacja, niejasny status i miejsce spotkania postaci, ich wzajemne wyrzuty i manipulacje prowadzące do odważnych filozoficznych diagnoz. Trochę to o zakłamaniu, trochę o braku możliwości przełożenia sensów egzystencji na materię sztuki, kiedy samo życie wydaje się tak marne, przewidywalne. Gdy wszystko dookoła ciągnie w dół, człowiek zaczyna udowadniać innym, że są jeszcze niżej. W takiej perspektywie niełatwo osadzić coś więcej, a co dopiero myśleć o akcie twórczym. Pozostają wzajemna destrukcja i walka o bezpowrotnie stracony czas.

Mrożek ciekawie to rozpisał zwłaszcza w dwóch pierwszych aktach, jednak potem dzieje się coś niedobrego. Nagle pojawia się ktoś z zewnątrz, zdarzenia się piętrzą, wyłania się zawiła intryga. Wybitny pisarz chyba w jednym zamyśle chciał zmieścić nazbyt wiele, stąd wrażenie, iż w akcie trzecim i czwartym mogłoby się dziać nawet więcej, bo dramat napęczniał i nadto daje się rozciągać jak guma, w każdą stronę. Normalną reakcją reżysera byłaby ucieczka i pewnie dlatego „Garbusa" od 1975 r. prezentowano tylko osiem razy.

Marek Fiedor odrzucił konieczność bycia wiernym trudnej strukturze. Skupia się na tym, co tli się między postaciami. Odważnie skraca tekst. Reszta to inscenizacyjny sztafaż, groteskowy blef, by złagodzić konkluzje. Zresztą czy groteska zawsze potrzebuje specjalnego uzasadnienia? Czasem dzięki niej sprytniej można nam sprzedać prawdę o nas. W przedstawieniu Garbus chodzi ubrany w strój góralski, bo tak jest śmieszniej, a i tak wiadomo, że do wyśmiania są w tej opowieści inni. Garbus jest sobą, nie żąda definicji. Znakomity w tej roli Maciej Tomaszewski jest mistrzem dystansu. Często chcą go zdefiniować, gadają o nim, a jemu wystarcza niemal całkiem milcząca obecność. A skoro o gadaniu mowa, to warto sprawdzić, jak to robią Wiesław Cichy jako Baron i Zina Kerste jako Baronowa. Dyskretnie chowają emocje, lecz i dyskretnie pod każdym zdaniem kryją intencje. Grają tyle, ile trzeba, po co więcej. Nazywanie takiego aktorstwa przychodzi dziś z trudem przede wszystkim dlatego, że czuje się, jakby nieubłaganie przemijało. Mistrzowskie? Stara szkoła? To takie ogólne, jednak trafne.

Nie mam pojęcia, czy dla Fiedora punktem odniesienia jest Jerzy Jarocki, ale wygląda to jednoznacznie – jakby teatru na Jarockim się nauczył i Jarockim myślał. Aktorzy grają ludzi, lecz także idee, groteska przenika do spektaklu niepostrzeżenie i pozostaje w nim na równych prawach co realizm, przestrzeń to starannie zakomponowany opis rzeczywistości. Zresztą wielki reżyser wystawił „Garbusa" kilka dni po jego prapremierze. Ciekawe, czy wtedy myślał o tym tekście jak o dramacie przemijania i początku końca? U Fiedora wszyscy podczas wspólnego sezonu wypoczynkowego jakoś funkcjonują, jednak i oni dogasają, i świat wokół nich. Pięknie przystrzyżona trawa gdzieś znika, pod nią zaś pęka i kruszy się drewniany parkiet; na fortepianie nikt nie zagra, ktoś bowiem wyrwał struny. Jest dokładnie tak, jak w zdaniu o ruinach, które wypowiada jeden z bohaterów: „[...] coś, co jeszcze istnieje, ale już nie nadaje się do użytku". To zatem ostatnia szansa, by przynajmniej pogadać i sobie podogryzać, bo za chwilę będzie już tylko jak w tym „Martwym sezonie" Rafała Wojaczka: „[...] jedną wolną już salę /zamieniono na składzik /pewnie już niedługo / założą tu klamki / Tak, to już jest koniec / Myją korytarz / Pastują podłogi".

Sławomir Mrożek, „Garbus", reż. Marek Fiedor, Wrocławski Teatr Współczesny im. Edmunda Wiercińskiego, premiera: 29 września 2018 r.

10/1018/F

eprasa.pl 8a02066cb4

Mariaż narodów

Unie polsko-litewskie były krytykowane i wyśmiewane w Petersburgu, Berlinie, Kownie i Krakowie: świetnie, że opisano je z perspektywy Oksfordu

Z jednej strony – sielanka i nostalgia. „Prawda! prawda! – rzekł na to Gerwazy wzruszony. –/ Dziwneć to były losy tej naszej Korony/ I naszej Litwy! wszak to jak małżonków dwoje!/ Bóg złączył, a czart dzieli, Bóg swoje, czart swoje!". Zafundowana przez Napoliona terapia małżeńska, w której takie nadzieje pokładał Gerwazy, nie przetrwała, jak wiemy, roku 1812, ale tęsknota pozostała: dałoby się, myślę, napisać książkę opisującą największe polskie inicjatywy polityczne wieku XIX i XX jako fantazyjne, nieliczące się z realiami, lecz żarliwe próby „odtworzenia Unii". A i dzisiaj najlepszym plasterkiem na zbyt niskie PKB czy bardziej osobiste niepowodzenia bywa dla wielu reprodukcja mapy – ukazującej stan rzeczy na początku XV w. – na której Wielkie Księstwo Litewskie, już po Grunwaldzie i frondach, rozpościera się (inna rzecz, że niepewnie: przerywaną linią, ukośnymi paskami, w trybie wpływów i lenna) aż po gród Czarny Horod, wzniesiony przez Witolda na miejscu dzisiejszej Odessy. „Polska od morza do morza" – szepcą w zachwycie.

Nie ma lepszego sposobu, by wytrącić z równowagi historyka z Wilna czy Kijowa, jak takie zdanie. W pierwszym półwieczu po rozbiorach czarną legendę robiły unii polsko-litewskiej potęgi zaborcze; w drugim półwieczu, w popowstaniowych ciemnościach, o unii gorzko pisali stańczycy na czele z Michałem Bobrzyńskim, zarzucając przodkom o pogoń za mrzonkami. Na przełomie wieku XIX i XX oskarżeń jęli się budziciele i historycy narodów Międzymorza, niebezpodstawnie, ale bardzo jednostronnie widząc w kolejnych modyfikacjach ustrojowych Rzeczypospolitej jedynie narzędzie

Wojciech Stanisławski

„polskiego imperializmu". Tej perspektywie ochoczo przytakiwali marksiści, pozostający w osobliwym sojuszu z rzecznikami Wielkiej Rosji, w jej białej czy czerwonej odmianie – a na Zachodzie mało komu chciało się zajmować zwojem zapleśniałych pergaminów.

Perspektywa, jaką proponuje brytyjski badacz Robert Frost, jest cenna nie dlatego, że „ktoś z Oksfordu" zechciał się pochylić nad dziejami unii: zbytnia potrzeba uznania bywa dowodem kompleksów, zaś wczorajsi admiratorzy potrafią zafundować siurpryzę jak – nie przymierzając – prof. Norman Davies. Zaletą „historii oksfordzkiej" jest umiejętność spojrzenia na dzieje i mechanikę unii z lotu ptaka, z perspektywy, jaką zalecał jeden z najbardziej utalentowanych językowo synów Rzeczypospolitej, Maciej Sarbiewski. Historyk, którego nie sposób oskarżyć o stronniczość, patrzy z tej wysokości na okoliczności towarzyszące formowaniu się polsko-litewskiego związku państw. Perspektywę ma szeroką: przywołuje całą typologię unii personalnych i dynastycznych, protektoratów i lenn, wspólnot ziem i tronów – całą paletę rozwiązań, po jakie sięgała Europa, zanim zachwyciła się ideą „państwa narodowego", pustą i kształtną niczym pudełko po półbutach.

Zarazem jednak, podobnie jak bywa w poematach Sarbiewskiego, Frost zniża się do szczegółów często nieznanych nawet monografistom, szczególnie w pierwszych rozdziałach poświęconych okolicznościom poprzedzającym podpisanie aktu unii w Krewie. Niejasne formuły dziedziczenia wśród Piastów, ambicje Andegawenów, sięgający granic swojej potęgi konglomerat plemion, jakim była Litwa Giedyminowiczów, waśnie Polaków i Litwinów o księstwo halickie, małe księstwa w widłach Oki i Ugry, odpadające od Litwy ku Moskwie: cała konstrukcja mogła się rozsypać jak tyle innych zamysłów, nić między Smoleńskiem a ziemią dobrzyńską była naprawdę cienka.

Unia powstała jednak, stając się fenomenem nieprzeliczalnym w prosty sposób na kilometry kwadratowe (choć na przełomie XV i XVI w. była największym państwem europejskim) czy wielowiekowość (chociaż była jedną z najtrwalszych unii): okazała się związkiem budowanym odgórnie przez władców, ale umacnianym przez udział elit kilku narodów, ściąganym przez to zaangażowanie niczym śrubą rzymską.

Robert Frost zadedykował swoje dzieło pamięci czterech największych badaczy unii polsko-litewskiej w XX w.: Oskara Haleckiego, Adolfasa Šapoki, Mychajła Hruszewskiego i Matwieja Lubawskiego. Dwaj pierwsi, Polak i Litwin, zmarli na pojałtańskim wygnaniu; dwaj pozostali, Ukrainiec

eprasa.pl 8a02066cb4

i Rosjanin, zginęli w sowieckich więzieniach. Można to uznać za dodatkowy argument na potrzebę poznawania dziejów unii.

* * *

Chciałoby się ten tekst zakończyć wzmianką o książce biograficznej poświęconej autorowi najbardziej poczytnych w powojennej Polsce opowieści o Rzeczypospolitej Obojga Narodów Pawłowi Jasienicy. Niestety, wspomnienia, o których mowa (Ewa Beynar-Czeczott, „Mój ojciec, Paweł Jasienica", wydawnictwo MG) wydają się nawiązywać raczej do spuścizny Rzeczypospolitej Babińskiej. Ich autorka już na pierwszej stronie kryguje się, że przecież nie potrafi pisać i składa homagium swej wydawczyni Dorocie Malinowskiej-Grupińskiej, skądinąd wziętej działaczce samorządowej. O ile jednak panią Ewę wypada pochwalić za rzetelną ocenę swoich uzdolnień, cnoty rzetelności zabrakło chyba wydawcom, którzy nie troszczą się nawet przesadnie o pisownię nazwiska Władysława Gomułki, zapisywanego nieraz w książce jako „Gomółka": cóż ortografia, skoro czasy pierwszego sekretarza stanowią tak znakomitą metaforę ciążącej dziś nad Polską dyktatury? Autorka, która przerzuca się od wspomnień o swym pierwszym samochodzie do wybranych na chybił trafił akt IPN traktujących o Jasienicy, skrzących się od literówek, stale nawiązuje do tej dyktatury z pasją, która przywodzi na myśl emocje innych wielkich dam polskiej kultury współczesnej: Marii Nurowskiej czy Zbigniewa Hołdysa. Stanowczo lepiej sięgnąć po pisany już w śmiertelnej chorobie, kilkukrotnie wznawiany „Pamiętnik" samego pisarza.

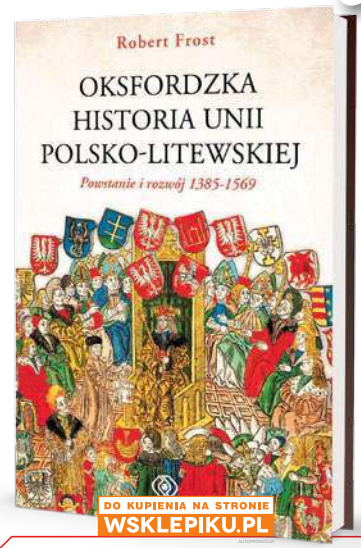

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Robert Frost, „Oksfordzka historia unii polsko-litewskiej. Powstanie i rozwój 1385–1569" (T.I.), tłum. Tomasz Fiedorek, Dom Wydawniczy Rebis, 2018

Repatrianci, wygnańcy

Jan Szkorupiński jako 16-latek dorobił się w końcu własnego roweru i etatu w brygadzie obsługującej elewator zbożowy. Nadia Chazijew była córką górnika dołowego, pani Klementyna – żoną traktorzysty. Po przeczytaniu kilku życiorysów można się już domyślić, z jakich klocków, z jakich bierwion będą zbudowane: pierwsza zima po zsyłce, buran, chłopak od sąsiadów, który zamarzł na pastwisku. Wojenna branka, lepianki z gliny i słomy, nowa fala zesłańców, tym razem z „polskich" Kresów. Bieda, mozolne dorabianie się rzeczy najprostszych: łóżka, butów, sukienki. Stabilizacja, przyzagrodowe działki, prosperity: nawet własną krowę można mieć! „Razwał" roku 1991, miesiące bez prądu, egzystencja. Konsulat RP, egzaminy, ankiety. Długa podróż do Polski, urzędnicy w gminie, ksiądz, zagrzybione ściany. Znowu harówka, znów ogródek uprawiany pod oknami, bo głód może przyjść w każdej chwili. Wreszcie pomidory i ogórki zakiszone, można odsapnąć, zerknąć w telewizor.

Jerzy Danilewicz jest doświadczonym reporterem, kilkanaście portretów „repatriantów" nie nuży, mimo że zostały skomponowane według dość podobnej formuły: oswojenia rozmówcy, uważnego wysłuchania jego opowieści o losach w Wielkim Stepie i wędrówce, z reguły w drugiej połowie życia, do kraju nie ojców nawet, ale przodków: zesłańcy trafiali przecież do Kazachstanu z Marchlewszczyzny, czyli polskiego obwodu autonomicznego stworzonego na ukraińskim Wołyniu, po wschodniej stronie „granicy ryskiej".

„Witajcie w Polsce" to jednak coś więcej niż relacja o ciężkim życiu prostych ludzi, o mankamentach kolejnych inicjatyw i ustaw repatriacyjnych III RP (cytowany w książce raport NIK jeszcze z roku 2014 nie pozostawia suchej nitki na pierwszym ćwierćwieczu repatriacji: żaden z jej strategicznych celów nie został osiągnięty, kilkadziesiąt tysięcy osób narodowości polskiej gdzieś się rozmyło!). To także moralitet mówiący o losach, których nie da się wyprostować ani w prosty sposób „naprawić". O życiu Lesika, Stasi, Marysi przesądził ten przedwojenny kwadrans, kiedy do zamożnego, chłopskiego domu weszło dwóch z bronią: sobiratsja z wieszczami! Potem był zwierzęcy trud, głód, śmierć, wrastanie w sowiecką rzeczywistość: o tym, jak ich sformatowała, świadczą ich jadłospisy, tęsknota za breżniewowską prosperity, nawet makijaż starszych już pań.

Odważyli się tu przyjechać. Przysiedli na chwilę: zjedzą pierogów, ogrzeją się w cieple kaloryfera, może nawet wypiją po jednym. Ale tak naprawdę nie zakorzenili się ani na Dolnym Śląsku, ani na stepie pod Astaną. Byliby u siebie w sadzie w Żytomierzu, ale ten dawno zaorały traktory i czołgi.

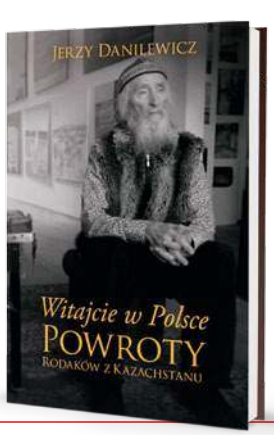

Jerzy Danilewicz, „Witajcie w Polsce. Powroty rodaków z Kazachstanu", Muza SA, 2018

eprasa.pl 8a02066cb4

Adamski poleca

VOD

„22 lipca" to niemal dokumentalna relacja z zamachów terrorystycznych przeprowadzonych przez Andersa Breivika w 2011 r. w Norwegii. Breivik wysadził w powietrze siedzibę premiera kraju, w której zginęło osiem osób. Następnie popłynął na wyspę Utøya, gdzie obozowała młodzieżówka Partii Pracy. Z zimną krwią zastrzelił 69 osób. 33 ranił, masakrując ich ciała i psychikę na całe życie. On sprawiedliwej kary nie dostał. Norwegia to kraj zbudowany na pięknoduchostwie liberalnych prawników, gdzie nawet bezwzględne dożywocie zostało wyeliminowane z Kodeksu karnego. Breivik dostał więc 21 lat w ekskluzywnej celi. Możliwe, że spędzi tam wiele czasu, jeżeli nadal będzie zagrożeniem dla społeczeństwa.

Breivik to samozwańczy obrońca zachodniej cywilizacji (a raczej tego, co przez nią rozumie), nazywający się templariuszem. Jego manifest, który miał posłużyć do ogólnoeuropejskiej rewolucji, jest nacjonalistycznym bełkotem człowieka niewidzącego sprzeczności między konserwatyzmem a hitlerowskim pozdrowieniem, jakie serwował w sądzie.

Paul Greengrass ma na swoim koncie wstrząsający „Lot 93" opowiadający o porwaniu jednego z samolotów 11 września 2001 r. W tym filmie dotknął istoty wojny cywilizacyjnej, pokazując opór zwykłych Amerykanów, którzy sprowadzając samolot na ziemię, uratowali Biały Dom. Tym razem Greengrass dotyka każdego aspektu mordu norweskiego terrorysty. „22 lipca" to film o nienawiści prowadzącej do odczłowieczenia jednostki (Breivik celowo zabił nastolatków za „grzechy" lewicowych rodziców), wychodzenia z traumy i fizycznych ograniczeń (walka postrzelonego m.in. w głowę nastolatka) i w końcu o zwycięstwie spokojnego do tej pory państwa prawa nad złem absolutnym.

Mimo kilkuwątkowej tematyki Greengrass pozostaje zimnym obserwatorem. Kilkunastominutowa scena masakry jest pozbawiona cienia stylizacji przemocy. Dlatego uderza z siłą pioruna. Choć brakuje filmowi dotknięcia tajemnicy zła z genialnego „Słonia" Gusa Van Santa, Greengrass obnaża motywy Breivika. Fatalnie pojęty tradycjonalizm i sprzeciw wobec multikulti zmieszany z neonazistowskimi fascynacjami zamieniły się w wyjątkowo paskudny fanatyzm. Norwega nie różni od islamskich terrorystów. Zbrodnia w imię ideologii, odczłowieczanie oponenta ideowego i nienawiść do bliźniego jest taka sama bez względu na barwy. Zabrakło mi szerszego spojrzenia geopolitycznego na działanie takich fanatyków jak Breivik. Trudno nie zauważyć, że rewolucja polityczna w USA, we Włoszech, w Polsce, na Węgrzech czy w Wielkiej Brytanii po brexicie łączy się z błędną polityką tak prowadzonego multikulturalizmu. Bez refleksji liberalnej arystokracji, odciętej od oczekiwań coraz bardziej sfrustrowanych mieszkańców europejskich metropolii, oszalałych z nienawiści Breivików będzie więcej. To przerażająca wizja.

„22 LIPCA" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Kino

Braterska miłość

„Jak pies z kotem" Janusza Kondratiuka wpisuje się w modę na tragikomiczne hollywoodzkie kino o umieraniu i chorobie. Kilka lat temu bliski perfekcji tego gatunku film nakręciła Kinga Dębska („Moje córki krowy"). Produkcji Kondratiuka do perfekcji wiele brakuje, choć bez wątpienia dostaliśmy poruszający i bardzo osobisty film. Publika za to go pokocha. Reżyser (wciela się w niego Robert Więckiewicz) nie tylko obnaża swoją szorstką relację z bratem Andrzejem (znakomity Olgierd Łukaszewicz), lecz także opowiada uniwersalną historię o cierpieniu. Zarówno fizycznym, jak i psychicznym. To największa siła tego obrazu. Widok bezbronnego, wyniszczonego chorobą reżysera „Hydrozagadki", totalne obnażenie psychiki legendarnej Igi Cembrzyńskiej (fenomenalna Aleksandra Konieczna) powodują, że ten film jest czymś więcej niż kolejną słodko-gorzką opowieścią o kresie życia. Zaglądamy za drzwi sypialni polskich artystów, którzy kształtują naszą kinematografię od kilku dekad. Mając w pamięci tak optymistyczne ostatecznie filmy o umieraniu jak „Czułe słówka" czy „Debiutanci", miałem poczucie wtórności. Dla wielkiego aktorstwa i niezwykle osobistego wymiaru warto ten film jednak obejrzeć. Wzruszający.

„JAK PIES Z KOTEM", REŻ. JANUSZ KONDRATIUK, DYSTR. AKSON STUDIO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 8a02066cb4

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Zabawa w thriller

Robert Gliński lubi portretować młodzież. W „Cześć Tereska" zaglądał do slumsów i domów dziecka. W „Kamieniach na szaniec" przedstawiał dzisiejszej młodzieży ikonograficznych bohaterów. W „Czuwaj" łączy oba światy i zatapia wszystko w gatunkowy thriller.

U Glińskiego „harcerzyk" nie oznacza już grzecznego chłopca z pięknie uczesanymi włosami, przepiękną polszczyzną i poczuciem honoru. Harcerze na tym obozie klną, piją, uprawiają seks i kłamią. Nie dlatego, że reżyser chce zniszczyć wizerunek jakże przecież zmitologizowanego historycznie polskiego harcerza. Gliński pokazuje młodzież taką, jaka dziś jest. Złączoną bez przerwy z Facebookiem i nagrywającą każdy fragment swojego życia.

Na obozie harcerskim pojawia się grupa wyrzutków z domu dziecka. Chuligani są zaproszeni przez komendanta (Leszek Lichota). Mają poznać inny system wartości, harcerze zaś mają się od nich nauczyć „życia ulicznego" i spróbować zmienić ich percepcję świata. Zderzenie tych dwóch środowisk prędko prowadzi do katastrofy. Na obozie ginie jeden z harcerzy. Podejrzenie pada na herszta grupy zaproszonych dresiarzy (Michał Włodarczyk), który co chwila rzuca wyzwanie oboźnemu Jackowi (Mateusz Więcławek). Obaj walczą nie tylko o dusze reszty obozowiczów, lecz także o wdzięki pięknej dziewczyny (Magdalena Wieczorek). Sprawę śmierci próbuje wyjaśnić miejscowy policjant (uszyty z wszystkich możliwych policyjnych stereotypów Zbigniew Zamachowski).

Gliński miał ambicję nakręcić rasowy thriller. Szybko rozdaje bohaterom konkretne role, z których do końca nie wychodzą. Reżyser pyta o granicę między dobrem a złem, ale robi to w ściśle określonych ramach gatunkowych. Jest przez to do bólu przewidywalny. Domyśliłem się, kto jest mordercą, po kwadransie. Nie zaskoczyła mnie finałowa wolta. Wyrachowana i sztuczna. Mająca nie tyle powiedzieć nam coś o współczesnym pokoleniu, ile po prostu zaszokować widza.

Mam też problem z wiarygodnością przemiany nastolatków. Chłopak recytujący Baczyńskiego i wyglądający jak ten „rzucony na szaniec" zbyt łatwo popada w paranoję i daje się porwać mrokom przemocy. Chłopak z poprawczaka jest zbudowany z klisz i mimo prób pokazania jego jasnej twarzy nie intryguje jako główny czarny charakter.

„Czuwaj" nie sprawdza się jako moralitet ani nie trzyma w napięciu jako thriller. Po skończonym seansie zadałem tylko jedno pytanie: dlatego nie zamknięto obozu po pierwszym morderstwie?

„CZUWAJ", REŻ. ROBERT GLIŃSKI, DYSTR. MONOLITH

Strata czasu

VOD

Oscar Isaac i Ben Kingsley w głównych rolach. Muzyka Alexandra Desplata i elektryzująca opowieść o schwytaniu Adolfa Eichmanna. Samograj? Niestety „Operacja finałowa" Netflixa popada w sidła nudnego i hollywoodzko ugładzonego historycznego bryku. Szkoda, bo była szansa na filmową polemikę z „Człowiekiem, który chwytał Eichmanna" (1996) z Robertem Duvallem czy „Eichmannem" (2007). Dziwne, że Netflix powierzył reżyserię filmu Chrisowi Weitzowi, który do tej pory kręcił takie komedie jak „American Pie" czy jedną część z wampirycznej sagi dla małolatów „Zmierzch". Nie poradził sobie z ciężarem tematu. To film plakatowy, nudny i pozbawiony napięcia. Nie wybrzmiewa „banalność zła" nazistowskiego ludobójcy ani geopolityczna istota misji młodych żydowskich żołnierzy. Isaac i Kingsley robią wiele, by utkać między postaciami intrygującą nić. Przez miałki scenariusz jest to niemożliwe. Do tego dostajemy propagandowe złośliwości skierowane w stronę Kościoła katolickiego (ksiądz hajlujący na spotkaniu neonazistów argentyńskich i tezy o kolaboracji Piusa XII z Hitlerem). Szkoda czasu.

„OPERACJA FINAŁOWA" DOSTĘPNA NA NETFLIXIE

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 8a02066cb4

Fot. Andrzej Skwarczyński

Źle się dzieje w Unii

To, co mówią przywódcy Polski czy Węgier, ma ciche poparcie w wielu krajach. To jest także szansa dla Polski. Jeśli przedstawicie nową koncepcję działania Unii Europejskiej, jeśli skutecznie ją zaprezentujecie, otworzycie ważną debatę

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Henrim Malosse'em, francuskim działaczem społecznym i gospodarczym, w latach 2013–2015 przewodniczącym Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego (EESC)

Zna pan dobrze Polskę, mówi pan całkiem dobrze po polsku. Jakie są pana związki z naszym krajem?

Henri Malosse: Po raz pierwszy przyjechałem do Polski w roku 1976 na letni kurs dla zagranicznych studentów. Później bywałem regularnie przez kolejne cztery lata. Kierowała mną ciekawość. Byłem nastawiony bardzo antykomunistycznie, chciałem zobaczyć, jak się żyje w kraju komunistycznym. Kontrast z ówczesną Francją był rzeczywiście duży, ale to była także fascynująca przygoda.

W dniu, w którym rozmawiamy, był pan w Instytucie Pamięci Narodowej.

Tak, otrzymałem materiały, które SB na mnie zbierała. Przede mną ciekawa lektura. Bo moje kontakty z Polską zostały zawieszone właśnie za sprawą służb specjalnych w 1980 r. Próbowano mnie zwerbować. Gdy wyraźnie odmówiłem, przez następne osiem lat nie wpuszczano mnie tutaj. Dziś to brzmi w sumie niegroźnie, ale to była poważna sprawa, która przyniosła sporo kłopotów mojej rodzinie i moim przyjaciołom. Ten system realnie niszczył ludzi, to było bardzo nieprzyjemne.

W 1988 r. jednak pana wpuszczono.

Tak, to był już ostatni komunistyczny rząd w Polsce. Ambasada PRL w Brukseli przekazała mi informację, że mogę wjechać. Dołączyłem do oficjalnej delegacji francuskiej na międzynarodowe targi w Poznaniu. Później, w czasie spotkania w Warszawie, minister handlu zagranicznego wręczył mi jakiś wazon w formie przeprosin.

eprasa.pl 8a02066cb4

Scena jak z filmu Barei.

Tak. Ale to już nie miało znaczenia, bo PRL upadała. Bywałem w Polsce bardzo często w latach 1991–1993, gdy doradzałem polskim rządom. Bywam często i teraz, bo przecież nie tylko moja żona jest Polską, lecz również żona mojego syna. Historia lubi się powtarzać.

Czy Polskę drugiej połowy lat 70. i tę obecną da się porównać?

Z jednej strony wszystko się zmieniło. Pamiętam, że gdy przyjechałem tu pierwszy raz, byłem bardzo bogatym człowiekiem, choć we Francji uchodziłem raczej za biedaka. Niewielkie zachodnie pieniądze pozwalały na życie na bardzo dobrym poziomie. Miałem samochód, stać mnie było na wiele rzeczy. Dziś to już inny świat. Ale to wciąż ten sam kraj, zwłaszcza gdy chodzi o charakter ludzi. W czasach komunistycznych Polacy stawiali opór, mieli w sobie siłę. Prywatnie nie ukrywali tego, co myśleli o komunizmie, byli otwarcie krytyczni. W dawnym NRD, które też odwiedzałem, było zupełnie inaczej. Tam ciągle słyszałem to bla, bla, bla o marksizmie-leninizmie, nawet w rozmowach nieoficjalnych. Tu nikt nie traktował tego poważnie. Pamiętam też moją pierwszą pasterkę w Polsce: było ciemno, zimno i kościół pełen ludzi, chyba wszyscy mieszkańcy. Była w tym prawdziwa pasja. To mnie zszokowało, w pozytywnym sensie.

Ta pasja wciąż jest w Polakach?

Ja ją widzę. Polskość to ciągłe poszukiwanie czegoś nowego, a jednocześnie duma i silna tożsamość. To nie zniknęło, mimo że pojawiła się konsumpcja i inne współczesne zjawiska.

Na Zachodzie pracował pan przez lata w instytucjach unijnych.

Najpierw byłem przedstawicielem Francuskiej Izby Przemysłowo-Handlowej przy instytucjach unijnych w Brukseli. W latach 90. byłem zaangażowany w kilka projektów dotyczących Polski i innych krajów postkomunistycznych, później zajmowałem się również procesem poszerzenia Unii Europejskiej. Napisałem też kilka książek o zarządzaniu. W połowie lat 90. zostałem przedstawicielem Francji w Europejskim Komitecie Ekonomiczno-Społecznym (EESC); w latach 2013–2015 kierowałem tą ważną instytucją.

To, co zaskakuje, to fakt, że mimo tak udanej kariery w pewien sposób pan się zbuntował. Zaczął się pan domagać zmian w unijnej polityce. To bardzo rzadka postawa. Wielu unijnych notabli prywatnie krytykuje kurs wspólnoty, ale publicznie nie wychylą się na milimetr. Także dlatego, że buntownicy są traktowani bardzo surowo.

Być może wynika to z mojego polskiego doświadczenia i mojego charakteru, który nieco się spolonizował [śmiech]. Ale rzeczywiście, im mocniej byłem zaangażowany w działalność UE, tym bardziej odkrywałem liczne słabości wspólnoty. Nie oznacza to, że jestem nastawiony antyeuropejsko, wręcz przeciwnie, sądzę, że ten projekt jest bardzo piękny i ważny, uważam siebie za przekonanego Europejczyka.

Chciałby pan jednak, by niektóre sprawy prowadzone były inaczej.

Tak. Pierwsze wątpliwości pojawiły się u mnie w okresie, gdy pracowałem nad rozszerzeniem Unii o Polskę, którą dobrze znałem, i inne kraje. Proponowałem Komisji Europejskiej, by zacząć od rozbudowy bezpośrednich kontaktów między ludźmi i instytucjami, łącząc w „bliźniacze" pary miasta, izby handlowe i inne organizacje. Zamiast tego Komisja wydawała grube miliony na różnych konsultantów i doradców, którzy przygotowywali bezwartościowe analizy, nie znając ani Polski, ani innych krajów regionu, niewiele także rozumiejąc.

Skąd pomysł łączenia ludzi, miast i instytucji? Dlaczego uważał pan, że to byłoby dobre przygotowanie akcesji?

Bardzo ważnym doświadczeniem w moim życiu było pojednanie francusko-niemieckie. Wychowałem się w cieniu wojny, ona była wciąż żywa, gdy dorastałem. A jednocześnie mój tata był nauczycielem niemieckiego i rozumiał konieczność przezwyciężenia wzajemnej nienawiści. Metoda oparta na bezpośrednich kontaktach, przy minimum biurokracji, okazała się wówczas bardzo skuteczna. Dlaczego tego nie powtórzyć przy zasypywaniu przepaści między Wschodem a Zachodem?

Niestety, nie posłuchano pana.

Bo w Brukseli nie dzieje się najlepiej. Gdy zaczynałem tam pracę, spotykałem ludzi pełnych pasji, przejętych Europą. Teraz to zniknęło. Zamiast pasji pojawiło się karierowiczostwo, oportunizm, technokratyzm. Ktoś mnie kiedyś nazwał „ostatnim Europejczykiem z serca", a nie z interesu, i to bardzo mnie uderzyło. To przesada, nie jestem ostatni, ale rzeczywiście coraz więcej tam ludzi, którzy właściwie nie wierzą w nic. W czasie rozszerzenia niewielu ludzi w Unii wierzyło w ten proces, miało do niego pasję. To był dla nich jakiś anonimowy proces, jakieś papierki do wypełnienia. A dla mnie to było coś niesamowitego, możliwość rzeczywistego zjednoczenia kontynentu po tylu latach.

Z naszej perspektywy unijni oficjele stają się jednak coraz bardziej, a nie coraz mniej, ideologiczni.

Być może są ideologiczni, ale ideologia to nie jest idea. Ja widzę także narastający technokratyzm w połączeniu z polityczną poprawnością. Zobaczcie, jak potraktowano Grecję, gdy popadła w tarapaty. To były bardzo brutalne działania, przede wszystkim w interesie instytucji finansowych, z całkowitym lekceważeniem losu Greków. Nawet teraz wciąż naciska się na premiera Tsiprasa, który odmawia dalszego cięcia i tak niskich emerytur. Jakim cudem jakiś biurokrata w Brukseli, zarabiający pewnie z 6 tys. euro miesięcznie, może powiedzieć, że 600 euro miesięcznie to za dużo? A bywa i gorzej, bo pamiętam, że kiedyś odłożono ważne decyzje kredytowe dotyczące Grecji do czasu, aż skończą się zimowe ferie.

Wszyscy ważni ludzie byli na nartach?

Tak. Gdy dziennikarz zapytał mnie, co sądzę o tej sytuacji, powiedziałem: „To skandal". Mannuel Barroso zwrócił mi uwagę, że nie powinienem tego mówić. Czy jednak zawsze mamy milczeć? Trzeba mówić prawdę.

eprasa.pl 8a02066cb4

Często słyszymy, że Unia dała Europie 70 lat pokoju, dlatego nie powinna być krytykowana.

Odpowiem nieco dookoła, wychodząc od Polski i Węgier. Moim zdaniem Komisja Europejska nie ma żadnych realnych podstaw, które pozwalałyby na krytykę obu państw. Polska jest wolnym, demokratycznym państwem. Nie jest państwem idealnym, ale żadne państwo w Unii nie jest ideałem. Zmiany w sądownictwie, dążenie do usunięcia sędziów z poprzedniej epoki są uzasadnione. Nie ma kraju, w którym wymiar sprawiedliwości i władza są od siebie całkowicie odseparowane, to fikcja.

Monteskiusz też tego nie zalecał.

We Francji wszyscy członkowie Sądu Konstytucyjnego są mianowani przez prezydenta, przewodniczących Senatu oraz Zgromadzenia Narodowego. Także inne kluczowe instytucje sądownictwa mają powiązania z władzą. A poza tym Unia współpracuje z prawdziwymi reżimami, przetrzymującymi w więzieniach dziesiątki tysięcy ludzi, z Chinami, Pakistanem. Przed nimi rozkłada się czerwone dywany, a Polskę ciągle się krytykuje.

Dlaczego Unia ludzi z pasją zamieniła się w biurokratyczne monstrum?

Dziś UE napędzana jest dwiema siłami. Po pierwsze, polityczny motor, najpierw francusko-niemiecki, potem niemiecko-francuski, teraz pewnie niemiecki, nadający kierunek. Po drugie, Komisja i administracja, które te wskazania wprowadzają w życie, dodają do nich dużo ideologii: globalizmu, poprawności politycznej, spraw klimatu itp. Dla nowych krajów, które dołączyły w wyniku rozszerzenia, przewidziano rolę państw drugiej kategorii, które powinny być szczęśliwe, że w ogóle zostały przyjęte albo że dostały trochę pieniędzy. Teraz powinny siedzieć cicho albo tak jak pan Tusk mają grać rolę najlepszego ucznia w klasie, który zawsze podnosi rękę i krzyczy: „Tak, my popieramy tę propozycję!". Bo to jest klub, a w klubie są niepisane reguły. Te siły nie są w stanie zrozumieć, że Polska czy Węgry mogą mieć inny pogląd na jakąś sprawę.

Albo nie są w stanie tego zaakceptować.

To na pewno. Wciąż marzą, by wszyscy zachowywali się jak małe kraje, którym zawsze wszystko się podoba, bo liczą na parę groszy. W sumie Bruksela zachowuje się coraz częściej jak jakaś szalona maszyna, która nie liczy się z konsekwencjami. Wszystkie ostatnie cztery unijne referenda w różnych krajach zostały przegrane, włącznie z brexitem. Jaka jest odpowiedź? Ludzie nic nie rozumieją, my wiemy, co jest dla nich dobre. A może to Bruksela ma problem? Jeśli ludzie mówią „nie", zazwyczaj mają powody.

> Gdy zaczynałem pracę w Brukseli, spotykałem ludzi pełnych pasji, przejętych Europą. Teraz to zniknęło. Zamiast pasji pojawiło się karierowiczostwo, oportunizm, technokratyzm

Jeśli ludzie mówią „nie" wbrew swoim elitom i olbrzymiej presji, muszą mieć naprawdę poważne powody.

Problemem nie jest Polska, problemem nie są Węgry, problemem jest to, co się stało z Unią. Jeśli kierunek się nie zmieni, coraz więcej krajów będzie spychanych do kąta przy użyciu oskarżenia o „populizm". Jako zwolennik Europy jestem tym bardzo zaniepokojony. A wiem jednocześnie, że to, co mówią przywódcy Polski czy Węgier, ma ciche poparcie w wielu krajach. To jest także szansa dla Polski. Jeśli przedstawicie nową koncepcję działania Unii, jeśli skutecznie ją zaprezentujecie, otworzycie ważną debatę. Tu jest pustka, bo Niemcy nie mają żadnego pomysłu na UE. Francja twierdzi, że ma, ale to też nieprawda. Otwiera się szansa. Ważne, żeby był to projekt pozytywny i żeby zaprezentował go ktoś z odpowiednią charyzmą.

Polscy premierzy próbowali proponować nowe wizje, ale nie chciano ich nawet uczciwie wysłuchać.

Bo tu trzeba też trafić w dobry moment. Myślę, że takie okienko pojawi się po kolejnych wyborach do Parlamentu Europejskiego. Widzę po francuskiej scenie politycznej, że na Polskę patrzą z zainteresowaniem również niektórzy ważni politycy Republikanów, a to jest pewna nowość. W wielu środowiskach politycznych dojrzewa świadomość, że kompetencje Komisji Europejskiej są za duże: dziś jest ona władzą wykonawczą, a po części ustawodawczą i także sądowniczą z możliwością karania. To zdecydowanie za dużo.

Unia może się załamać, rozpaść?

Załamanie jest możliwe. Narastają różne podziały, moment jest krytyczny. Ale jednocześnie nie akceptuję ludzi, którzy mówią mi w Brukseli, że skoro sytuacja jest tak groźna, należy milczeć. Nie, musimy znaleźć taki sposób działania, który pozwoli nam pozostać zwolennikami UE, a jednocześnie da szansę na zmianę systemu.

W tle tego wszystkiego toczy się sprawa brexitu. Dlaczego w ogóle do tego doszło?

Unijna biurokracja i technokracja zawsze drażniły wielu ludzi w Wielkiej Brytanii. To stara demokracja i ludzie czuli, że coś jest nie tak. Podobnie jest we Francji. Na Korsyce, gdzie mieszkam, regulacje jakiegoś dalekiego monstrum wzbudzają dużą irytację. Skąd oni wiedzą, jak mamy robić nasze sery, które robimy od setek lat? To wywołuje wrażenie, że tracimy kontrolę nad naszym światem. Bo francuski rząd też robi głupie rzeczy, ale przynajmniej wiadomo wówczas, kto za tym stoi i do kogo trzeba mieć pretensje.

57/0918/F

eprasa.pl 8a02066cb4

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki

Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A, innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

eprasa.pl 8a02066cb4

Bawaria,
czyli koniec stabilności

Fatalny wynik CSU w wyborach do bawarskiego landtagu i jeszcze gorszy SPD zapowiadają poszatkowanie niemieckiej sceny politycznej i tworzenie chybotliwych koalicji. Nadchodzi czas rozliczeń. A najważniejsze pytanie dotyczy przyszłości kanclerz Angeli Merkel i niemieckiej polityki zagranicznej

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Mężczyźni ubrani w skórzane porty i koszule w kratę, kobiety odziane w dirndl, w tle zabytkowe klasztory i oczywiście Alpy. Jakaś wioska, a w niej festyn ludowy. Uśmiechnięci ludzie głaszczą dzieci po głowie i popijają piwo z ogromnych kufli. „Laptop i skórzane porty", czyli nowoczesna, bogata, bezpieczna i jednocześnie zakorzeniona w tradycjach. Taka właśnie jest Bawaria, jeśli wierzyć spotom przedwyborczym bawarskiej CSU.

Ale wybory do bawarskiego landtagu, które odbyły się 14 października, zakłóciły obraz beztroski, kreślony przez partię szefa MSW Horsta Seehofera. Nie oznacza to, że Bawarczycy przestali się utożsamiać z wielowiekowymi tradycjami czy – mimo postępującej laicyzacji Niemiec – wciąż głęboko zakorzenionym katolicyzmem. Bawarczycy przestali się utożsamiać z CSU. Świadczy o tym słaby wynik siostrzanej partii CDU Angeli Merkel w tych wyborach: 37,2 proc. głosów. O 10,4 proc. mniej niż w 2013 r. Za mało by móc rządzić samodzielnie. To drugi najgorszy wynik wyborczy w historii partii.

Jednak Seehofer i premier Bawarii Markus Söder to niejedyni przegrani tych wyborów. SPD uzyskała zaledwie 9,7 proc. głosów, tracąc ponad połowę dotychczasowego poparcia. Już od jakiegoś czasu socjaldemokraci są zmarginalizowani na wschodzie Niemiec. Teraz przestali się liczyć także na południu.

HOLANDYZACJA

Wyborcy ukarali obie partie za ich udział w koalicji rządzącej w Berlinie oraz za niespełnione obietnice. CSU miała się postawić siostrzanej partii ws. migracji. Seehofer groził Merkel nawet zerwaniem koalicji i własną dymisją. Skończyło się zgniłym kompromisem ws. centrów tranzytowych i pospiesznie zawartą umową z Hiszpanią ws. readmisji azylantów, którzy docierają do Niemiec przez Austrię. Trzech dokładnie, bo tylu azylantów zarejestrowanych w Hiszpanii udało się w ubiegłym miesiącu złapać na niemiecko-austriackiej granicy. Musieli się zgubić. Inaczej nie da się wytłumaczyć, dlaczego zamiast przedostać się do Niemiec przez Francję urządzili sobie wycieczkę objazdową po Szwajcarii. W skrócie: Seehofer zrobił to, co najlepiej potrafi – jak pisze dziennik „Die Welt" – i się „przewrócił". „Takie są skutki urządzania żałosnych teatrzyków ku uciesze gawiedzi" – skomentował złośliwie wynik CSU w Bawarii premier kraju Saary i polityk CDU Tobias Hans.

SPD także miała się postawić. Przechodząc do opozycji. Mówił o tym wyraźnie Martin Schulz, wówczas jeszcze szef SPD, tuż po wyborach do Bundes-

Fot. Foto-berlin.net/Shutterstock.com

eprasa.pl 8a02066cb4

tagu na jesieni ubiegłego roku. Zamiast tego socjaldemokraci znów weszli do Wielkiej Koalicji. Mimo że groziło to „wampiryzacją" przez chadecję i tym samym utratą społecznego poparcia. Strach przed przyspieszonymi wyborami był większy.

Spór azylowy, awantura wokół szefa kontrwywiadu Hansa-Georga Maaßena, zamieszki w Chemnitz, Dieselgate. Wyborcy tych dań nie zamówili i teraz wystawili obu partiom rachunek. Bawarskim chadekom zaszkodziły także osobista niechęć i konflikt liderów CSU, Seehofera i Södera, oraz silna konkurencja o konserwatywnego wyborcę. Zabiegały o niego w Bawarii w sumie trzy partie – obok chadeków także Alternatywa dla Niemiec (AfD) i Wolni Wyborcy (Freie Wähler), którzy wywodzą się z CSU i różnią się od niej głównie tym, że skupiają się na regionach wiejskich. A więc głosy, które straciła CSU, powędrowały do AfD i FW, a zwolennicy SPD przerzucili się na Zielonych, którym udało się zgarnąć aż 17,5 proc. głosów. Przeważnie w dużych miastach, o wiele bardziej liberalnych niż bawarska prowincja.

Na dodatek Zieloni jawią się wielu wyborcom na tle pozbawionej wizji szamotaniny między partiami chadeckimi i SPD jako prawdziwa alternatywa. Söder będzie musiał więc stworzyć koalicję, w której zaprogramowane są konflikty, bez względu na to, czy koalicjantem będą Zieloni czy Wolni Wyborcy. Jeśli nawet w Bawarii brak jest pewności, jeśli nawet CSU osiąga tam wynik poniżej 40 proc., oznacza to, że nic nie jest już takie, jakie było jeszcze kilka lat temu. Niemiecka polityka weszła w fazę holandyzacji, czyli poszatkowania sceny politycznej i chybotliwych koalicji. Główne partie ludowe, CDU/CSU i SPD, które w latach 90. zgarniały jeszcze 90 proc. głosów, dziś mają razem mniej niż 50 proc. poparcia, a Zieloni walczą z Alternatywą dla Niemiec o pozycję drugiej siły politycznej w kraju. Czasy konsensu i partyjno-politycznej stabilności bezpowrotnie minęły.

CZAS ROZLICZEŃ

Seehofer nie mylił się, gdy podczas sporu o swój wielki plan migracyjny z Angelą

eprasa.pl 8a02066cb4

Merkel zauważył, że jest ona kanclerzem także dzięki niemu. Siła Bawarii była siłą chadecji. Teraz ta siła zmalała i obnażyła słabość CDU. Tym większą, że kanclerz musiała się ostatnio zmierzyć z frondą we własnych szeregach. Szef frakcji CDU w Bundestagu i człowiek Merkel Volker Kauder nie został ponownie wybrany na to stanowisko. Było to dla niej bolesnym policzkiem. Dojdzie więc do rozliczeń personalnych, zostaną one jednak odroczone w czasie. CSU ma 22 dni na uformowanie koalicji i wybranie premiera. Po tym terminie jednak Seehofer może stracić pozycję szefa partii i stanowisko szefa MSW. Mnożą się głosy wzywające Merkel do rozprawienia się z bawarskim mącicielem.

Również w SPD może nastąpić wybuch niezadowolenia skierowany przeciwko przewodniczącej Andrei Nahles. A CDU i SPD czeka kolejny wyborczy sprawdzian 28 października w Hesji. O przetrwanie walczy tam premier CDU Volker Bouffier. A sondaże nie są korzystne. Ani dla chadeków (26 proc.), ani dla SPD (20 proc.). Zieloni mogą liczyć na 22, AfD na 12, a FDP i Die Linke na 8 proc. poparcia. Oznacza to, że koalicja z CDU i SPD podobnie jak z CDU i Zielonych (która rządzi obecnie) miałaby mniej niż 50 proc. poparcia. Konieczne byłoby więc dobranie trzeciego koalicjanta lub oddanie władzy w ręce koalicji lewicowej z SPD, Zielonych i Die Linke, w której dominowaliby Zieloni.

Hesja to nie Bawaria, ale słaby wynik tradycyjnych partii może wzmocnić w nich postulaty zmian i osłabi Merkel przed wyborami lidera CDU zaplanowanymi na 8 grudnia tego roku. Jak podkreślił nestor niemieckiej polityki, były minister finansów i przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble, „Merkel nie jest już taka silna jak kiedyś". „Jest osłabiona. Pewnie zostanie ponownie wybrana na szefową partii. Ale może się też wycofać z wyścigu" – zauważył Schäuble. Zdaniem przewodniczącego Bundestagu po wyborach w Hesji „siłą rzeczy odbędą się dyskusje". Dlatego Merkel – jak zaznacza niemiecki „Tagesspiegel" – po prostu „musi odnieść w Hesji sukces".

Niekorzystny wynik wyborów w Bawarii i ogólne osłabienie tradycyjnych partii w Niemczech będzie miało także wpływ na wybory do Parlamentu Europejskiego w maju przyszłego roku. Już teraz wiadomo, że zarówno chadecy, jak i socjaliści stracą mandaty na korzyść sił eurosceptycznych i antyimigranckich. A jednym z faworytów wyścigu na następcę Jeana-Claude'a Junckera na stanowisku szefa Komisji Europejskiej jest bawarski chadek Manfred Weber. Ma on jednak konkurenta wewnątrz Europejskiej Partii Ludowej. Były premier Finlandii Alexander Stubb także pretenduje do tej roli i nie wiadomo, czy EPL nie zdecyduje się wobec coraz słabszej pozycji Merkel oraz by zatrzeć wrażenie, że Niemcy zdominują unijne instytucje, właśnie postawić na Fina. Decyzja w tej sprawie zapadnie 8 listopada w Helsinkach.

> Szczególnie na poziomie landów Merkel jest uważana za obciążenie. Nikt nie mówi tego otwarcie, ale wszyscy tak myślą: że polityka uchodźcza kanclerz zapoczątkowała degrengoladę obu partii ludowych

CO PO MERKEL?

Niemieccy komentatorzy są zgodni, że CDU/CSU i SPD czeka czas pełen napięć i niestabilności. A obie partie są na siebie skazane – nowe wybory mogłyby oznaczać dla nich polityczną śmierć i znaczące przemeblowanie niemieckiej sceny politycznej. Tak więc małżeństwo z rozsądku się utrzyma i będą one dalej otaczały Alternatywę dla Niemiec kordonem sanitarnym. Nie może to jednak trwać wiecznie.

Jak zauważyła po wyborach w Bawarii lokalna gazeta „Straubinger Tagblatt": „Ten, kto się nie zmienia, prędzej czy później zostanie zmuszony do zmian". CDU/CSU i SPD będą więc rządzić jeszcze tę kadencję i może następną. A potem? Pozostaje to wielką niewiadomą. Podobnie jak los samej kanclerz. Wszystko wskazuje bowiem na to, że to jej ostatnia kadencja. Szczególnie na poziomie landów Merkel jest uważana za obciążenie. Nikt nie mówi tego otwarcie, ale wszyscy tak myślą: że polityka uchodźcza kanclerz zapoczątkowała degrengoladę obu partii ludowych. Tyle że godnego następcy nie widać na horyzoncie. Sama wycięła wszystkich wewnątrzpartyjnych konkurentów, i to tak skutecznie, że jej odejście z polityki może się zakończyć bezkrólewiem, a tym samym politycznym chaosem. Dlatego pojawiły się głosy w niemieckiej prasie mówiące o zastąpieniu Merkel „tymczasowo" Wolfgangiem Schäublem, zanim nie znajdzie się wśród szeregu młodych i ambitnych polityków CDU odpowiedni kandydat. To zła wiadomość dla Polski i Europy, trudno jest bowiem tym samym przewidzieć, jaką politykę zagraniczną będą prowadziły Niemcy, gdy Merkel opuści urząd kanclerski. Poza Zielonymi cała niemiecka scena polityczna sympatyzuje z Rosją, w mniejszym lub większym stopniu. Fakt, to ona dała zielone światło dla Nord Stream 2. Sankcje wobec Kremla jednak podtrzymała. Co zrobi jej następca, nie wie obecnie nikt. Wiadomo natomiast, że obecne zawirowania to dopiero początek zmian.

„W zasadzie wszystko przebiega tak jak wcześniej. Kanclerz jest w dobrym nastroju, a opozycja stara się zaznaczyć, jak wiele ją od niej dzieli. I na tym koniec. Pozorny powrót do normalności w pracy Bundestagu to jakby cisza w oku cyklonu. Kolejne przepychanki o przywództwo w CSU, o schedę po Merkel w CDU, i walka o przyszłość SPD, jako partii rządowej, zostały tylko przesunięte w czasie i wybuchną z nową siłą. W berlińskiej dzielnicy rządowej można się spodziewać tak gorącego listopada i grudnia, że w porównaniu z nimi upalne tegoroczne lato będzie mogło się wydawać chłodne" – opisuje nastroje za Odrą „Rhein-Zeitung" z Koblencji.

eprasa.pl 8a02066cb4

Kultura życia,
czyli bądźmy życzliwi na drodze

Lubimy innych ludzi. Miło jest się spotkać z przyjaciółmi na grillu, z rodziną na imieninach, z dawnymi kolegami na jubileuszu szkoły. Uśmiechamy się do ekspedientki i do nieznajomych w słoneczny dzień. Czemu więc zwykłej życzliwości brakuje nam na drodze?

To pytanie zadali sobie organizatorzy akcji „Dobrze Cię widzieć", która do końca roku będzie zachęcać do zmiany postawy uczestników ruchu drogowego. Nie tylko kierowców i rowerzystów, lecz również pieszych w każdym wieku.

– Nie chodzi o to, żeby się nawzajem straszyć czy szokować kontrowersyjnymi zdjęciami. Zależy nam na przekonaniu Polaków do życzliwego zachowania na drodze – mówi Jacek Sapa, prezes Fundacji Narodowego Dnia Życia, organizator kampanii „Dobrze Cię widzieć". – Dbanie o bezpieczeństwo nie tylko swoje, lecz też innych, to nawyk wynikający z uważności i odpowiedzialnego podejścia do otoczenia. Nawyk, który da się wypracować – dodaje Sapa.

Dlaczego teraz? Od 2015 r. zaczęła rosnąć ogólna liczba wypadków drogowych. Niepokojący jest też zeszłoroczny ponadsześcioprocentowy wzrost liczby ofiar śmiertelnych wypadków z udziałem pieszych. I chociaż w zdecydowanej większości winę za te zdarzenia ponoszą kierowcy, to blisko pół tysiąca osób zginęło, a ponad dwa tysiące zostało rannych w wyniku wypadków, których sprawcami byli właśnie piesi. Na dodatek właśnie teraz – jesienią – na nieoświetlonych drogach piesi stają się mniej widoczni dla kierowców, nietrudno o tragedię. Stąd ogólnopolska akcja, która dzięki swojej skali obejmie odbiorców w każdym wieku.

Ważną grupę stanowić będą uczniowie. W niełatwych rozmowach o rzeczach ważnych pomoże maskotka o imieniu Jacek i animowana opowieść dla małych widzów, zachęcająca przystępnym językiem do noszenia odblasków. O podstawowych zasadach przypominać będą też ulotki i inne materiały informacyjne. A trzeba pamiętać, że dzieci również bywają sprawcami niebezpiecznych sytuacji na drogach. Pozostawione bez opieki lub nieświadome zasad bezpiecznego zachowania przechodzą przez ulicę na czerwonym świetle lub w niedozwolonych miejscach, często poruszają się nieodpowiednią stroną drogi albo wybiegają na jezdnię. Organizatorzy kampanii wiedzą, że bez względu na to, w jaki sposób dziecko porusza się po drodze – jako pieszy, rowerzysta czy pasażer – powinno być zawsze widoczne, dlatego rozdają kamizelki odblaskowe i opowiadają o zasadach korzystania z dróg.

1/1018/F

Do nieco starszej młodzieży i dorosłych kampania docierać będzie inaczej. Swoją rozpoznawalnością i poczuciem humoru wsparł ją Cezary Pazura. Wystąpił w spocie informacyjnym „Dobrze Cię widzieć", który już wkrótce trafi na małe ekrany i do sieci. Ambasadora akcji zachęcającego do noszenia odblasków zobaczymy również na billboardach w całej Polsce. Wszystko po to, żeby przypomnieć Polakom, że ruch drogowy to nie tylko zbiór przepisów. – Na co dzień nasza fundacja promuje wartości i postawy, które sprawiają, że ludzie stają się szczęśliwsi. Taka jest także akcja „Dobrze Cię widzieć", bo chociaż ma przesłanie bezpośrednio związane z bezpieczeństwem pieszych na drodze i zakładaniem kamizelek, to promuje też otwartość, życzliwość i zachęca do empatii – podkreśla Jacek Sapa, prezes Fundacji Narodowego Dnia Życia, i przekonuje, żebyśmy po prostu lubili się na drodze.

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl
WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI
DOBRZE CIĘ WIDZIEĆ

eprasa.pl 8a02066cb4

Prawdziwy sukces przed nami

Do niedawna wydawało się, że agencje ratingowe będą jedynymi, które zignorują sukcesy gospodarcze obecnego rządu. Ale decyzja S&P Global o przywróceniu Polsce ratingu sprzed trzech lat pokazuje, że i to się zmienia

Kiedy w styczniu 2016 r. S&P Global obniżył rating Polski, rozpoczął się kilkudniowy karnawał wśród przeciwników rządu prawicy. Ta decyzja – ich zdaniem – zapowiadała, że spełniają się negatywne prognozy i rząd PiS doprowadzi polską gospodarkę i finanse publiczne do zapaści. Przez kilka kolejnych dni można było czytać i słuchać „proroków zagłady", którzy wreszcie uzyskali argument przeciwko gabinetowi prawicy.

NIESPEŁNIONE NADZIEJE

Tę atmosferę psuło to, że inne agencje ratingowe – Fitch i Moody's – nie dokonały żadnych zmian w ocenie wiarygodności kredytowej Polski. Na dodatek wielu ekonomistów mówiło, że S&P popełnił błąd, bo nie pojawiły się żadne dane uzasadniające pogorszenie oceny.

Agencja wskazała, że powodem redukcji jest zagrożenie, iż rząd PiS rozmontuje system checks and balances, czyli zabezpieczeń i blokad, będących ponoć podstawą systemu prawnego w państwach demokratycznych. To tłumaczenie brzmiało dość zabawnie, agencje ratingowe bowiem oceniają wiarygodność kredytową krajów, w których nikt nigdy o owych zabezpieczeniach nie pomyślał. Decyzja S&P była więc – oględnie mówiąc – dość niezwykła. Zwłaszcza że – o czym warto pamiętać – w czasie kryzysu finansowego wiele amerykańskich instytucji upadło, chwaląc się niezmiennie najwyższym ratingiem.

Wiele osób liczyło jednak, że inne agencje naprawią swój błąd i podążą śladem S&P. W 2016 r. każdy okresowy przegląd ocen wiarygodności kredytowej, dokonywany przez inne agencje ratingowe, poprzedzała fala komentarzy, których autorzy wyrażali nadzieję na obniżenie oceny wiarygodności kredytowej. Udało im się jednak osiągnąć tylko tyle, że w maju 2016 r. agencja Moody's zmieniła perspektywę ratingu dla Polski na negatywną, co oznaczało, że jeśli dojdzie do zmiany ratingu, to będzie to obniżka.

Kiedy kończył się 2016 r., nadzieja „totalnych" podupadła, zwłaszcza że w grudniu agencja S&P zmieniła perspektywę ratingu na stabilną. W roku 2017 komentarze dotyczyły zatem tego, czemu agencje ratingowe nie zmienią ratingu. Rzeczywiście, ratingu nie zmieniały, ale Moody's zmienił perspektywę na stabilną, zaś w kwietniu tego roku S&P ogłosił, że perspektywa polskiej oceny zmiany wiarygodności kredytowej jest pozytywna.

LAURKA OD S&P

Mimo to ostatnia podwyżka ratingu była dla opozycji w Polsce sporą niespodzianką. Okazało się, że S&P przestały przeszkadzać zmiany wokół Trybunału Konstytucyjnego. Mało tego, agencja nie przejęła się zmianami w Krajowej Radzie Sądownictwa i w Sądzie Najwyższym, nie pochyliła się także nad uruchomieniem przez UE osławionego art. 7. Wprawdzie stwierdziła, że te zmiany mogą mieć wpływ na wzrost gospodarczy Polski w długiej perspektywie, poza tym na karb „otoczenia instytucjonalnego" zrzuciła niskie inwestycje małych i średnich firm. Ostatecznie jednak przyznała, że jest świetnie.

eprasa.pl 8a02066cb4

Ocena S&P Global to prawdziwa laurka dotycząca polskiej gospodarki. Agencja doceniła i tempo wzrostu, i duże otwarcie na eksport (jak napisała, eksport na poziomie 51 proc. PKB jest niezwykły w dużych gospodarkach). Analitykom podobały się i niskie deficyty budżetowe, i lepsze od planowanych dochody budżetu, i spadek zadłużenia.

Nic dziwnego, że po takiej ocenie przedstawiciele rządu mieli wyśmienite humory. Praktycznie każdy komentował decyzję S&P.

– Dla mnie to jest taki znak drogowy. To A- to jest znak drogowy, że idziemy we właściwym kierunku przede wszystkim z perspektywy polskich rodzin, polskich obywateli – mówił premier Mateusz Morawiecki następnego dnia po ogłoszeniu decyzji agencji.

– Podwyższenie ratingu przez S&P z BBB+ do A- i utrzymanie na podobnym poziomie przez Fitch potwierdza stabilne podstawy naszej gospodarki i dobre perspektywy dalszego jej rozwoju – dodawał Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju.

– Z dużą satysfakcją przyjmujemy decyzję agencji S&P o podwyższeniu ratingu naszego kraju – powiedziała Teresa Czerwińska, minister finansów, w sobotę po ogłoszeniu decyzji S&P.

RATING BEZ ZMIAN OD 2002 R.

Warto jednak pamiętać, że S&P Global tak naprawdę wycofał się z błędu, jaki popełnił prawie trzy lata temu – i nic poza tym. Jeśli przyjrzeć się bowiem datom poprzednich zmian ratingu Polski, to można uznać, że agencje konsekwentnie ignorują zmiany w naszej gospodarce.

Agencja S&P Global wcześniej, przed 2016 r., dokonała zmiany ratingu prawie dziewięć lat temu, czyli w marcu 2007 r. W tym samym roku, tyle że w styczniu, ostatni raz zmiany ratingu dokonała agencja Fitch. Warto zwrócić uwagę, że wtedy również rządziło Prawo i Sprawiedliwość w koalicji z mniejszymi ugrupowaniami. Z kolei trzecia wielka agencja, Moody's, ostatni raz zmieniła rating Polski w listopadzie 2002 r.

A przecież ten okres to dla polskiej gospodarki cała epoka. W 2002 r. nie byliśmy nawet w Unii Europejskiej. Potem, po akcesji, mieliśmy okres boomu, który dostrzegły agencje Fitch i S&P, następnie przeszliśmy w całkiem niezłej formie przez kryzys, obecnie notujemy znowu szybki wzrost przy – co wielu ekonomistów podkreśla – wyjątkowo zrównoważonej gospodarce.

Zwłaszcza ostatnie lata, odkąd władzę objęła Zjednoczona Prawica, przyniosły ogromną poprawę praktycznie w każdej dziedzinie. Polska we wrześniu tego roku stała się pierwszym od niemal dekady krajem, który według firmy indeksowej FTSE Russell awansował do grona rynków rozwiniętych. Bank Światowy niedawno sklasyfikował Polskę na 30. miejscu w rankingu Indeksu Kapitału Ludzkiego, a więc wyprzedziliśmy Hiszpanię, Islandię, Luksemburg czy Grecję.

Zmniejszamy szarą strefę. Według firmy doradczej A.T. Kearney Polska zajęła piąte miejsce wśród krajów najbardziej efektywnych w redukcji szarej strefy w latach 2007–2016. Ograniczenie szarej strefy jest równoznaczne ze zmniejszaniem luki w VAT – w 2016 r. nasz kraj był piąty w UE pod względem zmniejszania luki VAT, która spadła z poziomu 24,3 proc. w 2015 r. do 20,8 proc. A przecież te ostatnie dane – dotyczące zarówno szarej strefy, jak i VAT – nie biorą pod uwagę roku 2017 i bieżącego, a przecież większość zmian służących do walki z unikaniem płacenia VAT zaczęła funkcjonować w pełni w roku ubiegłym, w tym zaś uruchomiony został split payment. Premier Mateusz Morawiecki mówi, że luka w VAT w Polsce została prawie całkowicie zlikwidowana.

Mimo tych wszystkich sukcesów agencje ratingowe potrafią jedynie naprawić swoje błędy sprzed kilku lat? Trudno nie odnieść wrażenia, że nadal mamy do czynienia z ignorowaniem tego, co się w Polsce dzieje.

PLUSIK CZY MINUSIK CZYNI RÓŻNICĘ

– Polska gospodarka jest zupełnie inna niż w czasach, kiedy dokonywane były zmiany ratingów przez Moody's czy Fitch, choć i agencje ratingowe są inne i bardziej ostrożne – mówi Urszula Kryńska, ekonomistka PKO BP. – Aczkolwiek rzeczywiście można odnieść wrażenie, że nie udało nam się przekonać do siebie agencji, zapewne ze względu za stosowaną metodykę m.in. przypisującą dużą wagę do wysokiego zadłużenia gospodarki – dodaje.

Agencje ratingowe od lat utrzymują nas w strefie „wyższych stanów średnich", ale nie możemy wejść do „kredytowej I ligi". I takie zabiegi, jak dokonany przez S&P, tylko odwracają uwagę od faktu, że np. dwie agencje ratingowe uznają Polskę za równie wiarygodną co Botswanę. Oczywiście, Botswana to jeden z najlepiej zarządzanych krajów Afryki, państwo osiągające spore sukcesy, ale mimo wszystko nie należy ani do Unii Europejskiej, ani do NATO.

Urszula Kryńska zwraca uwagę, że po kryzysie zadłużeniowym w Unii Europejskiej agencje ratingowe zwracają bacznie uwagę na dług kraju. Chodzi nie tylko o poziom długu publicznego, lecz także o zobowiązania osób fizycznych, a zwłaszcza firm. W Polsce stosunkowo wysoki – zwłaszcza na tle naszego regionu – jest dług publiczny, przekracza bowiem 50 proc. PKB. Jednak – co przyznała nawet agencja S&P Global – ten poziom spada. W 2016 r. była to równowartość 54,2 proc., w roku 2017 – już 50,7 proc. Według „Strategii zarządzania długiem publicznym" na koniec roku ma on spaść do 49,2 proc., a w roku przyszłym do 48,9 proc. W 2022 r., według prognoz resortu, ma to być zaledwie 43,4 proc.

Jeśli więc agencje ratingowe zwracają baczną uwagę na zadłużenie, to wkrótce nie będą miały innego wyjścia, czyli znów podwyższą rating naszego kraju. Całkiem możliwe, że nastąpi to już w przyszłym roku, jeśli tylko dane pokażą spadek długu poniżej 50 proc. PKB. To oznaczałoby, że ostatni bastion, ignorujący efekty rozwoju polskiej gospodarki, wkrótce padnie.

Ten upadek ma tym większe znaczenie, że każdy minusik czy plusik, dodawany czy odejmowany przez agencje ratingowe, kosztuje. Przy polskim długu publicznym, który już przekracza 1 bln zł, każda zmiana rentowności polskich papierów skarbowych o 0,01 proc. oznacza oszczędność lub wzrost wydatków rzędu 100 mln zł.

Marek Siudaj

eprasa.pl 8a02066cb4

Polska będzie jeszcze ładniejsza

Spotkania informacyjne są bardzo popularne, osoby zainteresowane programem Czyste Powietrze nie mieszczą się w salach – w rozmowie ze Stanisławem Koczotem („Gazeta Bankowa") mówi ***Kazimierz Kujda****, prezes zarządu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej*

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej działa już od prawie 30 lat, ma na koncie wiele osiągnięć. Które z nich są według pana najważniejsze?

Kazimierz Kujda: Osiągnięć jest wiele, każde z nich ma dużą wagę. W samej gospodarce wodno-ściekowej sfinansowaliśmy ponad 4 tys. projektów. Zbudowaliśmy i braliśmy udział w modernizacji ponad 1,6 tys. oczyszczalni ścieków oraz ponad 83 tys. km kanalizacji. Gospodarka odpadami to przeszło 1,2 tys. projektów, ochrona powietrza i klimatu – prawie 4 tys. Dzięki naszym inwestycjom udało się zmniejszyć emisję dwutlenku siarki o 800 tys. ton na rok, a pyłów – o 260 tys. ton na rok. Gdyby nie one, można sobie wyobrazić, jak bardzo stan powietrza by się pogorszył. Wartość inwestycji dofinansowanych przez nas w latach 1989–2017 to niemal 150 mld zł. Wpływy z opłat i kar ekologicznych do Funduszu wyniosły 26,6 mld zł, a kwota podpisanych umów to 47,2 mld zł. Gdy obliczy się wpływy z podatków lokalnych, PIT, CIT czy z VAT, okaże się, że budżet państwa i budżety samorządowe też dużo zyskały – licząc od wartości inwestycji, jest to ok. 47 proc. Można powiedzieć, że wpływy do budżetu to rząd 65 mld zł. Takie korzyści finansowe dają inwestycje proekologiczne.

A gdyby podsumować ostatnie trzy lata...

Intensywnie odrabialiśmy zaległości. Program Operacyjny Infrastruktura i Środowisko – najważniejszy z naszego punktu widzenia – był opóźniony o prawie dwa lata. W 2014 i w 2015 właściwie nic z nim nie zrobiono, pierwsza umowa została podpisana w maju 2016 r. Od tego czasu do 12 października tego roku zawarliśmy 951 umów na kwotę prawie 28,5 mld zł. Liczba podpisanych przez naszych beneficjentów kontraktów to 4220, o wartości 13,5 mld zł. Przetargi trwają, cały czas są rozstrzygane.

Liczby, o których pan mówi, dotyczą tylko Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko?

Tak. W tym czasie podpisaliśmy jednak również ok. 3 tys. umów finansowanych tylko ze środków krajowych. Wracając jeszcze do Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko, w ciągu trzech lat zatwierdziliśmy 3877 wniosków o płatność, tzw. lista sprawdzająca dla każdego z nich to 170 pytań. To ogromny zakres prac i bardzo duży wysiłek organizacyjny, który został wykonany.

A jaki jest jej efekt?

Woda w polskich rzekach jest już czysta, wypełniamy normy unijne w tym zakresie. Inwestycje są realizowane i będą kontynuowane. W gospodarce wodno-ściekowej są wykonywane 352 projekty warte 15,2 mld zł.

eprasa.pl 8a02066cb4

W ramach programu dotyczącego niskoemisyjnej gospodarki mamy 311 inwestycji na kwotę przekraczającą 5 mld zł. Skala przedsięwzięć jest ogromna.

Pomagają one w walce ze smogiem, który teraz, u progu sezonu grzewczego, znowu daje się nam we znaki...

Oczywiście. Inwestycje w zakresie redukcji emisji zanieczyszczeń do atmosfery były konsekwentnie realizowane, z mniejszym czy większym natężeniem, jednak w ostatnich latach koncentrowaliśmy się na dużych przedsięwzięciach, na modernizacji elektrociepłowni, na rozwoju systemów elektrociepłowniczych wszędzie tam, gdzie smog był problemem. Duże inwestycje są najbardziej efektywne, ale z drugiej strony związane z nimi obciążenia nie pozwoliły nam zająć się domami jednorodzinnymi.

Czy to jedyny powód odkładania adresowanych do nich programów?

Niejedyny. Trudno było współpracować z Wojewódzkimi Funduszami Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, bo w większości były do nas, czyli do NFOŚiGW, nastawione negatywnie. Choć mają taką samą jak my nazwę, fundusze wojewódzkie nie są naszymi oddziałami, lecz odrębnymi jednostkami organizacyjnymi. Fundusz Narodowy jest państwową osobą prawną, natomiast fundusze wojewódzkie są osobami prawnymi samorządu wojewódzkiego. Zmiany w ich radach nadzorczych i zarządach nastąpiły po nowelizacji prawa ochrony środowiska, kiedy wpływ na ich obsadę zyskali minister środowiska, wojewoda, NFOŚiGW... Dzięki tym zmianom uruchomiona została nowa dynamika, która sprawiła, że fundusze wojewódzkie wyrażają wolę współpracy. Dopiero wtedy stało się możliwe skierowanie programu do beneficjentów końcowych, czyli do właścicieli i współwłaścicieli budynków jednorodzinnych. Programem Czyste Powietrze, który został uruchomiony 19 września, zajmują się fundusze wojewódzkie, które przyjmują wnioski, są bliżej ludzi, mają lepsze rozpoznanie potrzeb beneficjentów. Narodowy Fundusz jest twórcą i organizatorem programu, natomiast część wykonawcza została przniesiona na poziom funduszy wojewódzkich. Program został zaplanowany na dziesięć lat, a jego wartość szacujemy na 103 mld zł.

Czyste Powietrze to bardzo konkretny program, na którego realizację przeznaczono bardzo duże pieniądze. Ale zarazem to wielkie przedsięwzięcie wymagające wiedzy, współpracy, a także edukacji. W jaki sposób NFOŚiGW realizuje te cele? Czy jednym z takich działań są targi Pol-Eco System, które odbywają się właśnie w Poznaniu?

Targi w Poznaniu to najważniejsze wydarzenie roku w branży ochrony środowiska. W 2018 r. odbywają się one po raz 30. Ich ranga została znacznie podniesiona. Przewodniczącym Komitetu Honorowego Pol-Eco System jest marszałek Sejmu Marek Kuchciński, a wiceprzewodniczącym Stanisław Karczewski, marszałek Senatu. Targi skierowane są do szeroko rozumianej branży ochrony środowiska. Nazywamy ją EkoSferą, w jej skład wchodzą: Ministerstwo Środowiska, NFOŚiGW, 16 Wojewódzkich Funduszy Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej oraz Bank Ochrony Środowiska. EkoSfera jest ważną przestrzenią konferencyjno-wystawienniczą Targów Pol-Eco System 2018, które de facto są miejscem efektywnej wymiany opinii, dyskusji, doświadczeń administracji publicznej, świata biznesu, nauki, polityki, mediów i środowisk organizacji pozarządowych. Tegoroczne targi odbywają się pod hasłem: „Czyste powietrze – w trosce o zdrowie, klimat i środowisko".

Elementem programu Czyste Powietrze jest termomodernizacja budynków. Jak pan szacuje, dużo osób zostanie nim objętych?

Myślę, że termorenowacja zostanie przeprowadzona w 3–4 mln domów jednorodzinnych. Oznacza ona mniejsze zużycie energii, większy komfort życia, niższe rachunki za energię i przede wszystkim czyste powietrze. Głęboka termomodernizacja wraz z instalacją gruntowej pompy ciepła w zasadzie eliminuje jakiekolwiek zapotrzebowanie na energię niezbędną do ogrzewania ciepłej wody i ogrzania budynku.

Termomodernizacja to ważna część programu, autentycznie mogącego polepszyć jakość powietrza w Polsce...

Zdecydowanie tak. Świadomość tego ma także Komisja Europejska. Razem z nią będziemy budowali jeden spójny system na bazie wspólnych doświadczeń, które teraz, podczas realizacji programu Czyste Powietrze, zostaną poszerzone.

Taką świadomość ma Komisja Europejska... A co ze świadomością Polaków?

Jest bardzo duża i stale rośnie. Spotkania informacyjne są bardzo popularne, osoby zainteresowane programem Czyste Powietrze nie mieszczą się w salach.

Jest to program, który przynosi wymierne, materialne korzyści...

Tak, ale daje coś więcej. Po jego realizacji Polska będzie nie tylko bardziej ekologiczna i energooszczędna, lecz także zacznie lepiej wyglądać, będzie jeszcze ładniejsza, estetyczniejsza. Ten rząd zastał Polskę zaniedbaną, a zostawi odnowioną.

Poza termomodernizacją, co jeszcze wchodzi w skład programu Czyste Powietrze? Wymiana pieców na urządzenia grzewcze nowszej generacji?

Generalnie założeniem programu jest to, by doprowadzić do wyraźnej poprawy jakości powietrza i do zwiększenia efektywności energetycznej budynków jednorodzinnych, a także do wykorzystania ekologicznych źródeł ciepła. Efektem energetycznym i ekonomicznym programu powinno być to, że energii cieplnej i elektrycznej będzie się zużywać po prostu znacznie mniej. Nastąpi też radykalne ograniczenie emitowania do atmosfery szkodliwych pyłów i gazów, czyli tzw. niskiej emisji, dotyczącej kominów o wysokości do 40 m. Powtórzę: gdy budynki zostaną ocieplone, a ich elewacje odnowione, będzie wymierny efekt ekologiczny i poprawi się estetyka polskich miast, miasteczek i wsi. Będzie to wręcz skok cywilizacyjny.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8a02066cb4

Przełom w poszukiwaniach gazu na Podkarpaciu

W 2016 r. Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo SA opracowało nową koncepcję poszukiwań ropy naftowej i gazu ziemnego w Polsce. Zgodnie z nią narodowy lider rynku gazowego zaplanował do 2022 r. ok. 120 odwiertów poszukiwawczych na Podkarpaciu. Powstało też największe zdjęcie sejsmiczne w Europie, wykorzystujące metodę 3D. Celem tych działań jest wzrost wydobycia gazu w południowo-wschodniej Polsce

Realizacja projektu PGNiG ma zapewnić do 2022 r. wzrost wydobycia gazu na Podkarpaciu o 28 proc., do 1,75 mld m^3 rocznie. Ze 120 zaplanowanych odwiertów koncern wykonał już 42. Część z nich w tzw. miocenie niekonwencjonalnym – formacji geologicznej, która do tej pory nie była w Polsce eksploatowana komercyjnie. Jak uważają przedstawiciele spółki, to niezwykle obiecujący kierunek poszukiwań. Wskazują na to dane Instytutu Nafty i Gazu, który ocenia, że zasoby gazu w miocenie niekonwencjonalnym na Podkarpaciu wynoszą ponad 100 mld m^3.

– Na ponad 40 już wykonanych otworów 32 okazały się pozytywne. Oznacza to wyjątkowo wysoką skuteczność poszukiwań – na poziomie 75 proc. Zawdzięczamy ją m.in. dokładnej analizie danych sejsmicznych, która pozwoliła wytypować najbardziej obiecujące miejsca do prowadzenia wierceń – wyjaśnia Piotr Woźniak, prezes zarządu PGNiG SA.

Część odwiertów została zaprojektowana na podstawie o analizy zdjęcia sejsmicznego 3D. Ta technika badawcza polega na wzbudzaniu fal sejsmicz-

eprasa.pl 8a02066cb4

Gaz z Kramarzówki trafi do sieci już w połowie 2019 r., po wybudowaniu gazociągu

fot. Maciej Margas/materiały PGNiG | 13/1018/F

nych, które po odbiciu się od warstw geologicznych są rejestrowane przez czujniki. Na podstawie odebranych sygnałów specjaliści modelują przestrzenny obraz budowy geologicznej badanego terenu.

W ten sposób PGNiG przebadało na Podkarpaciu obszar o łącznej powierzchni 2830 km². Prace objęły m.in. tereny wokół Przemyśla, Kramarzówki oraz Rybotycz i Fredropola o powierzchni ponad 1280 km², które mogą zawierać około 50 mld m³ gazu. Tak powstało największe zdjęcie sejsmiczne 3D, jakie do tej pory wykonano w Europie. O skali przedsięwzięcia świadczy zaangażowanie w nie 640 osób, 147 różnego rodzaju pojazdów, 22 urządzeń wiertniczych oraz wykorzystanie ok. 360 tys. czujników do rejestracji odbitych fal sejsmicznych.

Wszystkie siedem odwiertów, jakie wykonano dotąd na podstawie zdjęcia sejsmicznego 3D, okazało się pozytywne. Dobre wyniki tych i pozostałych wierceń przekładają się na prognozy znacznego wzrostu wydobycia gazu na Podkarpaciu. – Szacujemy, że w ciągu pięciu lat produkcja błękitnego paliwa w regionie wzrośnie do 1,75 mld m³ rocznie, a więc o 28 proc. w porównaniu z 2017 r., kiedy wyniosło 1,37 mld m³. Jesteśmy zdeterminowani uwolnić gazowy potencjał Podkarpacia, bo zasoby krajowe to najpewniejsze i najbardziej opłacalne źródło surowców energetycznych – powiedział Piotr Woźniak.

Prezes PGNiG Piotr Woźniak i premier Mateusz Morawiecki w Kramarzówce, gdzie dokonano udanego odwiertu

Przy realizacji planów poszukiwawczych PGNiG będzie wykorzystywać nowoczesny sprzęt, taki jak wiertnia Bentec 2000 HP. Może ona wiercić otwory o głębokości do 7 tys. m i jest urządzeniem samobieżnym, dzięki czemu można ją przenieść na nowe miejsce pracy bez konieczności demontażu i ponownego montażu. Wiertnia ma moc 2 tys. KM i udźwig ok. 500 ton.

Bentec 2000 HP rozpocznie wiercenia w pobliżu Kramarzówki, 20 km na zachód od Przemyśla. PGNiG odkryło tu złoże gazu, którego zasoby szacowane są na 12 mld m³. Wydobycie surowca będzie możliwe dzięki wykorzystaniu nowych technik wiertniczych – odwiertów horyzontalnych połączonych z zabiegiem szczelinowania. Po ich zastosowaniu produkcja w odwiercie osiągnęła wielkość, która uzasadnia komercyjną eksploatację złoża.

Surowiec z Kramarzówki jest bardzo wysokiej jakości, dzięki czemu może być wprowadzany bezpośrednio do sieci. Nastąpi to już w połowie 2019 r., po wybudowaniu gazociągu.

(kk)

eprasa.pl 8a02066cb4

Cena bezpieczeństwa

Nie słabnie dyskusja wokół polskiego programu szczepień obowiązkowych. Paradoksalnie, choć coraz więcej rodziców odmawia szczepienia swoich dzieci, to jednocześnie znaczna część Polaków jest w stanie wydać pieniądze, by szczepić je dodatkowo lub szczepionkami zapewniającymi szerszą ochronę

Jednym z argumentów ruchów antyszczepionkowych jest ten, że preparaty, jakie są stosowane w programie szczepień refundowanych (a więc jednocześnie obowiązkowych), są „przestarzałe". I choć w aktywności publicznej antyszczepionkowców jest sporo demagogii, to niektórzy eksperci przekonują, że wybór optymalnych szczepionek może rzeczywiście osłabić impet narracji podważających sensowność szczepień. Nawet jeśli będzie to pociągało za sobą dodatkowe koszty.

– Cena produktu nie może być ważniejszym kryterium niż jakość i efektywność – podkreślają eksperci skupieni wokół Porozumienia na rzecz Dobrych Praktyk w Szczepieniach. W specjalnym stanowisku dodają, że „kalendarz szczepień ochronnych powinien odpowiadać na bieżące wyzwania systemów ochrony zdrowia oraz na rzeczywiste potrzeby społeczeństwa".

Eksperci, wśród który są m.in. prof. Ewa Bernatowska, prof. Anna Skoczyńska czy konsultant krajowy w dziecinie pediatrii prof. Teresa Jackowska, odnoszą się w ten sposób do wprowadzonych przez rząd PiS obowiązkowych od 2017 r. szczepień dzieci przeciw pneumokokom. Ministerstwo Zdrowia refunduje obecnie tylko jeden z dwóch dostępnych na rynku typów szczepionek – chroniącą przed 10 szczepami (serotypami) pneumokoków szczepionkę 10-walentną (PCV10).

Za szczepionkę 13-walentną (PCV13) rodzice muszą zapłacić z własnej kieszeni. Tymczasem, jak przekonują eksperci Porozumienia, według najnowszych badań „najczęściej wykrywanym serotypem w populacji polskiej był serotyp 3 (obecny tylko w szczepionce PCV13), a u dzieci poniżej piątego roku życia drugim najczęstszym serotypem był serotyp 19A (obecny tylko w szczepionce PCV13). Serotypy 3 i 19A zajmowały dwa pierwsze miejsca jako serotypy odpowiedzialne za zgony w całej populacji (obecne tylko w szczepionce PCV13). Serotyp 19A jest najbardziej wielolekoopornym (MDR) serotypem (obecny tylko w szczepionce PCV13)".

Z oświadczenia Porozumienia na rzecz Dobrych Praktyk w Szczepieniach wynika także, że według polskich danych przewidywane „pokrycie szczepionkowe" dla całej populacji dla PCV10 wynosi zaledwie niespełna 36 proc., podczas gdy dla szczepionki 13-walentnej wskaźnik ten oscyluje wokół 65 proc.

„Dlatego uważamy, że w zamówieniu publicznym powinny być przede wszystkim brane pod uwagę kryteria jakościowe, a nie tylko cenowe. Umożliwi to wybór preparatu, który najpełniej odpowiada na bieżące potrzeby polskiego systemu ochrony zdrowia i na obecną sytuację epidemiologiczną. Cena produktu nie może być ważniejszym kryterium niż jakość i efektywność. Decydenci powinni brać pod uwagę polskie dane publikowane co roku przez KOROUN. Ma to miejsce w większości krajów europejskich" – podkreślają eksperci.

Szacuje się, że ok. 25 proc. dzieci w Polsce jest szczepionych przeciw pneumokokom właśnie szczepionką 13-walentną, mimo iż rodzice muszą za nią zapłacić. Ok. 60 proc. Polaków szczepi z kolei dzieci przy użyciu szczepionek wysokoskojarzonych (5- lub 6-składnikowych), redukując w ten sposób liczbę wkłuć potrzebnych, by „odrobić" wszystkie szczepienia wpisane do kalendarza. Polska jest jedynym krajem Unii Europejskiej, który nie wprowadził tych szczepień do programu szczepień obowiązkowych i ich nie refunduje.

Według dr. Pawła Grzesiowskiego z Fundacji Instytutu Profilaktyki Zakażeń, cytowanego przez portal Money.pl, rodzice wydają rocznie 200–250 mln zł na dodatkowe płatne szczepienia. Znaczna część tej kwoty przeznaczana jest na szczepionki obowiązkowe (w tym przeciw pneumokokom), a także te przeciw meningokokom czy ospie wietrznej.

Warto dodać, że nakłady z budżetu na refundację szczepień mogą się w najbliższych latach zwiększyć. Rada Sanitarno-Epidemiologiczna, a więc organ doradczy Głównego Inspektora Sanitarnego, proponuje, by w programie szczepień znalazły się szczepienia przeciw rotawirusom czy wirusowi brodawczaka ludzkiego (HPV).

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 8a02066cb4

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

wwww.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 100 370 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR (x4), ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 8a02066cb4

MAGDA GEMBACKA

AUTORKA KSIĄŻKI „WIĘCEJ WARZYW NA TALERZU"

Gdy zostaje pusta miska

Kotleciki marchewkowo-fasolowe (uwielbiane przez dzieci) lub sałatka z ciecierzycy i kaszy bulgur z warzywami i sosem winegret. A jeśli placki ziemniaczane, to z dodatkiem szpinaku, podkręcone guacamole.

Magda Gembacka umie przekonać, że warzywa na talerzu nie muszą być nudne. Swoje przepisy sprawdza na najtrudniejszych odbiorcach: – Niezmiernie cieszą mnie sytuacje, gdy tworzę jakieś nowe danie, a moje dzieci kosztują je i po chwili zostaje już tylko pusta miska.

O tym, dlaczego do kuchni pełnej przepysznej zieleniny, postanowiła przekonać też innych rodziców, pisze tak: „Moja przygoda z blogowaniem rozpoczęła się prawie osiem lat temu od zdrowego gotowania dla mojego synka. Gdy Kacper przyszedł na świat i małymi krokami zbliżał się czas rozszerzania jego diety, bardziej zainteresowałam się tematem odżywiania i jego wpływem na zdrowie. Postanowiłam, poprzez jedzenie, od początku budować odporność jego organizmu.

Szybko okazało się, że sposób, w jaki go żywiłam – bezcukrowo, naturalnie, bez dań w słoiku i tak dalej – nie był powszechny wśród innych mam. Postanowiłam więc stworzyć blog, na którym mogłabym dzielić się z innymi rodzicami przepisami na zdrowe dania i uświadamiać im, że to, czym karmią swoje pociechy, ma olbrzymi wpływ na ich zdrowie, dlatego warto zadbać o odpowiednie odżywianie dzieci od ich narodzin.

Blog powstał i szybko zgromadził wokół siebie mnóstwo mam, a tym samym poniekąd »wykarmił« wiele dzieci.

Z czasem zaczęły się na nim pojawiać również przepisy dla dorosłych – w końcu dzieci szybko zaczynają jeść to, co mama i tata. Zrozumiałam, że aby jadły zdrowo, należy stworzyć rodzinne menu odpowiednie dla brzdąca, nastolatka i rodziców.

Od czego zacząć? Najlepiej od siebie – zacznijcie zdrowo się dożywiać, zaprzyjaźnijcie się z warzywami, delektujcie się nimi. W końcu jest czym! To spowoduje, że automatycznie w waszej kuchni będzie więcej warzyw i staniecie się przykładem dla swoich dzieci. Naśladownictwo i modelowanie to najlepszy sposób nauki i wychowywania".

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Fot. Bartek Kuzia

Placki ziemniaczano-szpinakowe z guacamole

Zrobiłam kiedyś te placki na obiad i nie miałam pomysłu, z czym je podać, z jakim sosem. Na to mój mąż – zrób do tego guacamole. Bingo! To był strzał w dziesiątkę. Wytrawne placki, guacamole, świeże, soczyste pomidory i obiad gotowy.

Składniki (na 14 placków): ½ kg ziemniaków, 1 cebula, 1–2 ząbki czosnku, 50 g świeżego szpinaku, 1–2 łyżki mąki z ciecierzycy, sól, 2 łyżeczki soku z cytryny

Guacamole: 1 duże dojrzałe awokado, 1 ząbek czosnku, 1–2 łyżki soku z cytryny, sól, szklanka pomidorków koktajlowych

Wykonanie: Ziemniaki zetrzeć na tarce o małych oczkach, to samo zrobić z czosnkiem i cebulą. Dodać sok z cytryny i wymieszać. Całość przełożyć do sitka, zawiesić nad miseczką i odczekać ok. 15 min. Można przykryć je talerzykiem. Następnie wylać wodę, która wypłynęła z ziemniaków. W tym czasie zrobić guacamole: awokado przekroić na pół, wyjąć pestkę, obrać, a miąższ przełożyć do miseczki, dodać wyciśnięty ząbek czosnku, sól i sok z cytryny. Zmiksować na gładko. Masę ziemniaczaną przełożyć do miski, dodać 1–2 łyżki mąki z ciecierzycy (najlepiej ją przesiać, żeby nie było grudek), posiekany drobno szpinak, sól i całość wymieszać. Uformować małe placuszki i usmażyć je na złoty kolor na dobrze rozgrzanej patelni z odrobiną oliwy z oliwek extra vergine. Gorące placki podawać z guacamole i pokrojonymi pomidorkami.

eprasa.pl 8a02066cb4

SŁODKO-SŁONY

Fot. Shutterstock

Wspomnienie lata

ANNA MONICKA

Powoli żegnamy się z zielenią na dworze – liście brązowieją, czerwienieją i spadają. Nawet długo trzymające kolor miłorzęby zrobiły się jaskrawocytrynowe. Na szczęście w kuchni nie musimy się żegnać z zielenią. Właśnie zaczyna się czas brukselki, zupełnie u nas niedocenianej. Zwykle jest po prostu zapychaczem w najrozmaitszych kompozycjach mrożonek, głównie w zupach jarzynowych. Rozgotowana rzeczywiście wygląda paskudnie, a jeśli ktoś swoją przygodę z ta kapustką zaczął właśnie od mrożonki, mało prawdopodobne, że zapałał do niej miłością. Co innego brukselka wybierana ręcznie na wagę. Możemy każdą główkę obejrzeć, dobrać duże na sałatkę, małe do duszenia.

Jak ją przyrządzić? Duże brukselki obgotowane na parze i posypane solą cytrynową są wyśmienitą przekąską na drugie śniadanie. Daję je mojej córce w pojemniczku do szkoły na drugie śniadanie. Znikają błyskawicznie. Można jednak obrać je przed gotowaniem listek po listku, zblanszować i podawać z małymi pomidorkami koktajlowymi, serem pleśniowym i grzankami. Brukselkowe listki świetnie pasują do zup kremów – zamienią w wykwintne danie na przykład banalną kartoflankę, wystarczy dodać je na koniec razem z grzankami czosnkowymi lub bardziej wyszukanym groszkiem ptysiowym. Tylko zblanszowane (zanurzone na kilka chwil we wrzątku) nie tracą chrupkości ani koloru.

Mniejsze kapustki są doskonałym dodatkiem do jarzynek na ciepło. Przekrojone na połówki, podsmażone na patelni na maśle klarowanym, z ziemniakami pokrojonymi w kostkę, posypane czarnuszką lub sezamem, skropione octem balsamicznym smakują wybornie. Można do tego dania dodać cieniutkie piórka czerwonej cebulki i startą skórkę z limonki albo, jeśli macie akurat pod ręką, drobno pokrojoną kiszoną cytrynę.

Doskonale wychodzi zapiekana z ryżem – przygotowujemy to na patelni. Podsmażamy najpierw surowy ryż z brukselką, zalewamy bulionem warzywnym z większą ilością curry i dusimy pod przykryciem. Na koniec posypujemy parmezanem. Smacznego.

WILCZYM OKIEM

Od łowcy po mikrobiologa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Trudne jest przyporządkowanie gatunku Homo sapiens do jednej z trzech grup zwierząt stworzonych ze względu na rodzaj diety. Mięsożerność, roślinożerność oraz wszystkożerność pozostają dla przedstawicieli naszego gatunku kategoriami otwartymi. Mamy duże mózgi, rozwiniętą inteligencję, dzięki temu możemy wybrać dowolnie, nie kierując się instynktem ani presją stada, lecz własnym rozumem. Sprzyja temu układ pokarmowy, który zaakceptuje dietę zarówno mięsną, bezmięsną, jak i mieszaną. Faktem pozostają jednak silne mięsne afiliacje człowieka.

Relacja człowiek–mięso była burzliwa i zmienna. U swoich początków Homo sapiens sam częściej bywał wysokobiałkowym pożywieniem dla sprawniejszych łowców. W końcu, ok. 400 tys. lat temu, zapanował nad ogniem i inne zwierzaki zaczęły się go bać. Następnie stał się wysoko wykwalifikowanym myśliwym, umiejącym władać takimi gadżetami jak oszczepy z krzemiennymi grotami, kamienne toporki, łuki.

Dopiero ok. 12 tys. lat temu człowiek wpadł na pomysł, aby nie uganiać się za mięsem po lasach, lecz trzymać je w zagrodzie. Taka, w gruncie rzeczy prymitywna, sytuacja trwa do dziś. W epoce zaawansowanych technologii osoby lubiące dostarczać swojemu organizmowi energii za pomocą tkanek mięśniowych innych zwierząt wciąż muszą korzystać z mięsa ssaków trzymanych w hodowlach i zabijanych w celu nakarmienia Homo sapiens. Sytuacja jednak może się szybko zmienić.

Na naszych oczach ludzkość po łowiectwie i hodowli wchodzi w kolejną fazę, którą można by nazwać laboratoryjną. Mięso to składająca się z komórek tkanka zwierzęca. W 1971 r. Russell Ross z University of Washington wyhodował w warunkach laboratoryjnych mięśnie gładkie aorty świnki morskiej. W 2005 r. naukowcy z uniwersytetu w Maryland podsumowując ostrożnie swoje badania, stwierdzili, że nuggetsy z kurczaka być może będzie można produkować na dużą skalę bez kurczaków, już w niedługim czasie. Pierwszy hamburger stworzony w 100 proc. z mięsa wyhodowanego na szkiełku laboratoryjnym przez holenderskiego prof. Marcusa Posta został usmażony w 2013 r. Technologia polega na pobraniu komórek macierzystych od zwierzęcia, a następnie namnażaniu, aż do powstania tkanki. Czy będzie łatwiejsza niż polowanie i bardziej ekologiczna niż hodowla zwierząt, pokaże czas.

eprasa.pl 8a02066cb4

Lepienie Zapatero

PIOTR SKWIECIŃSKI

Pewien mój przyjaciel poznał Jacka Kaczmarskiego w okolicznościach szczególnych.

Otóż para jego znajomych (rzecz się działa w latach 70. wśród studentów kierunków humanistycznych czy wręcz artystycznych), jak to się mówi, „zaciążyła". Dziecka nie chcieli, zdecydowali się więc (a w tych latach nie była to decyzja psychologicznie trudna) na aborcję. Po – jak to się wtedy mówiło – zabiegu... zrobili zaś party. W związku z ową aborcją; choć nie do końca wyeksplikowano, czy miał to być pretekst do zalewania się na smutno, czy na radośnie. Na to party przybył Jacek Kaczmarski właśnie; grał i śpiewał, i to właśnie wtedy mój przyjaciel poznał przyszłego barda pokolenia i jego twórczość.

Ta historia przypomniała mi się, kiedy dowiadywałem się o kolejnych wynikach ostatnich sondaży, tych dotyczących aborcji właśnie. Są one różne, ale od dłuższego już czasu mówią o zmianach układających się w pewien trend. Mianowicie nie ulega kwestii, że zdecydowanie zwiększa się odsetek Polaków opowiadających się za tzw. aborcją na życzenie. Czyli taką, która nie musiałaby być uzasadniana żadnymi względami medycznymi czy nawet społecznymi. Po prostu – dopuszczalny środek antykoncepcyjny. Według części sondaży zwolenników takiego rozwiązania jest (już) więcej niż przeciwników. Według innych – (jeszcze) nie, ale również te badania odnotowują zasadniczy wzrost popularności aborcji na życzenie.

Jeśli Polska za parę lat stanie się poligonem lewackiej rewolucji, to wiemy, komu to będziemy zawdzięczać

Bardzo to wszystko jest ciekawe choćby dlatego, że następuje po długo trwającym okresie, w którym społeczne postawy szły w drugą stronę. Od czasów wojny aborcyjnej z pierwszej połowy lat 90. nastąpiła pod tym względem – wielu się wydawało, że trwała... – zmiana. Bo startowaliśmy (w PRL) z pozycji bardzo powszechnego postrzegania przerywania ciąży jako oczywistego prawa. Dodajmy – prawa moralnie obojętnego. Historyjka z opisanym powyżej jednym z pierwszych koncertów Kaczmarskiego jest dobrą ilustracją ówczesnego stanu emocji dookoła tego problemu, bynajmniej za problem nieuważanego.

Było to, powtórzmy, mniemanie tak rozpowszechnione, że Służba Bezpieczeństwa w okresie przygotowań do wyborów '89 zdecydowała się przeprowadzić całą akcję mającą na celu skompromitowanie kandydatów „Solidarności" jako zwolenników zakazania aborcji właśnie. Nie udało się, bo przy ówczesnym stanie aparatu władzy i społecznych emocji nie mogło się udać nic, co towarzysze próbowaliby zrobić. Ale samo podjęcie takiego działania świadczy o tym, jak analitycy władzy postrzegali wówczas to, co o aborcji sądzi społeczeństwo.

Nie do końca słusznie, bo już wtedy postępowała zmiana, zaczynająca się w młodym pokoleniu, wbrew pozorom ówcześnie znacznie żywiej niż starsze kształtowanym przez nauczanie Kościoła. Pomimo tego aż do momentu uchwalenia ustawy antyaborcyjnej przeważało raczej przekonanie, że przerywanie ciąży powinno pozostać legalne. Ale gdy ustawa została przyjęta, zaczęła działać i nic z zapowiadanych przez zwolenników aborcji horrorów nie nastąpiło, została – w swoim kompromisowym kształcie – zaakceptowana przez zauważalną większość społeczeństwa. A ponieważ niebawem zaczął się nakładać na to proces stopniowego „prawicowienia" kolejnych młodych generacji, wydawało się, że tak będzie już zawsze.

Otóż ten obraz drastycznie się zmienia. A przyczyna wydaje się oczywista. Jest to podjęta przez środowiska proliferskie próba zerwania kompromisu aborcyjnego i ograniczenia zakresu przypadków, w których przerywanie ciąży pozostaje legalne.

Podobną próbę podjęto w 2006 r., za tzw. pierwszego PiS. Została wtedy łatwo utrącona przez Jarosława Kaczyńskiego, który i wtedy uważał, i teraz sądzi, że igranie z tym tematem jest niebezpieczne i łatwo może doprowadzić do lawinowych zmian, dla samych proliferów nieoczekiwanych i przerażających. Ale za drugiego PiS już tak łatwo Kaczyńskiemu z tym nie poszło. Klub parlamentarny frondował; bo też sama partia przez osiem lat się zmieniła i w sprawach światopoglądowych zradykalizowała.

Efekty nie dały na siebie długo czekać. Przeświadczenie, że rządzący chcą zacieśnić, do zera albo jego okolic, prawo do legalnej aborcji, spowodowało dość szeroki odruch sprzeciwu sporej części społeczeństwa, a taka sytuacja, co powie każdy socjolog, sprzyja radykalizacji tych, których ta emocja dotyczy. I doprawdy dla każdego, kto pamięta aborcyjną bitwę sprzed dwudziestu paru lat, był to przewidywalny obrót sytuacji.

Dla każdego, oprócz co radykalniejszych proliferów. Tak dalece wierzyli w trwałość i jednokierunkowość społecznej zmiany? Czy też kierujący nimi odruch moralny owładnął nimi w stopniu, który nakazał im po prostu nie dbać o nic, poza bezkompromisowym dążeniem do dania świadectwa, bo przecież ma być tak-tak albo nie-nie, a tak w ogóle to najgorsi są ci letni...? Nie wiem.

Wiem natomiast na pewno, że to im właśnie – między innymi, ale za to w pierwszym rzędzie – będziemy mogli podziękować, jeśli za parę lat obudzimy się w Polsce z sennych marzeń naszych zapaterystów. Do niedawna politycznie impotentnych.

Fot. Andrzej Wiktor

7/0918/F

eprasa.pl 8a02066cb4

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy.

Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!

PGE
Zapewniamy energię

JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do
Biur Obsługi Klienta PGE
422 222 222
serwis@gkpge.pl
ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**

eprasa.pl 8a02066cb4

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

O ludzi dobrej woli

Trudny proces wychodzenia z postkomunistycznej myślowej niewoli zbyt wiele już zajmuje nam czasu

„Dziwny jest ten świat, gdzie jeszcze wciąż mieści się wiele zła. I dziwne jest to, że od tylu lat człowiekiem gardzi człowiek [...] Dziwny jest ten świat, świat ludzkich spraw, czasem aż wstyd przyznać się. A jednak często jest, że ktoś słowem złym zabija tak jak nożem". Autor tych słów – Czesław Niemen – nie miał wątpliwości, że „ludzi dobrej woli jest więcej i że ten świat nie zginie nigdy dzięki nim". W styczniu przyszłego roku minie 15 lat od jego śmierci i będzie to dobry czas na wspominanie jego twórczości.

W 1958 r. Czesław Niemen wraz ze swoją rodziną Wydrzyckich ze Starych Wasiliszek (dziś Białoruś) zdołał się przesiedlić do Polski w ostatnim prawie transporcie repatriantów. Wyjazd uchronił go przed wcieleniem do Armii Radzieckiej. Ceniłem Czesława Niemena nie tylko z powodu jego oryginalnej twórczości. Zachował cechy wolnego, dumnego Polaka ze wschodnich Kresów, gdzie sowiecki komunizm był oczywistym złem. Wychował się w polskiej tradycyjnej rodzinie. Chodził do Kościoła nie tylko, aby grać na swoich ulubionych organach. Kiedy był już w Polsce, przybrał pseudonim artystyczny „Niemen" od rzeki, którą mógł obserwować w młodości na co dzień. Zauważyłem, że prezentował krytyczną opinię o polskich „elitach", ale dzielił się nią tylko z osobami, do których miał zaufanie. Bywał częstym gościem „Tygodnika Solidarność". Tam go poznałem.

Jest zrozumiałe, że Czesław Niemen spośród polskich poetów romantycznych wybrał Cypriana Kamila Norwida. Być może czytał jego słowa „Do wychodźstwa polskiego" – „Bo Ojczyzna, Ziomkowie jest to normalne zjednoczenie, bez którego partii nawet nie ma – bez którego partie są jak bandy lub koczowiska polemiczne, których ogniem niezgoda". Norwid, zapomniany przez całe pokolenia Polaków, powrócił w monumentalnym utworze Niemena – „Bema pamięci żałobny rapsod". Ale „Dziwny jest ten świat" także pobrzmiewa Norwidem, poetą, który zostawił nam najbardziej dziś trafne przesłanie przestrogę: „Umiemy się tylko kłócić albo kochać, ale nie umiemy się różnić pięknie i mocno".

Patriotyzm, umiłowanie ojczyzny, przywiązanie do tradycji nie może być przedmiotem tendencyjnej, bezlitosnej i bezpodstawnej krytyki. „Trzeba zerwać z manią obrzydzania naszych dziejów i dowcipkowania z tragicznych niekiedy przeżyć narodu". Te słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego padły już w 1967 r., ponad pół wieku temu. Jak bardzo od tego czasu zmieniło się postrzeganie naszej przeszłości? „Nie można być prawdziwie wolnym bez rzetelnego i głębokiego stosunku do wartości. Nie pragnijmy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała" – napominał w 1983 r. Jan Paweł II. Z pewnością znał słowa Józefa Piłsudskiego: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, by ta niepodległość kosztowała dwa grosze wydatków i dwie krople krwi". Ale jeszcze celniejsze były inne słowa Marszałka: „Jestem wyznawcą zasady, że ten, kto nie szanuje i nie ceni swej przeszłości, nie jest godzien teraźniejszości ani prawa do przyszłości".

Zejdźmy z wysokich diapazonów, chodzi przecież o to, aby po wyborach ludzi dobrej woli było więcej. Tylko wówczas Polska może się zmieniać na dobre. Trudny proces wychodzenia z postkomunistycznej myślowej niewoli zbyt wiele już zajmuje nam czasu. W końcu muszą się wykształcić „ziomkowie", by dać „normalne", a więc naturalne przyszłe „zjednoczenie". Ale nie da się tego dokonać bez poznania prawdy o Polsce i Polakach.

Powiedz mi, jaką oglądasz stale telewizję, jaką czytasz gazetę, jaki najczęściej przeglądasz portal internetowy i na jakie chodzisz filmy, a powiem ci, kim jesteś. To przecież przeróbka starego powiedzonka – z kim przestajesz, takim się stajesz. „Resortowe dzieci" obecne w polityce, mediach, sądownictwie to z kolei potwierdzenie innego przysłowia: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. „Polska to nienormalność" – tak pisał kiedyś Donald Tusk. Czy przez te lata nie miał okazji odwołać tych słów? Jakoś się z nich wytłumaczyć? Czy teraz, w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, szczerze dostrzegł potrzebę pojednania, wołając na krakowskim rynku: „Musimy wreszcie umieć sobie podać rękę, musimy na nowo spierać się bez nienawiści, bez rozgoryczenia". I czy rzeczywiście jest przekonany, że „wyciągnięcie ręki" to zadanie „bardziej dla władzy"? A przecież to on skutecznie podzielił Polaków. Nic dziwnego, że jego następca, Grzegorz Schetyna, dorzucił jeszcze „pisowską szarańczę", coś z żelaznego z nazistowskiego, hitlerowskiego repertuaru. Złym słowem zabił jak nożem. A świadkiem tego był milczący, czyli przyzwalający Donald Tusk. Lecz ludzi dobrej woli jest więcej...

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 8a02066cb4

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Jeno wyjmij mi z tych oczu...

Nie znoszę wiecznych narzekaczy na Polskę. Tych, którzy nieustannie dopatrują się w Polsce czegoś złego, słabego, brzydkiego. Jak już nie mają na co narzekać, to będą paplać, że pogoda niedobra, za ciepło, za zimno, nie tak jak gdzieś indziej.

Przez długie lata Michnik i jego kamaryla uczyli nas tego narzekania, tego antypolskiego w gruncie rzeczy widzenia polskich spraw przez odłamek lustra, który wpadł do oka braciszkowi Gerdy. „Gazeta Wyborcza" i TVN to właśnie takie gejzery plucia na Polskę. Te media są właśnie odłamkiem złego lustra, który nieszczęśliwie wpadł wielu Polakom w spojrzenia i wszystko widzą dziś pobrudzone michnikowsko-walterowskim myśleniem. Oni oczywiście Polski nie znoszą, a wszystko, co polskie, drażni ich i rozpiekla. Nie wyjadą jednak do tych swoich rajów, nie! Będą tu siedzieć i psuć atmosferę, szczuć na sprawy najważniejsze. Zwykle bowiem tak jest, że jak ktoś narzeka na Polskę i polskość, to także nie podoba mu się Kościół katolicki, księża, narodowe świętości. Taki typ zrobi wszystko, aby bohaterów „odbrązowić" w imię jakiejś szaleńczej idei, której nawet składnie nie potrafi wyrazić. Tak będzie „odbrązawiał", aż ubabrze wszystko sobie właściwym brązem.

Witold Gadowski

Nie cierpię narzekaczy na Polskę, bo nasza ojczyzna staje się coraz ciekawsza, coraz piękniejsza, coraz bardziej zadbana, coraz lepiej się w niej żyje. Wbrew michnikoidom i ich chęciom potrafimy ulepszać nasz kraj, ciężko pracować i szczerze się modlić, oby to nigdy się nie zmieniło, oby nigdy nie zabrakło nam także tej dobrodusznej safandułowatości, która na co dzień cechuje wielu Polaków. Dzięki niej łatwiej się żyje i bardzo się tęskni, gdy przebywa się z dala od naszej Polski. Jeśli coś idzie źle, to przecież nie jest to wina Polski, ale konkretnych ludzi, także takich, którzy sprawują władzę, a nigdy nie powinni jej dostać w ręce.

Są w Polsce niezałatwione rachunki, one muszą być wyrównane, ale nikt za nas tego nie załatwi. Nikt nie wymiecie komunistycznych śmieci z naszego domu. Tych wszystkich Cimoszewiczów, Rosatich, Borowskich i reszty tej ferajny musimy pozbyć się sami. Oni i ich media muszą zostać z Polski wymieceni. Im Polska i Polacy się nie podobają, niech więc wyjadą do jakiejś swojej wymarzonej Arkadii i dadzą nam wreszcie żyć po polsku, tak jak potrafimy i lubimy.

Ot, taki prosty manifest mi się ułożył, gdy delektuję się właśnie piękną polską jesienią.

Logika rządzenia

Temat zbyt szeroki jak na dwa tysiące znaków, więc w telegraficznym skrócie:

1. Angela Merkel twierdzi, że na terenie Niemiec prawo krajowe stoi wyżej od unijnego. PO dowodzi, że skoro zapisaliśmy się do UE, prawo europejskie jest nadrzędne w stosunku do polskiego. Zatem zgodnie z zasadami logiki (prawo przechodniości) niemiecka jurysdykcja stoi ponad sądownictwem Rzeczypospolitej... Cbdd (co było do dowiedzenia).

2. Kolejna logiczna łamigłówka: można zatrzymać Polaków w kraju (i nawet ściągnąć z powrotem naszych emigrantów ekonomicznych), podnosząc nieco zarobki u nas. Można jednak znacznie szybciej powiększyć PKB, spraszając do Polski Ukraińców czy Hindusów, harujących wydajniej za słynną „miseczkę ryżu"... Która logika – patriotyczna czy ekonomiczna – będzie bliższa polskiemu rządowi?

3. Edukowanie Polaków, otwieranie ich na tradycję, polskość i prawdę jest długofalową misją publicznych mediów. Co prawda muzyka disco polo i programy typu „Big Brother" tę wrażliwość dewastują, ale... skuteczniej przyciągają elektorat! Czy w cyklu wyborczych maratonów pożyteczna praca u podstaw ma szanse wygrać z totalnym odmóżdżaniem?

Lech Makowiecki

4. Dobrze uzbrojeni i bitni obywatele odstraszają potencjalnych agresorów; wpływa to pozytywnie na bezpieczeństwo kraju. Zatem dla dobra ogółu jak najwięcej Polek/Polaków powinno odbyć przeszkolenie wojskowe i po spełnieniu rygorystycznych kryteriów odpowiedzialności posiadać w domu osobistą broń palną. Ale zorganizowani, mądrzy i waleczni obywatele mogą się nagle stać prawdziwym suwerenem, czyli największym zagrożeniem, senną zmorą każdego rządu. Czy decydenci uznają powszechne prawo rodaków do obrony, czy też postawią na płatnych najemników? Oto pytanie...

5. Gdy księża i hierarchowie bagatelizują dziś zagrożenia Kościoła (wszak przez 2 tys. lat bramy piekielne go nie zmogły), z żalem wspominam katolickie niegdyś Irlandię, Francję czy Włochy... I tęsknię za prawami logiki!

eprasa.pl 8a02066cb4

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Hel lekki jak hel

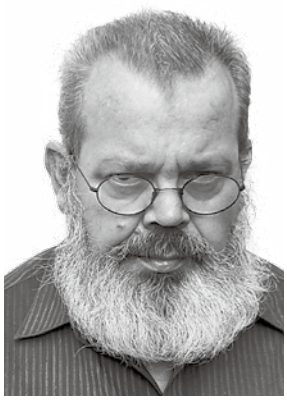

Aleksander Nalaskowski

Morze jest jesienią niesamowite. Zupełnie niesamowite. Ten symbol lata, skwaru, plażowych tłumów, wieczornych dyskotek, setek smażalni wydaje się dopiero w październiku wracać do siebie, brać głębszy oddech i wzdychać „nareszcie". Dlatego w tzw. sezonie unikam morza jak ognia. Nie mam zupełnie genu towarzyskości, źle się czuję w gromadzie, ale rozumiem, że ktoś może mieć zupełnie odwrotnie. Kwintesencją polskiego Wybrzeża, morza w ogóle, jest bodaj Hel. Tam doskonale widać jesienną posezonowość i spokój. Zatem zwialiśmy z małżonką na kilka dni właśnie tam. Uciekliśmy przed ohydną estetycznie, niekiedy i politycznie, a nawet obyczajowo kampanią wyborczą. Umknęliśmy na trochę drapieżnym łapom banerów, plakatów, uśmiechniętym gębom kandydatów do samorządów i wypisanym wszędzie sloganom. Wszyscy chcieli mnie przekonać, że chcą mojego dobra, dobra mojego miasta i wiecznej szczęśliwości każdego z nas. Mało tego, nie pozostawiali żadnej wątpliwości, że tylko oni wiedzą, jak to zrobić.

Półwysep was utuli, ukołysze i uspokoi. Jedźcie pokłonić się morzu

A morze ma ich wszystkich w nosie. Zarówno tych „naszych", jak i „tamtych". Przepiękna, zupełnie nieprawdopodobna pogoda sprawiła, że czuliśmy się jak na egzotycznej wyspie bezludnej. Byliśmy w oazie ciszy i prawdziwości przyrody. Po tłumach już nie było śladu. Troskliwie i zapobiegliwie zabite płytami smażalnie ryb, lokale gastronomiczne zapraszające od 1 maja 2019 r., pozamykane częściowo sklepy z pamiątkami wydawały się dla nas, starszych państwa, najlepszą rekomendacją i zaproszeniem. Uroczy i komfortowy pensjonat z lekko znudzoną, spowolnioną obsługą był tylko w niewielkiej, a nawet mikroskopijnej części zajęty. Byliśmy więc oczkiem w głowie przemiłej obsługi, która troszczyła się o nas jak kwoka o kurczęta. Spa? Proszę bardzo. Mapka okolic? Proszę uprzejmie. Kawka do pokoju? Zaraz podamy. Na śniadanie jest szwedzki stół, ale jeśli mają państwo specjalne życzenia, to oczywiście przygotujemy. A przecież byliśmy nad morzem kolejny, pewnie trzydziesty któryś raz. Zawsze po sezonie. Ale nigdy nie było tak jak teraz. Bo też nigdy dotąd hałas polityczny i to całe propagandowe błoto nie lało się na nas tak dotkliwie. Ucieczka była jedynym wyjściem. Chociaż na chwilę się z tego bagna wynurzyć i zaczerpnąć powietrza.

Nieopodal w Juracie jest nadmorska, bardzo skromna rezydencja letnia prezydenta Ignacego Mościckiego. Taki baraczek Muszelka. Prezydent i profesor bywał tam, jeździł pociągiem. Ale to ja miałem teraz iście prezydencką obsługę. Po raz pierwszy zwróciłem uwagę na to, że „turystyczna apolityczność" jest tak miła i relaksująca.

W jednej z nielicznych czynnych restauracji stojący za barem właściciel ucieszył się na nasz widok: „Nareszcie goście". Miał czas, aby opowiadać nam o morskich połowach, o tym, które ryby są teraz świeże, bo jest na nie sezon, o pracy w ukropie i upale minionego lata, o nieznośnych niekiedy turystach, o szczególnych zamówieniach, o konsumentach z niezwykłym zupełnie apetytem. Troszczył się o nas tak jak moja śp. teściowa Stefania o mnie. Żyć, nie umierać. Nie oglądaliśmy telewizji, nie surfowałem w internecie, nie rozmawialiśmy z nikim poza obsługą tu i gdzieś indziej. Z przyjemnością patrzyliśmy na farmę pozamykanych przyczep kempingowych, ogrodzone i puste plaże, wolnościowo-pacyfistyczne ogłoszenia „wolne pokoje", niekiedy nawet w językach obcych.

Idąc po palach ciągnących się w morze, wpadłem do wody i zamoczyłem się po kolana. W spodniach i w butach. Po krótkim namyśle, ale już wieczorem, małżonka wpisała to do kategorii „morsowanie", uznając, że do kategorii „spa" to zbyt zimne, a na kategorię „rozrywki" było za tanie. Zatem byłem morsem.

We Władysławowie obchodziliśmy jubileusz 15. podejścia do izby pamięci poświęconej gen. Józefowi Hallerowi. Oczywiście i tym razem domek generała był zamknięty na głucho. W przyległym Cetniewie przeszliśmy Aleją Gwiazd Sportu, zatrzymując się na dłużej przy gwieździe Waldemara Baszanowskiego, giganta pod każdym względem. Mojego najlepszego wspomnienia z PRL.

Po raz któryś obejrzeliśmy terenowe Muzeum Obrony Wybrzeża z przeogromnymi armatami i innymi, ówczesnymi cudami techniki wojennej. Na molo w Juracie byliśmy niemal sami. Na jego końcu siedział gość w koloratce z różańcem w ręku. Toczył w palcach koraliki i lekko ruszał ustami, patrząc w zielony widnokrąg.

Czytelnicy, jeśli szukacie spokoju i wytchnienia, jeśli znajdziecie chwilę i sposobność, gdy już dokuczą wam do żywego kolejne wybory, a zwłaszcza ich aura, hałaśliwość i retoryka – jedźcie na Hel, koniecznie jesienią, koniecznie po sezonie. Półwysep was utuli, ukołysze i uspokoi. Jedźcie pokłonić się morzu, jak niegdyś Haller i Mościcki. Ten polski Hel na was niecierpliwie czeka. Póki taka jesień.

eprasa.pl 8a02066cb4

PRZEZ ŚWIETLIK

Wyborcze pamiątki

Przy okazji każdych kolejnych wyborów czy referendów pojawiają się głosy, że to wszystko dużo kosztuje. To prawda, ale bilans zysków i strat jest zdecydowanie po stronie tych pierwszych. I nie będę tu przekonywał o wielkich pozytywach płynących z systemu demokracji pośredniej, należytej ordynacji, przedstawicielstwa, bo sam mam coraz więcej do nich zastrzeżeń, szczególnie uwzględniając, że w momencie kiedy to piszę, nie znam jeszcze wyników. W Łodzi chociażby wszystko wskazuje na to, że wygra pani z wyrokiem. Nie jestem do końca przekonany, czy patrząc na madame Zdanowską, Winston Churchill podtrzymywałby swoją opinię o demokracji jako najlepszym z ustrojów.

Wiktor Świetlik

Wybory natomiast mają poważne chwilowe zalety i dlatego z perspektywy różnych podwórek, na których się kręcę, powinny być jak najczęściej. Choćby pod szkołą, pod którą z trudem parkuję, by dowozić i odbierać pociechy. Przez lata lubiła to miejsce warszawska straż miejska. A raczej stojące tam samochody. Wiadomo, każdy musi jakoś dziecko odebrać lub dowieźć. Więc jeśli stanął za blisko przejścia dla pieszych, nie z tej, co trzeba, albo jeszcze coś innego przeskrobał, to oprócz pociechy wiózł kwitek za wycieraczką. A teraz? Strażnicy znowu stoją, miła para przeprowadza dzieci przez ulicę. Nagle wierzę w sens istnienia straży! Ostatnio tak miałem, kiedy podlegała ona Władysławowi Stasiakowi w ratuszu Lecha Kaczyńskiego i zajmowała się walką ze złodziejstwem i nielegalnymi klubami. No i znowu jakby na chwilę robiła coś pożytecznego. Skoro proces wyborczy tak wspaniale wpływa na działanie tej instytucji, to może powoływać ją tylko przed wyborami?

Ponoć dobrymi intencjami wybrukowane jest piekło. Myślę, że głowami polityków, którzy o swoich elektoratach przypominają sobie tuż przed wyborami, też

Z tramwajów i autobusów ponoć poznikali, jak to zawsze przed wyborami, kanarzy. Hulaj dusza, mandatów nie ma. Nie dość tego, biegając, bo czasami uprawiam to lemingowe zajęcie i nawet bardzo lubię, po parku Skaryszewskim, za każdym razem kilka razy mijałem paskudny betonowy kloc poświęcony czerwonoarmistom. Właśnie jest demontowany. Zupełnie zapewne bez związku z tym, że następca pani Hani próbuje urwać Patrykowi Jakiemu trochę elektoratu. A jeżdżąc do rodzinnych Pabianic, nie tłukę się godzinami przez łódzkie korki, ale błyskawicznie zasuwam obwodnicą Łodzi. Nie było jej aż do czasu, kiedy w jednym z rozpaczliwych przedwyborczych ruchów w 2015 r. Ewa Kopacz wydobyła plan budowy z głębokiej piwnicy, w której PO przez osiem lat go trzymała, i nagle zaczęto budowę, którą PiS skończyło.

Ponoć dobrymi intencjami wybrukowane jest piekło. Myślę, że głowami polityków, którzy o swoich elektoratach przypominają sobie tuż przed wyborami, też, bo przecież zapewne wkrótce straż miejska nie będzie przeprowadzać już dzieci przez ulice, a dalej wkładać pamiątki za wycieraczki.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

55/0918/F

eprasa.pl 8a02066cb4

JAN POSPIESZALSKI

Nierozpoznana ofensywa

Coraz częściej będziemy świadkami awantur pod obyczajowo-światopoglądowymi hasłami, będącymi de facto stricte polityczną akcją wymierzoną w rząd Zjednoczonej Prawicy

Do znudzenia powtarzana śpiewka brzmi: nacjonalistyczno-klerykalna władza niszczy demokrację, wprowadza cenzurę, łamie konstytucję i swobody obywatelskie. Tymczasem w tym strasznym reżimie radykalne środowiska spod znaku LGBT niemal co tydzień na ulicach różnych polskich miast, chronione przez „reżimową" policję, realizują własną polityczną ofensywę. Z pełną świadomością używam tych słów, bo pozornie rozproszone imprezy mają spójny rys i harmonogram – ujawniają profesjonalizm, daleko odbiegający od spontanicznej amatorszczyzny.

Ważnym sygnałem i bojowym rozpoznaniem był czarny protest. Okazało się, że parlamentarna opozycja + KOD mogły tylko pomarzyć o takiej zdolności mobilizacyjnej, jaka ujawniła się, gdy na ulice wyszły „dziewuchy". Nie jest tajemnicą, że te „dziewuchy" bez wsparcia centrum antypisu, jakim jest „Gazeta Wyborcza", mogłyby co najwyżej wypełnić lokal „Krytyki Politycznej". Tymczasem wolnościowe hasła i logistyczna sprawność lewackich organizacji, pomnożona przez wierny elektorat czytelniczy, dała nadspodziewany efekt. Stąd po zmęczeniu paleniem świeczek i blokowaniem gmachów Sejmu i Sądu Najwyższego jako skuteczny taran do walenia w PiS ponownie uruchomione zostały obyczajowe subkultury. Okazało się bowiem, że gejowsko-aborcyjne maskarady są w stanie wyciągnąć na ulicę szersze spektrum. Widzimy tu zarówno Antifę, jak i ubeckich emerytów, podstarzałych aktorów i gimbazę. Tego ani KOD, ani Schetyna, ani Małgorzata Gersdorf nie potrafili dokonać.

I jeszcze jeden niebagatelny aspekt. Czarny protest, jak życie pokazało, okazał się skuteczny. Większość sejmowa – dziwnie przestraszona – zadbała, by sprawa ochrony życia dzieci niepełnosprawnych w fazie prenatalnej (lub tylko podejrzewanych o upośledzenie) utknęła w martwym punkcie. Zlokalizowanie miękkiego podbrzusza obecnej władzy przy jednoczesnym antyklerykalnym radykalizmie politycznych debiutantów – małolatów, którzy nie pamiętają rządów Tuska, sprawia, że coraz częściej będziemy świadkami awantur pod obyczajowo-światopoglądowymi hasłami, będącymi de facto stricte polityczną akcją wymierzoną w rząd Zjednoczonej Prawicy.

Ale daleko mi do lekceważenia światopoglądowego ostrza tej operacji. Środowiska gejowskie, organizatorzy ulicznych demonstracji, chwalą się na swoich stronach, że w tym roku manify odbywają się w miastach, gdzie do tej pory nigdy nie było gejparady – w Częstochowie, Lublinie, Rzeszowie czy Zielonej Górze. W tych miastach nie odnotowano żadnych aktów dyskryminacji, bo nie o dyskryminację tu chodzi. Kierunki natarć zaznaczane są niemal tak jak w wojennych sztabach – jak zdobywanie nowych terytoriów. Bronią są uliczne transparenty z przekręconymi cytatami z Ewangelii, szyderstwa z patriotyzmu, religii i Kościoła. To ma boleć i prowokować, a z drugiej strony oswajać i znieczulać.

Przykłady innych krajów pokazały, że wzrost antyklerykalnych nastrojów, upadek autorytetu Kościoła i postępująca laicyzacja ciągną za sobą demolkę małżeństw, więzi rodzinnych i kryzys rodziny w ogóle. Efektem jest społeczna atomizacja, osłabienie przekazu tradycji, wypłukanie poczucia przynależności do wspólnoty, skłonność do ulegania skrajnie egoistycznym i indywidualistycznym postawom. Wyemancypowane z religii, rodziny i historii indywidua, jeżeli w ogóle będą chciały się identyfikować politycznie, wybiorą liberalną lewicę. Ten proces w Polsce trwa, a dowodem był udział całej klasy z liceum przyprowadzonej przez nauczycielkę na aborcyjno-homoseksualny marsz w Lublinie. Polityczne strategie dotyczące najbliższych wyborów są racjonalne, ale prawdziwe przywództwo to umiejętność rozpoznawania procesów w dłuższej perspektywie. A zaniechania w opisywanym obszarze nie nastrajają optymistycznie.

eprasa.pl 8a02066cb4

Donek i jego hulajnoga

Jerzy Jachowicz

– Dlaczego nie dzwoni Donek, tylko ty?

– Nie może. Ćwiczy w Paryżu jazdę na hulajnodze. Chce się oswoić z trasą. Za dwa tygodnie ściga się w kryterium ulicznym wokół placu Pigalle. Strasznie się zapalił. Nagrodą dla zwycięzcy jest kolacja sam na sam z Angelą Merkel.

– Dlaczego nie z żoną Macrona?

– Bo to wyścig pod protektoratem Unii Europejskiej. Miejscowa pierwsza dama musiała ustąpić Angeli.

– Paweł, ale szczerze, zwycięzcę wyłania się w głosowaniu?

– Grzesiek, ty lepiej nie wypowiadaj słowa „głosowanie" przy Donku, bo on przez telefon porazi cię prądem. Właśnie dlatego mnie prosił, żebym do ciebie zadzwonił i przekazał ci kilka słów od niego. Pozwól, że nie wszystkie powtórzę, żebyś nie wpadł w depresję.

– Jeszcze wyniki końcowe nie są znane. Komisje liczą. W niektórych województwach nie jest źle.

– Co za bzdury opowiadasz. Dałeś ciała na całej linii. Po jakie licho wziąłeś pod nasze skrzydła tego trupa Nowoczesną? Tam nie ma ani jednej postaci, która by zaproponowała coś świeżego. Podniosła słupki. Nie przytoczę określeń, jakich użył Donald, charakteryzując niektóre postaci naszego wyborczego koalicjanta. Pocieszę cię. To nie najważniejsze pretensje szefa. Wściekł się dlatego, że prosił cię, a ty mu obiecałeś – pamiętam to – iż pewne rzeczy zostawisz na drugi termin wyborów prezydenckich w najważniejszych miastach. To miał być śmiertelny strzał w naszego wroga, gdyby nam zagrażał. Ale ty nie wytrzymałeś napięcia. Popełniłeś, niczym nerwowy zawodnik, falstart. Donek mówił: „Daję wam bezpłatnie »pisowską szarańczę«, ale nie zmarnujcie tego pocisku. Trzeba go wystrzelić w drugiej turze. Żeby ludzi w pełni przestraszyć, musisz powiedzieć, że szarańcza to owady, które wyrządzają ogromne straty w zbiorach. Dokonują straszliwego spustoszenia, pożerając wszystko, co spotkają na swojej drodze".

– Kiedy Donald do mnie zadzwoni? – zapytał Schetyna Grasia.

– Nie wiem. Zaraz po kryterium paryskim zaczyna przygotowania do „Tańca z gwiazdami na lodzie".

CO MNIE WZRUSZA

Nasz Ojciec Święty

Katarzyna Łaniewska

O Ojcu Świętym mówiliśmy – nasz. Nasz papież.

Na szczęście pozostały w nas, na taśmach telewizyjnych i filmowych – słowa i jego nauki. Poprzez filmy starano się przybliżyć jego postać i życiorys. Powstały wspaniałe dokumenty i filmy fabularne. Ale nawet tym wszystkim nie sposób go opisać. Gdzie i jak działał. Zmienił sposób pełnienia posługi papieskiej. Zmieniał Watykan, podróżował, był między ludźmi. Odwiedzał kraje na końcu świata. Podnosił ludzi z kolan, rozmawiał z prezydentami i przywódcami państw. Starał się zmieniać świat, politykę i ludzi. Gdziekolwiek i jakkolwiek było można.

Bliska mu była Polska – jego ojczyzna. Na szczęście mamy nagrane wszystkie jego wizyty. Widzieliśmy, jak ludzie chłonęli jego słowa. Wiedział, że brakowało nam wolności, prawdy i solidarności. Wspaniałymi i prostymi słowami do nas mówił. W piękny sposób na nas krzyczał. Forma jego homilii była fascynująca. Słuchaliśmy, co i jak mówił. Organizował młodzież, która lgnęła do niego. Światowe Dni Młodzieży wyszły od niego. To są inwestycje w przyszłe pokolenia. Zbiórki w dzień papieski pod kościołami to żywa ofiara na młodych ludzi, którzy dzięki nim kończą szkoły, studiują. Chciał być wśród ludzi w Związku Sowieckim. Tam zanieść Słowo Boże. Nie udało się. A jak bardzo się go bano, świadczy zamach z 13 maja. Nadszarpnął jego zdrowie. Dzielnie walczył ze słabościami. Nie przerwał bezpośrednich spotkań z ludźmi, czego doświadczyłam osobiście. To moje szczęście. Byłam na pielgrzymce z ks. Kaziem Orzechowskim i z kolegami. Dano nam możliwość bliskiego spotkania z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo. Mówiłam przed nim wiersz o ojczyźnie i fragment jego wiesza „Ziemia trudnej jedności". Potem podeszłam do Ojca Świętego z kwiatami od naszej grupy, trzymał moje dłonie w swoich rękach, mówił coś do mnie. Nie pamiętam co, nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam jego dobre, ufne ręce. To domknęło mnie bezpośrednio w kontakcie z Ojcem Świętym. Patrzę moimi słabymi oczami na pamiątkowe zdjęcie i myślę, że miałam wielkie szczęście.

Na koniec felietonu chce przytoczyć krótką modlitwę. Ojciec Święty zawierzał wszystko Matce Boskiej – Królowej Polski, której opieki tak bardzo nam potrzeba:

Tobie oddaję wszystkie owoce mego życia i posługi;
Tobie zawierzam losy Kościoła;
Tobie polecam mój naród;
Tobie ufam i Tobie raz jeszcze wyznaję:
Totus Tuus, Maria! Totus Tuus. Amen.

eprasa.pl 8a02066cb4

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Drogówka nasza codzienna

W kampanii wyborczej platformersi poczuli się pomówieni autostradowo

Ryszard Makowski

Sztab wyborczy PO poleciał na skargę na premiera Morawieckiego do sądu w trybie wyborczym za wypowiedź: „Pamiętacie, jak nasi poprzednicy mówili: budujmy nie politykę, tylko drogi i mosty? Pamiętacie coś takiego? Nie było ani dróg, ani mostów”. Sąd apelacyjny nakazał szefowi rządu sprostowanie prawdy oraz przeproszenie PO za brak dróg i mostów. Najwyraźniej sędzia nie miał okazji jechać w piątek przez Górę Kalwarię. Ja miałem. Po trzech godzinach przesunięcia się w korku o paręset metrów zawróciłem do Warszawy. To jest faktyczny stan naszych dróg, będący dumą Platformy.

Na Euro 2012 obiecywano eldorado drogowe. Jak to się skończyło? Bankructwami podwykonawców i rozgrzebanymi inwestycjami. Wymyślono wtedy szczwano: „przejezdność”.

Premier Tusk z min. Nowakiem przed początkiem mistrzostw lecieli helikopterem nad A2 z zafrasowanymi minami: czy po tym na dole da się jechać? Owszem, w Polsce pojawiły się drogi ekspresowe i dwupasmowe autostrady, ale zwróćmy uwagę na taki drobiazg: to już prawie 30 lat naszej szacownej III RP. Autostrady z Warszawy do Gdańska nie ma, do Krakowa nie ma, do Katowic nie ma, do Białegostoku nie ma. Za odcinek „kulczykówki” Stryków–Nowy Tomyśl, ok. 300 km, płaci się 70 zł. Co do mostów? W Warszawie przez 12 lat dokończono jeden i jeden spalono. To są sukcesy na miarę PO. Kto de facto powinien trafić pod sąd? To jest chyba jasne i nie chodzi o przeprosiny.

eprasa.pl 8a02066cb4

Zawistowski prezentuje: Wybór

Wycinki z przeszłości

Tę piękną ilustrację przedstawiającą legionistę polskiego przynosił „Płomyk" z 7 listopada 1928 r. W przeddzień 10. wtedy rocznicy odzyskania niepodległości młodzi czytelnicy mogli przeczytać m.in.:

„Szary polski legun, idąc przez polskie ziemie, z sercem Polską przepełnionym, z marzeniem o jej wolności, spotykał się czasem w swym pochodzie z niechęcią, nieżyczliwością, nawet urąganiem. Czy rozumiecie tę tragedię polskiego żołnierza – legionisty?

Idąc pośród wichrów, zamieci, w słocie czy męczącym żarze słońca letniego, zaciskał zęby, starał się nie słyszeć tych głosów nieprzyjaznych, i z wolą niezłomną kładł swój trud, swoje życie na ołtarzu wybawienia Polski. Jego męstwo, jego wytrwałość budziły niekłamany podziw i wywoływały zachwyt nawet u wroga. Kawaleria polska pod Rokitną wskrzesiła pamięć niezapomnianych swych poprzedników – dawnych ułanów.

W dniu 11 listopada 1918 r. Józef Piłsudski objął naczelne dowództwo wojsk polskich i losy kraju naszego wziął w swe ręce. Ten sam dzień stał się dniem rzeczywistego wskrzeszenia Polski.

Polska stanęła na progu nowego życia, pełna ran, przez wojnę i waśnie zadanych, ale pełna zapału i wiary, że przyszłość ta będzie wielka i piękna".

A czym dzisiaj karmią nasze dzieci niemieckie brukowe pisemka?

(mk)

Z okna, po sąsiedzku...

Leszek Długosz

Karol Wojtyła 1920–2005

Do sosny polskiej

Gdzie winnice, gdzie wonne pomarańcze rosną,
Ty domowy mój prostaku, zakopiańska sosno
Od matki i sióstr oderwana rodu
Stoisz sieroto pośród cudzego ogrodu.

Jakże tu miłym jesteś gościem memu oku,
Bowiem oboje doświadczamy jednego wyroku,
I mnie także pielgrzymka wyniosła daleka,
I mnie w cudzej ziemi czas życia ucieka.

Czemuś, choć cię starania cudze otoczyły,
Nie rozwinęła wzrostu, utraciła siły?
Masz tu wcześniej i słonce, i rosy wiośniane,
a przecież twe gałązki bledną pochylone.

Więdniesz.
Usychasz smutna wśród kwitnącej płaszczyzny
I nie ma dla ciebie życia, bo nie ma Ojczyzny.
Drzewo wierne!

Nie zniesiesz wygnania, tęsknoty
Jeszcze trochę jesiennej i zimowej słoty
A padniesz martwa!
Obca ziemia cię pogrzebie.
Drzewo moje.
Czy będę szczęśliwszy od ciebie?

październik 1995

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 8a02066cb4

OD A DO ZYBERTOWICZA

Kultura cheatowania

Letnia siedziba królów polskich – XIV-wieczny zamek w Niepołomicach. Październikowy wieczór. Kolacja poprzedzająca rozpoczęcie konferencji „Cyberprzestępczość – wyzwanie dla Prokuratury. Międzynarodowa wymiana doświadczeń" zorganizowanej przez prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego.

ROZMOWA

O tym, jak bardzo młode pokolenie jest zafascynowane nowymi technologiami, rozmawiam z przedstawicielem Europolu oraz członkami kierownictwa prokuratur generalnych krajów naszego regionu. Nie skupiamy się na tym, jak bardzo młodzi są uzależnieni od gier komputerowych. Bardziej intryguje, że instynkty moralne tego pokolenia coraz bardziej są przeprogramowywane przez życie w internecie. Że cheatowanie, poszukiwanie sposobów zhakowania nie tylko gier, relacji międzyludzkich i w istocie całego swego życia, staje się nową normą. Coraz więcej młodych skupia się na poszukiwaniu dróg na skróty, nie tylko w świecie cyfrowym.

Zwyczajowe narzekanie starego pokolenia na młode, które nas zastępuje? Bynajmniej. Kolejnego dnia prezentacje przykładów doświadczeń w walce z cyberprzestępczością z różnych krajów nie pozostawiają złudzeń, że gra toczy się o poważną stawkę.

NIEPROPORCJONALNE SPRAWSTWO

Uświadamiam sobie, jaką rolę w cyberprzestępczości odgrywają tzw. script kiddies. To sieciowi agresorzy, często nastolatki, nierzadko o niewielkiej w sumie wiedzy informatycznej, którzy posługując się narzędziami napisanymi przez inne osoby, niekoniecznie rozumiejąc, jak oprogramowanie działa, potrafią wyrządzić poważne szkody.

Rose-Marie Franton, zastępca dyrektora Urzędu Oskarżyciela Publicznego Anglii i Walii, analizowała przypadek Kane'a Gamble'a, który w wieku 15 lat ze swojego mieszkania w miasteczku Coalville dotarł do kont e-mailowych, telefonów i tabletów kluczowych osób dla bezpieczeństwa USA, w tym ówczesnego szefa CIA Johna Brennana. Wśród jego „osiągnięć" było przejęcie kontroli nad tabletem żony Brennana. Potrafił wgrać na komputery swoich ofiar pornografię, przejmował ich połączenia telefoniczne, ujawnił nie tylko prywatne dane na ich temat. Tajne informacje o operacjach Amerykanów w Afganistanie i Iranie publikował m.in. na WikiLeaks. Wpadł w lutym 2016 r., działał przez osiem miesięcy.

Steven Wilson, kierownik Europejskiego Centrum Cyberprzestępczości Europolu, przedstawił przypadek holenderskiego 18-latka, który zaatakował kilka banków oraz m.in. krajowy system logowania się służb publicznych. Przez wiele dni klienci nie byli w stanie logować się na swoje bankowe konta. Na początku przedstawiciele władz holenderskich byli przekonani, że to operacja rosyjska, a jeden z prezesów banku ABN Amro nawet oświadczył, iż musiała kosztować „dziesiątki milionów euro"...

Choć są to sprawy częściowo w mediach już opisane, to ich ogląd z prokuratorskiego punktu widzenia wniósł nową jakość.

Świat cyfrowy pozwala na to, by przy nader znikomych zasobach można było wywoływać potężne zagrożenia – wprost na poziomie bezpieczeństwa narodowego

Świat cyfrowy pozwala na to, by przy nader znikomych zasobach można było wywoływać potężne zagrożenia – wprost na poziomie bezpieczeństwa narodowego. Powoduje to, że czarne scenariusze można – i chyba należy – mnożyć, przynajmniej w ramach eksperymentów myślowych.

Co by się wydarzyło, gdyby cała seria takich udanych, „małoletnich" ataków zbiegła się w czasie z poważnym kryzysem międzynarodowym jednocześnie na Bliskim Wschodzie oraz na Morzu Południowochińskim i awarią prądu w kilku kluczowych miejscach?

ALGORYTMY PAŃSTWA PRAWA

Na wspomnianej kolacji rozmawialiśmy też o algorytmach. Rozumianych dosłownie i metaforycznie. Demokratyczne państwa, prokuratorzy i organy ścigania muszą działać według algorytmów praworządności. Tymczasem przestępcy – bo przecież wspomniani młodzi ludzie dopuścili się przestępstw – idą na skróty, działając według reguły „Nie ma żadnych reguł".

Prokuratorzy, z którymi rozmawiałem, zdają się wierzyć, że algorytmy praworządności są w stanie wygrać walkę z kulturą cheatowania. Ale rośnie świadomość wyzwania innego, nie mniej poważnego: czy bez radykalnej zmiany architektury internetu uda się uniknąć opłakanych konsekwencji nowego-wspaniałego-cyfrowego-świata?

Andrzej Zybertowicz

42/0118/F, 44/0118/F, 62/0118/F, 28/0218/F, 58/0118/F | 11/1018/F

eprasa.pl 8a02066cb4

JUŻ 29 PAŹDZIERNIKA W TYGODNIKU **SIECI**
I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • Janusz Kusociński • Wincenty Witos • Roman Dmowski • Wojciech Korfanty • Władysław Grabski • Jan Kiepura • gen. Józef Haller • Wojciech Kossak • Walery Sławek • gen. Kazimierz Sosnkowski • Ks. Adam Sapieha • Wojciech Kwiatkowski • inż. Eugeniusz Kwiatkowski

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.

TOMASZ ŁYSIAK
pisarz, dziennikarz, publicysta

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 8a02066cb4

GRAJ W ZAKŁADY SPECJALNE!

Typuj 5 liczb z 45, wygrywaj już za trafienie 3 liczb!

Losowanie 10 listopada 2018 r.

Grając, wspierasz Program Stypendialny „100 na 100”
dla najzdolniejszych studentów.
www.fundacjalotto.pl/100stypendiow

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 8a02066cb4